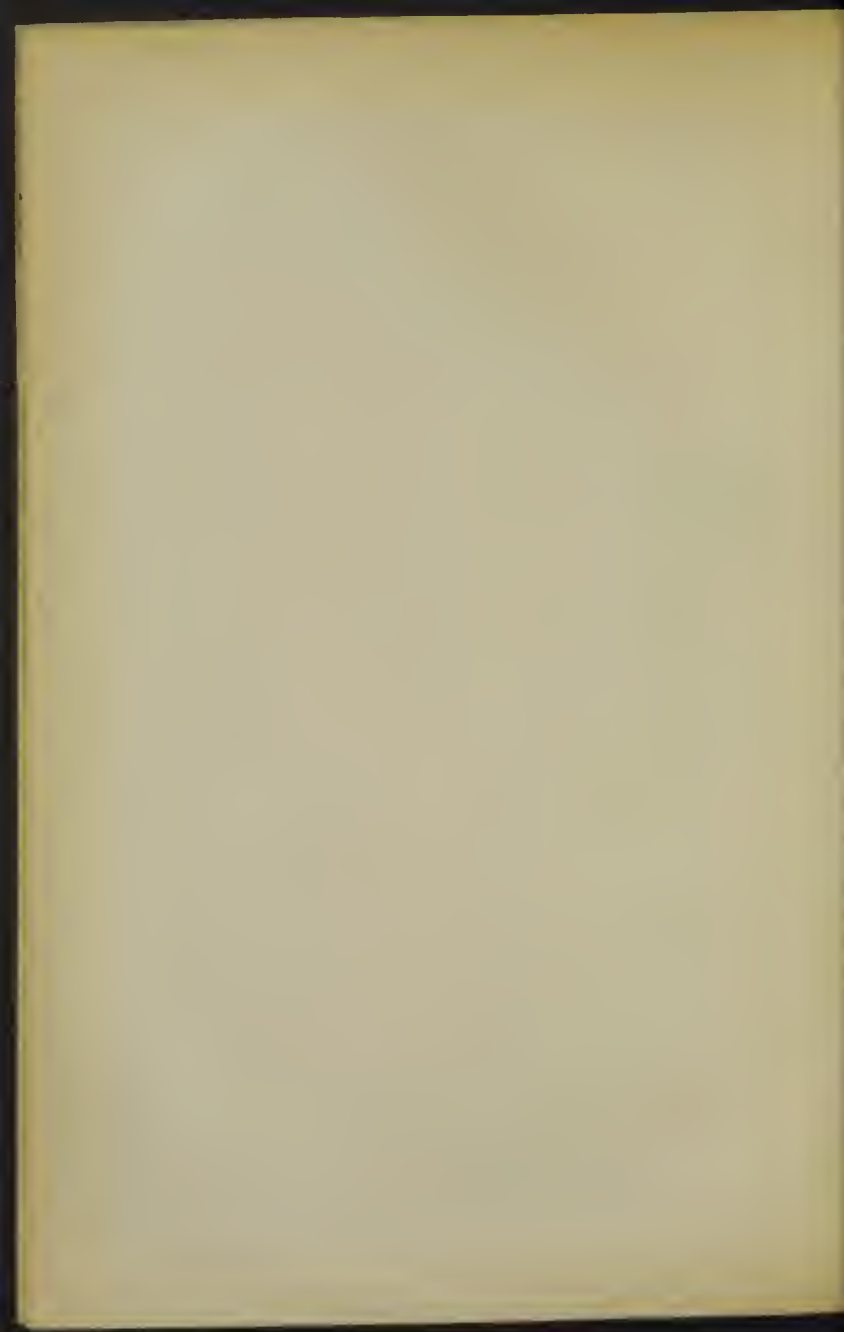


STACH Z KONAR:



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VIII.

STACH Z KONAR.

Powieść historyczna

z czasów Kazimierza Sprawiedliwego.

Tom IV.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

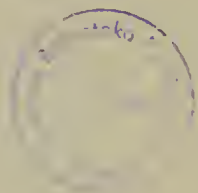
Michał Glücksberg.

Edward Wende.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald,

1879.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

Lat kilka znowu upłynęło od opisanych wypadków, na skrzydłach swych jasnych i czarnych zmian nie przyniosły wiele.

Każmierz siedział jeszcze na Krakowie, choć czuć było nieustanne zmowy i spiski, któremi go podkopywano. Mieszek, jak przepowiadano, nie mógł wytrwać spokojnym. Odkryte już były podstępne jego nkłady z Leszkiem chorym, którego dzielnicę spodziewał się zagarnąć z Władysławowiczami, wyzywanemi do spółki na Kaźmierza, obietnicami podziału spuścizny.

Nie żył już biskup Gedeon, który w silnych rękach trzymał wodze często wypadające z dłoni obojętnego Kaźmierza. Na miejscu jego, jak przewidywano, obranym był wychowaniec i spadkobierca myśli Dziekan kapituły Pełka Lis, równie

możny znaczeniem rodu swego, silnéj woli, bystrego rozumu, prędkiego postanowienia, energii niezłomnéj.

Pelka, jak większa część duchownych przeznaczonych do wyższych dostojęństw w kościele, wychowanie swe kończył w Rzymie, a los mu dał nawet być tam towarzyszem i przyjacielem tego, który na najwyższe biskupstwo rzymskie był obrany. Mąż to był mogący we wszystkim Gedkę zastąpić, a śmielszy jeszcze od niego.

Starzał powolnie Kaźmierz, ale się charakter jego nie zmieniał, występowały tylko z wiekiem dobitniéj wszystkie jego jasne i przyciemnione strony — wielka miłość sprawiedliwości do ofiar gotowa, chciwość wiedzy nie nasyciona, szukająca pokarmu, gdziekolwiek znaleźć się go spodziewała, pobożność z mlekiem matki wyssana, a duchem wieku rozplómienna, naostatek gorącej krwi piastowskiej porywy, które na gorycze życia pociech szukać kazały w zapomnieniu się n boku niewiast, w miłostkach pokątnych. Z tych co go dawniéj otaczali, stali jeszcze wszyscy niemal przy nim, bo Kaźmierz niełatwo serce odmieniał, nie odtrącał lekko drubów starych, nie lubił nowych ludzi i twarzy. Przywiązywał się powoli ale na długo i choć w bliskich sobie wady odkrywał, wołał ich z niemi, niż nowych a nie znanych.

Jaksa, przyjaciel młodości służył mu dotąd

wiernie, ale w dojrzałszym wieku stawszy się pobożnym bardzo, choć jeszcze rycerską wkładał zbroję krzyżem naznaczoną, więcej już na mnicha, niż na rycerza wyglądał. Sercem i duszą cały był teraz w swym nowo założonym klasztorze mnichów Grobu Pańskiego, których osadził w Miechowie. Sprawy świata mniej go już obchodziły.

Jaksa, jakśmy mówili, z Henrykiem razem nieszczęśliwą drugą wyprawę krzyżową odbywał, z niej przywiózł Bożogrobców do swojego Miechowa; a że i Henryk także ich klasztor założył, księciu Kaźmierzowi drogą była ta braterska i Jaksy fundacya, do której też się przyłożył. Nie zapominając o Cystersach swoich, pomagał pobożnemu druhowi w jego świątobliwej pracy. Wszystkie te nowe fundacye na ziemi polskiej były jeszcze przesadzaniem roślin nie naszego nieba, nieprędko mających wydać owoce. Większa część mnichów składała się z cudzoziemców i obcemi tylko pomnażała. Niektóre klasztory wcale polaków nie przyjmowały. Były to więc odosobnione ołtarze na chwałę Pańską wzniesione, lecz niewielkiego pożytku dla ziemi. Wedle ówczesnych pojęć szło więcej o to, aby hymn chwały płynął ku niebiosom, niżeli światło szerzyło się po ziemi. To drugie było celem podrzędnym. Klasztory wychodziły później na korzyść cywilizacyi, niosły z sobą księgi, naukę, szkółki, wiele nawet kunstów i rzemiosł, ogrodnictwo, polepszenia rol-

nieze, nasiona; lecz w początkach z tém wszystkiem stały, jak wyspy na morzu, z krajem mało mając związku.

Cale takie zgromadzenia Włochów, Francuzów, Kolończyków, które tylko swoich przyjmowały, potrzebowały lat długich nimby się z krajem zżyły, mogły począć nań działać i zawiązać z nim węzeł żywotny.

Lecz i to co mimowoli dawało takie *coenobium* przeniesione na ziemię naszą, drogiem było, ziarna z nich się sypały, rozsadniki w nich rosły. Sam widok kościołów, gmachów, samo ocieranie się o ludzi w nich pracujących nauczały i cywilizowały. Jaksą równie często przebywał na dworze pańskim jak w Miechowie, gdzie często w chórze z Bozogrobcami, w refektarzu ich w kapitule zasiadał, kosztując błogiego spokoju mniszego życia. Z nim książę lubił rozprawiać o religijnem królestwa swego ubłogosławieniu. Chciał wznosić kościoły, mnożyć monastera, zwozić relikwije, zaprowadzać nabożeństwa, a na granicach państwa tępić pogaństwo uparte w Prusach i Polesin, gdy na Pomorzu sasey ksiądzęta już go uprzedzili.

Ostrzegano ciągle Kaźmierza o zamiarach Mieszka, któremu wiek nie odjął żądzy panowania. Stał przy nim zawsze jeszcze ów Kietlicz, chętny doradzca, sługa wierny, prawa ręka pana, nieustannie knujący spiski i podbudzający do jakichś nowych zamachów. Człowiek ten przy swój po-

wierchowności niepoczesnej, mowie nieporządnej, pozorach nieokrzesań, miał zabiegliwość i przebiegłość niezumierną, którą lata zaostrzyły jeszcze. Rzucał się zuchwale na największe niebezpieczeństwa i umiał z nich wychodzić cało. Wiedzieli o nim wtajemniczeni, że przebrany wciskał się aż do Krakowa, wślizgał do zamku nawet, zawiązywał tajemne z ziemianami stosunki, i na różne sposoby podszezuwać się starał przeciw Kazmierzowi, którego miękkość i nieudolność wysmiewał, a że ludzie łatwiej zawsze zło niż dobro chwytają i wiarę mu dają, udawało mu się niechęci budzić przeciw dobremu księciu. Jawniej Kietlicz ukazywał się często w Płocku, Raciborzu, Wrocławiu, a choć tu głośno nie występował z niczem, pociechu do śmiałego zamachu namawiał, który według niego nieochybnie powieść się musiał.

Mieszek sam mało występował, na Kietlicza zdając starania, któremu też starszy z synów księcia Bolko, młodzian krwi gorącej a niewielkiej rozwagi, dopomagał chętnie i dawał mu się rzucać i kierować, kędy wskazał.

Do Krakowa kiedy niekiedy dochodziły o tém wieści. Donoszono Gedkowi, dopóki żył o zabiegach Kietlicza, ostrzegał on Kazmierza, ale ten łatwo dawał wiarę złemu, przeciw bratu jątrzyć się nie dopuszczał, a otaczający ciąglemi stra-

chami temi znużeni, w końcu im ucha nie podawali.

Sam książę marszczył się i poścpniał, gdy mu przynoszono wiadomości, w których upatrywał tylko chęć poróżnienia go z bratem i zamącenia milego mu spokoju. Zwracał natychmiast rozmowę do spraw innych, do ulubionych swych pogadańek o świecie, niebie, przyszłości i żywocie człowieka.

Trwały zawsze owe biesiady z uczonemi, do których należeli mistrz Wincenty, ze wszystkich księciu najmilszy (temu zleconém było pisanie dziejów starych państwa), Pełka biskup krakowski, Cystersów kilku i benedyktynów z Tyńca, prałatów i kanoników kapituły. Karmiono Kaźmierza zbieranemi dlań zewsząd płodami żywo rozbudzającą się właśnie literatury średniowiecznej i pisarzami starożytnemi z których ustępy czytano. Z tego się wywiązywały długie sokratyczne rozmowy, dla których książę o wszystkim zapominał.

Bawiły go też łowy niedające zniewieścieć i gnuśnieć, przypatrywanie się turniejom i gonitwom. Niekiedy znikał Kaźmierz wyrывая się dworowi swojemu i szeptało, że czasem spędzał wieczory kędyś w zamkniętém dla wszystkich domostwie, do którego przystęp był trudniejszy, niż do klasztoru. Wchodził tam sam jeden, nuniakając oczów i wymykał się pod strażą jednego

wiernego Smoka, który u drzwi jak pies był zwykł czatować.

Wichfried, choć łaski pańskiej nie stracił, nie był już tym, co dawniej powiernikiem serdecznym; Kaźmierz posługiwał się nim rzadko, a niespowiadał mu wcale. Przyjmował go wesoło, lubił żartobliwe jego i płochę mowy, obdarzał hojnie, czasem ze słowem do kogo posyłał, lecz o sobie nie zwierzał się chętnie. Niemiec przez nałóg, lenistwo czy kunszt, jakim go usidlić umiała Dorota, pozostał jej wiernym. Stosunki jego z nią całe były osobliwe, gachem się czasem wydawał, przyjacielem się nazywał, a zazdrości nie miał wcale, patrząc obojętnie na ciżbę tych, których zawsze lekka niewiasta do zabawy sobie przyzywała.

Życie jej nie zmieniło się bynajmniej, oczekiwała ciągle, ale głowy nie posypując popiołem, strojąc ją chętniej w wianki, a zażywając dobrej myśli. Od wieczery tej, przy której Wichfried wygadał się przed nią z domysłem, iż dawna kochanka księcia w Krakowie znajdować się musiała, Dorota gorączkowo śledzić poczęła wszystkie Kaźmierza kroki. Długo się jej nie powodziło i nie schwycić nie mogła, lecz wdowa była uparta, nie szczędziła wydatku, przekupywała ludzi, wciśkała się gdzie mogła, i w końcu doszła do czegoś... Stara pomocnica jej Czechna włóczyła się wszędzie, a najlepiej strzeżone tajemnice przed

okiem bab uchować się nie mogą. Upewniła się więc Dorota, że książę miał inną kochankę, domyśliła się już, że nią była ta pierwsza, z którą się nganiał po lasach. Przystęp do niej zdawał się niemożliwy. Jagna znikła ze swego dworku, w którym Stach tylko kiedy niekiedy przebywał. Niewiedzialo, gdzie się podziała, znacznie dopiero później wysledziła Dorota, że ją umieszczono w murowanym dworze, jak zamczysko obwarowanym wśród drzew ukrytym za Wisłą. Strzeżono go tak, że się tam nikt nie mógł dostać. Porankami i wieczorami wyjeżdżał ktoś ztąd na łowy w lasy, domysłano się w nim przebranż księcia ulubienicy.

Każanierz zajeżdżał do dworu czasu łowów i w różnych porach, gdy tylko zbiedz mógł niepostrzeżony. Dwór stał nicopodal za rzeką. Dorota pod różnemi pozorami dostać się tam próbowała, posyłała Czechnę, ale nie puszczano nikogo, usiłowania były próżne. Nie zaprzestała ich jednak Dorota, a oczom księcia ciągle narzucała się nmyślenie. I w tém się jej niepowodziło.

Czasem Wichfried uwiadamy ją skrycie, gdzie i kiedy książę się miał znajdować; naówczas Dorota starała się tam wejść koniecznie i oczy zwrócić na siebie. Bodaj publicznie zaczępie.

Trafiało się kilkakroć, że na pozór celu swego dopięła, książę widział ją strojną, piękną, powabną, mogącą namiętność rozbudzić, a jednak pozostał chłodnym i obojętnym. Dorota wracając

potém do domu słabła ze złości, miotła się z rozpacz, przeklinała Kaźmierza, lajała Wichfrieda i czekała na zręczność nową.

Przy wielkich uroczystościach, na turniejach, nabożeństwach publicznych widzieć ją zawsze było można narzucającą się na oczy księżcin, uśmiechającą, wdzięczącą bezwstydnie; słaby Kaźmierz tój jednej pokusie zwycięzko się opierał. Raz udało się Dorocie w czasie gonitwy w podwórzu za ukowym tak się zwolna przysunąć, przecisnąwszy między widzami, iż prawie obok Kaźmierza stanęła. Przemówiła śmiało do niego, uśmiechnął się książę, kilka słów obojętnych rzekł do niej i natychmiast chroniąc się od napaści z miejsca swojego się ruszył. Im dłużej to trwało, tém Dorota zajadlejszą się stawała.

Zamykała się godzinami całemi siedząc ze starą Czeclmą, warząc, dymiąc. przyprawiając jakieś czary, z których sobie napróżno skutek jakiś obiecywały. Tymczasem wdowa starych i młodych wciągała do swojego domu, bawiła się, a gdy który w nadziei wyposażenia przez księcia o rękę się zgłaszał, wyśmiewała go lub odkładała na te czasy, gdy zostanie starą babą. Sluga, przyjaciel, domownik Wichfried wisiał przy niej ciągle. Był to ostatni węzeł co ją z zamkiem łączył. Zrywać go nie chciała, a gdy niemiec obojętniał i długo się nie pokazywał, wszelkich środków używała, aby go odzykać. Dwa razy Wichfriedowi trafiały

się małżeństwa dobre, swatał go sam książę po-sażno, Dorota zawsze potrafiła zabiedz, przeszkodzić, odradzić, niedopuszczając mu się ożenić.

Do poufanych księcia domowników należał i z Sandomirza wywieziony Goworek, ale ten mając sobie powierzone namiestnictwo w Sandomirzu i Lublinie, więcej tam siedział niż przy dworze. Ulubiony księżnie Helenie i panu, mąż prawy, silnego ducha, spokojny, na rodzinę nie podszucuwał, i myśli Kaźmierza poślubiał posłuszenie... Dla Goworka nie miał książę tajemnic, przez niego żonę często trwożną uspokajał i łagodził, za opiekuna go też w myśli dzieciom przeznaczał.

Obok niego występował już naprzód coraz więcej zyskując władzy, gorętszy i przedsiębiorczego ducha Mikołaj Lis, brat biskupa Pelki, któremu już wielką moc i pierwsze dostojeństwa wrócono. Co brakło powolnemu Kaźmierzowi, on dopełniał rzutkością swoją, gorącością, przenikliwością i odwagą. Mąż był rycerskiego ducha, niecierpliwy trochę, siebie pewny, woli upartej, bystrego oka. Gdzie trzeba było ziemian hamować, coraz z większymi występujących żądaniami, podnoszących głowy bez miary — tam Mikołaj pana zastępował.

Za biskupa Gedki, rycerstwo krakowskie, możni ziemianie, któremi się posługiwano, zyskali przewagę wielką; probowali jęj teraz nadużywać.

Mikołaj książęcej władzy bronil. Lada co, gdy się ziemianom nie podobalo, tłumnie a z wrzawą szli na zamek domagać się, aby po ich woli szedł książę. Naówczas Mikołaj za niego występował, opór łamał, groził, rozpędzał i księcia dopiero się dał ukazać, gdy mu drogę przetrzebił.

Zyskał tém już wielu niechętnych, lecz że od czasów Gedki ziemianie nawykli byli skupiać się okolo biskupa, a brat Mikołaja właśnie obrany był pasterzem, przez niego i z nim uniał się Mikołaj utrzymać przy swém, nie dopuszczając, aby mu szkodzili nieprzyjaciele.

Stary Żyra postanowiony opiekuncem chorego Leszka, wiekiem osłabły, umiej był czynny od czasu zwłaszcza, gdy dawszy się oszukać Mieszkowi, o mało Leszka, Mazowsza i Kujaw nie przekazał w ręce przebiegłego Kietlicza.

Śmierć biednego słabego wyrostka, położyła koniec tym knowaniom, nie zraziwszy Mieszka od poszukiwania nowych środków do zrzucenia brata ze stolicy, którą swoją mianował.

Stach, któremu uszła Jagna, bo ją ani śmiał, ani mógł wstrzymać, pozostał sam na straży jej dworku i ludzi. Ni pan, ni sługa najczęściej gościem tu był tylko. Wynosząc się za Wisłę zaklekał go, aby domu nie porzucal.

— Słuchaj — rzekła — stał się cud, pan mój mi serce powrócił, ale Bóg jeden wie na jak długo. Jagna starzeje! Dziś jutro wiedźnia napojem,

albo mi go inny jaki zły los odebrać może....
Gdzież ja przyjdę umierać? Zachowaj dla mnie
ten dach, ja do Sciborzyce powracać nie mogę.
Tam duch ojca i matki i szczęścia mojego cho-
dzi i tuli się po kątach, jabym tam i umierać
nie mogła spokojnie. Jutro mnie wygnąć mogą,
jam jak palec jeden w świecie, sierota!

Gospodarz u mnie!

Gospodarstwo to było ładajakie; Stach zaglą-
dał tylko, rozpytywał, a niczego dla siebie nie
tknął. Swojem żył, dach tylko cudzy mając nad
głową i czeladzi nie dając się rozpuścić.

Biskup Gedko, który do zgonu nim się posłu-
giwał, wiedząc kogo mieć będzie następcą po so-
bie, tajemnicę Staeha i jego samego mu powie-
rzył. Miał więc wstęp do Pełki taki, jak do po-
przednika. Jemu powierzone było śledzenie spraw
Kiełlicza, wywiadywanie się o Mieszkowe stosunki
w Płocku i Wrocławiu; on oznajmił pierwszy
o podstępie, którym chciano opanować Leszkową
dzielnicę, starego Żyrę okłamawszy.

W ciągłych tych potajemnych włóczęgach,
Stach nabrał do nich smaku, już mu ich niemal
do życia było potrzeba. Gdy nie miał kogo śle-
dzić, za czem jeździć, gdzie się podkradać, tęskno
mu było, niepokoił się. Pozawiazywał różne sto-
sunki w Poznaniu, Płocku, na Szlązku, w Gnieź-
nie, miał wszędzie swoich ludzi i jak zwał, swe
języki.

Trzeba było podsunąć się, aby naocznie przekonać się o skupiających siłach, dopytać co Mieszek mówił, za czém Ki-tlicz się ugałniał, posyłać Stacha, lub on sam się wyprawiał i nigdy daremnie nie wrócił. Oskarżano go czasem, że zbyt siał trwogę, lecz w końcu okazywało się zawsze, iż przepowiedział, co się stać miało.

W Krakowie po latach tylu nadaremnych usiłowań już sobie te wieczne odgródki Mieszka lekceważono, ale Stach stał niezmordowany na czatach.

Życie prowadził, jak sam powiadał pokutnicze, którego chwili dla siebie nie miał. Smutny chodził i zapracowany. Jagna do której się przywiązał, przyczyniła się jeszcze do zatrucia go.

Dopóki się do niej nie zbliżył, czasem jeszcze z Jaśkiem Bogorją i innemi uniał poszaleć i dzień jaki spędzić weselej — teraz twardy żywot prowadził. Na stajni we dworku było zawsze podostatkiem koni do zamiany, bo ledwie jedne zmęczone przyszły z nim, drugie świeże brał i dalej ruszał. Nieodstępny Żegieć towarzyszył mu wszędzie i gdyby nie on, nierazby Stach swe nierozważne zuchwalstwo ciężko przypłacił.

Widziemy to wszędzie prawie w owych czasach, że każdy czynniejszy mąż podwojony jest takim drugim, który się dlań poświęca, siebie się zrzeka, a jemu dodaje siły. Czasem jest to dodana głowa, niekiedy ręka. Często ten drugi gałbi go

lub zdrazca; Sieciech, Dobek, Kietlicz są takimi nieodstępniemi pomocnikami. Przy pomniejszych ludziach stoją też te ich cienie, jak przy Kietliczu Bereza, za Stachem Żegieć, przy Kaźmierzu Goworek i Wichfried. Dla Ludwika francuzkiego takim był opat Suger, dla Krzywoustego Dunin i całe grono tych rycerzy bez oczów, bez rąk, pokaleczonych, nie zwalczonych. Fenomen ten podwajanego człowieka w wiekach średnich w najrozmaitszy sposób przedstawia się wszędzie. Swobody osobistej naówczas całej nie było, niewolnik, sługa, domownik silniejszy duchem dorabiał się jęj wcielając w pana swojego. Tą drogą szło się do władzy i siły lub przynajmniej w nią uczestniczyło. Takim właśnie Kietlicz osławiony był dla Mieszka, który nie mając ruchawego narzędzia tego, ustalby był może w zabiegach, i leżał odpoczywać. W sile wieku zausznik ten pański pałał zemstą i do ciągłych knowań podzegał. Stach musiał w ślad za nim jeździć, chodzić i tropić jego kroki.

Rzadko więc spoczął we dworku, który dlań był gospodą tylko. On był pociechą jedyną dla starego Hreczyna, który za swą panią i Sciborzycami tęskniąc, w bezczynności, osamotniony całę dnie na ławie pod okapem przesiadywał wyglądając go. Gdy Stach przybył, poruszał się Hreczyn, jak dla prawowitego pana swojego, usługiwiał mu i rad był choć pomówić z nim o Jaguie.

Nie śmiał on wyznać. jak mu gorzkim był los jój; myślał, że wyswata ją za Stacha i zawiezie kiedyś do domu.

Tego co się tu działo, nie lubił, brzydził się tém, bolał czując, że się to źle skończyć musi. Rzadko mu się trafiało to szczęście, by chłopię przybiegło pozwać go do pani. Stary pospieszał natychmiast, ale rozmowa z Jagną krótko zwykle trwała, Hreczyn powracał do dworku smutniejszy jeszcze.

Stacha już tak prawie kochał, jako panią swoją tęsknił i za nim niemogąc pojąć, za czém niestannie się włóczy, na co się przydały te wycieczki, z których, oprócz pokaleczonych koni i znużenia innego skutku nie widział.

Gdy kilka dni miał wolnych w Krakowie, co się rzadko trafiało, używał ich Stach na to, aby się na biskupim dworze rozpatrzeć i rozsluchać, a czasem pójść do Juchima, który dotąd dotrzymywał wiary i zdawał się Kaźmierzowi życzliwy. Prawda, że mu się z tém nieźle działo, bo pieniądze kował.

O Mierzwie wcale jakoś slychać nie było, oddał się całkiem Mieszkowi i nawet już w Krakowie pokazywać się nie śmiał, ani wiernego udawać. Nie dziwił się temu Stach, ani nad stratą bolał bardzo.

Właśnie powrócił był z Poznania dostawszy tam języka, który go znów nappełnił trwogą

i zaniósł Biskupowi Pelce wiadomość że część ziemian krakowskich miała już znówiska z Mieszkiem. Wypadło mu dla dosłedzenia tych zdrajców zapukać do drzwi Juchima. On znalazł najpięć wszystkich.

Dworzek żyda bardzo był teraz urósł i rozszerzył się, a że mu nie nie groziło od Kaźmierza, mniej się teraz z zamożnością tail gospodarz.

Zwykle gdy Stach przybywał, odźwierny zobaczywszy go, natychmiast mu z poszanowaniem drzwi otwierał. Tym razem uderzyło go to iż za wrotami po wyglądnięciu okienkiem, zawrzało, zaszumiało, szeptano długo nim się furta otwierała.

Niemając jednak podejrzeń żadnych Stach wszedł szybko do izby gościnuiej, w której zwykle Juchima znajdował. Tu go nie było.

Na stole wino stało i jakieś słodycze, kubki niewypróżnione, a na jednem siedzeniu leżała zapomniana czapka. Uderzyła ona Stacha swą dziwną powierzchownością, naksztalt zawojn czarnego, przypomniał sobie że w takiej właśnie Mierzwę dawniej widywał. Aleć kolpaków podobnych po świecie wiele być mogło! Dziwniejszém wydało mu się że ztąd ktoś przed nim uszedł — czego zastawa niesprzątnięta ze stołu dowodziła.

Juchim wnet nadszedł witać gościa, lecz pomięszany widocznie, blady, tak iż od razu poznać po nim było można że coś w sobie tail..

Stach pochwycił ową czapkę i podnosząc ją a potrząsając — zawołał.

— A to co? gościa mieliście który się skrył przedemną?

Juchim obaczywszy owo lice odrętwiał, ręce złożył, wargi mu się trząść zaczęły.

— Tylko nie kłam — rzekł Stach — wiem czyja czapka, bom ją nie jeden raz widział na niepocziwój głowie Mierzwy!

Juchim usłyszawszy to imię krzyknął przeraźliwie, głowa mu na piersi opadła — Widząc pomięszanie Stach dodał nakazająco.

— Jeżeli on ztąd ujdzie, ty mi odpowiesz za to!

Juchim stał tak osłabły iż się za stół musiał pochwycić aby na nogach utrzymać. Błagające oczy zwrócił ku mówiącemu.

— Mówię ci — dodał Stach — tu jest Mierzwa. Znam go nadto, abym uwierzył że on tu dla zabawy przyjechał. Toć prawa ręka pana Kietlicza, wroga naszego. Jeżeli przybył, to za jego rozkazem, i szyi nie nastawiał próżno. Ja w tém że cały ztąd nie ujdzie.

Zginie on — ale z nim i przyjaciele jego a pomocnicy!

Juchim słowa nie mógł wyrzec jeszcze, strach nim owładnął taki, iż patrząc na starca litość brała.

Z zimną krwią dodał Stach.

— Dawaj mi go tu!

Grobowe milezenie w izbie panowało, oczy tylko Juchima skierowały się ku drzwiom którym wszedł, wskazywał niemi Stachowi że tam znajdował się winowajca.

Natychmiast śmiałym krokiem wszedł do bocznej komory. Tu, osłonięty sukienną oponą drżał w kącie przyczajony zdrajca, głowę okrywając, rękami bladymi cisnął konwulsyjnie pochwycione sukno. Porwawszy go za kark Stach wyrzucił struchlałego na środek izby tak silnie że Mierzwa padł i niewstając, na kolanach klęczący, ze złożonymi rękami, błagać się zdawał o życie.

Widok tego człowieka litość obudzał i wzgardę. Pod wrażeniem trwogi twarz jego zmieniła się tak okropnie, wykrzywiła, przeciągnęła, iż do człowieka prawie nie był podobny. Stach patrzył nań z góry milcząc długo.

— Ha! nareście mam cię ptaszku! — krzyknął — teraz już mi nie ujdiesz!

Mierzwa trząsł się i milczał, tłumaczyć się próżnem było — sama jego przytomność była dowodem winy.

— Mów z czémes tu przybył — zawołał Stach — bo że nie dla zabawy z przyjacielem Juchimem to pewna.

Nim mógł odpowiedzieć na to Mierzwa, Juchim który był odzyskał przytomność, wpadł do komory składając ręce.

— Na co chcesz przysięgi? — zaczął jęcząc — na nasze świętości? na biblię, na dziesięcioro? na wszystko co każesz przysięgnę że nie byłem i nie jestem zdrajcą! Z tym człowiekiem nie miałem nic! Pierwszy raz szatan go tu przyniósł do mnie! Niewiem czego chce, niema jak pół godziny gdy się tu weisnął na zgubę moją!

Mierzwa klęczał ciągle.

— Gadał — powtórzył Stach niezważając na żyda — gadał lub tej chwili na męki cię dam, aby ci gębę otworzyli.

Podźwignął się Mierzwa powoli, rękami począł twarz trzeć i płakać, namysławiając co miał odpowiedzieć.

— Miłościwy panie — przebaknął — ja także gotów jestem przysięgać żeni niewinny.

(Przełknął ślinę)

Ja tu mam robaczki moje, za którymi zateknę...

Zapłakał — a Stach się rozśmiał.

— Nie drwij ze mnie; robaki czy bękarty cię tu nie sprowadziły. Mów, bo cię dam na męki. Gdy cię oprawcy na postronkach do góry podniosą dopiero ty mi wyśpiewasz coś za Judaszowstwo przywiózł za nadrą.

Ja cię znam!

Mierzwa namyslał się.

— Jestem sługą ks. Mieszka — odezwał się — zostałem mu wierny.

— A płacę od nas brałeś?

— Chciałem się z rąk waszych uwolnić — zawołał, odzyskując śmiałość Mierzwa — Jestem sługą mojego pana nie żadnym zdrajcą.

— A coś mi ty przyrzekał? — rzekł Stach.

— Co? w początkum wam służył — mówił Pod-Sędzia — potem sumienie przemówiło, wróciłem do Mieszka. Nie zaprę się.

— Przysiągłeś mi?

— Przysięga przymuszona nie nie waży — życiam bronił — rzekł Mierzwa...

— Że się wykłamać potrafisz, to wiem — odezwał się Stach — Sługa Mieszka! a pocóżes tu? aby mu jednać przyjaciół i siać zdradę! Sames przyznał!

Juchim — zwrócił się do żyda — ty mi odpowiadasz za niego; jeżeli ujdzie, dasz głowę. Ja idę po straż. Mówić z nim stracony czas, na gałęź niecnotę!

Juchim ręce splótłszy na piersiach, drżał — Stach zwrócił się do progu.

— Miłościwy panie — odezwał się Sędzia — mnie życie drogie — ja powiem wam wszystko...

— I zaprzysiądziesz fałszywie — wtrącił Stach — a potem powiesz że przymuszona przysięga nie waży!

Mierzwa głowę spuściwszy, mruczał coś, Stach chciał już wyjść, pochwycił go za połą.

— Miłościwy panie! zlituj się, ja mam żonę i dzieci!

— Żonę i nie jedną — rzekł Stach — miałeś ich tu trzy czy cztery na odmiannę, nie licząc tych coś musiał w Poznaniu przysposobić.

Jęknął Mierzwa. Juchim ręce załamane trzymał przed Stachem, mówić nie mogąc, błagał go oczyma.

— Po coś przybył? — zagrmiał Stach.

Mierzwa myślał chwilę — Po co? — odparł burkliwie — wasza miłość wiesz. Jestem sługa Mieszka, przyjechałem mu jednać ludzi, alem — klnę się — niewidział nikogo, z nikim nie mówił, nie robił nic. Tu na nas nikt spojrzeć nie chce...

Z wzgardą popatrzwszy nań, Stach odechodził znowu. gdy Mierzwa jak długi padł mu do nóg.

— Życiem daruj! zrobię co chcesz! — zawołał — życiem daruj!

— Nie od ciebie nie potrzebuję — odtrącając go, rzekł Stach.

W tém Mierzwa nagle jakby mu jakaś myśl przyszła, wstał i poezął mówić prędko.

— Juchim da za mnie porękę żem ja tu nic nie zrobił, a taki sprawiedliwy pan jak książę Kaźmierz karać mnie za to nie może iż pana mego słucham. Wam żadnej krzywdy nie uczynilem — Juchim wie, Juchim poręczy.

Drgnął naprzód żyd gdy nstyszał o poręcz, potém głowę spuścił, nie umiał odpowiedzieć, nie wiedział co począć.

— Juchima przecie macie w ręku, i jego trzos — rzekł Mierzwa — Każdego czasu, jeżeli noga tu moja postanie, jeżeli co zbroję, weźmiecie go. On musi za mnie dać poręczę!

— Musi? co to jest musi? — wyjąknął żyd — ja, za was?

— Jak nie dasz poręki — krzyknął Mierzwa zwracając się ku niemu — na mękach czy bez mąk tak cię zwikłam, oplątam, oczernię, poprzy-sięgnę na ciebie, że zginiesz ty, i cały ród twój i wszystkie mienie twe. Jak ja zdrajca tyś też zdrajca! Choćbyś nim nie był — zrobię cię!!

Stach słuchał uśmiechając się z pogardą. Juchim odrętwiały, ręce to łamał, to sobie nicui oczy zakrywał — jęczał, głos stłumiony z piersi mu się dobywał jak płacz nie mogący wyjść na świat.

Chwycił się za głowę i resztę włosów rozpaczliwie targać zaczął.

— Poręczę za mnie da! — nalegał Mierzwa — a nie — mam ja gnać, zgubię i jego!

— Juchim za ciebie da poręczę — odparł Stach — a któż jemu za was zaręczy!

Juchimowi oczy błysły.

— Tak — przerwał — on musi dać zakła-

dnika syna swojego najstarszego Martka — ja go wezmę i dam rękę!

Mierzwie oczy się zaiskrzyły.

— Martka tu niema! — zawołał.

— To go przywiozą! — odparł żyd...

Stach myślał, wahał się — nie pewien co uczyni.

— Rozprawicie się o to z kim innym — począł — nie moja rzecz o twoim losie wyrzekać, ale moja dać cię w rękę komu trzeba...

— Tylko życia mi nie bierzcie! — przerwał Mierzwa — co chcecie róbcie ze mną — służyć będę.

— Służby twój nikt nie potrzebuje — milcz — odparł Stach — Sam Bóg chciał abyś się dostał w ręce moje, nie puszczać cię..

Oba obżałowani stali jak martwi.

— Mnie kara Boża spotkała niewinnego — odezwał się Juchim — świadczę się Bogiem moim, którego imienia wymawiać nam nie wolno, żem nie uczynił aniś pomagał do zdrady!

Podniósł oczy do nieba.

— Ten człowiek przyszedł tu po to aby mi życie wziął!

— Co się tu stało — odezwał się Stach uspokojony — pewnie z nieczyjś woli tylko z Bożej. Mierzwa pójdzie ze mną do Biskupa, bo Kaźmier mógłby mieć nadto nad nim litości. Ale wolno go nie poprowadzę. Po ludzi moich, postać —

Juchinie! Nim oni nadejdą, postronka mi dajcie..

Mierzwa wzdrygnął się, lecz milczał już. Nie było na podoręczu sznura, Juchim musiał długi pas zdjąć z siebie, którym Stach sam ręce w tył odgiąwszy spętał Mierzwie.

Sędzia prosił o opończę aby przez miasto nie szedł skrepowany jak złoczyńca. Stach nie mu nie odpowiedział. Żyd musiał wyjść spełnić rozkaz i postarać się o ludzi.

Po wyjściu jego Mierzwa spróbował jeszcze łitością natelnać Stacha, lecz żadnej od niego nie odbierając odpowiedzi, zamilkł w ostatku zagryzłszy usta.

Wkrótce nadeszli ludzie Stacha: Juchim przyodziawszy się w płaszcz musiał iść razem z winowajcą. Poprowadził ich uradowany obłowem Stach do Biskupa. Szczęściem dla jeńców na dworze ściemniało, śnieg pruszył i nie spotkawszy nikogo dostali się do dworca biskupa, któremu znać dano iż Stach zdrajców jakichś na uczynku złapanych prowadził.

Nie jego już rzeczą było, sprawę wysłańca Mieszkowego sądzić, który stanął w obronie swój przed Biskupem z całą umiejętnością i przebiegłością swoją. Nie pomogły one nie i po długich jękach i prośbach, Biskup go kazał do więzienia dać dopóki by zakładnika nie stawił.

II.

Od wstąpienia na stolicę Kaźmierza cicho było i zamarło na zamku w Tęczynie. Dobrogost i Sędziwoj stronili od księcia i dworu; znano ich jako przyjaznych Mieszkowi, lecz nie dali powodu jawnego aby ich nieboszczyk Gedko lub następca jego Pelka do odpowiedzi za to pociągać mogli. Trzymali się cicho i na nboczu. Jeździli wprawdzie do Poznania i młodszych swych przy dworze księcia Mieszka osadzali, lecz za to ich karać się nie godzilo, a mniej niż ktokolwiek, Kaźmierz mógł im to za złe poczytać. Pan był miłościwy wszystkim, szanujący wszelką miłość i każdą wierność.

Bracia z Tęczyna na wielkie nawet zjazdy, gdy się ziemianie wszysej zbiegali do Krakowa nie stawali wcale. Mówiono albo że ich doma

nie było, lub że chorzeli, a w końcu i wcale nie, bo już o nich zapomniano.

W Tęczyńie jednak teraz, gdy pomiędzy ziemianami ciągle wyprawy na Ruś, do Halicza, dla wypędzania jednych a osadzania drugich kniaziów, co raz częstsze a uciążliwsze, zrodziły niechęci i narzekania — co było nieprzyjaznego Kaźmierzowi tajemnie się na narady zbierało.

Biskup Pelka może nie przypuszczając aby tak blisko, pod bokiem księcia i jego coś się knuć mogło, nie zwracał na te zjazdy uwagi. Odprawiano je niby dla myślistwa i zabawy, a w istocie groźne były wielce. Mieszko miał tu ognisko, z którego skry sypały się na całą ziemię.

Od dawna już oczekując sposobnej pory, gotowano się do jakiegoś zamachu na korzyść Mieszka, który niczem nie zrażony, zawsze pragnął i spodziewał się panowanie odzyskać. Teraz nowa do Halicza wyprawa, z powodu sporu Romana Włodzimierzowicza ze Wsewołodem Belzkim niechętnym następcą pole do próby nowój, śmielszej nad inne nieudane.

Sama wieść o tej wojnie postanowionej, jak się uskarżano, bez wiedzy i rady panów burzyła umysły. Korzystał z tego Mieszek i słał kogo tylko mógł ze swoich ludzi, aby tam ziemian podburzali.

Zapowiedziane były wielkie łowy na zamku w Tęczyńie i, wrzekomo dla nich rozsy

łano gońców zapraszających do wszystkich tych którzy, albo już byli w spisku, lub się ich do niego wciągnąć spodziewano.

Bracia oba siedzieli tu już od dni kilku. Wielkie przygotowania czyniono dla gości, w izbie stały ciągle nakryte były i pozostawiane, bo przyjęcie naówczas bez obfitości jadła i napoju nie zwało się gościnném. Sadzono przybyłego natychmiast do misy i dzbana aby głód i pragnienie, sycił i gasił.

Powoli do zamku ściągali się ziemianie, nie wedle obyczaju łuczno i ludno, ale kupkami małemi ze psy i myśliwskim przyborem. Spodziewano się wszystkich siedemdziesięciu głów rodów możnych, gdyż tyle ich było co się z powodu wypraw na Ruś Kaźmierza, przeciw niemu oświadczały, chcąc mu wypowiadać posłuszeństwo. Zżymano się na samowolę księcia i hetmana Mikołaja.

Po jednym ziemianie wjeżdżali na zamek otwarty, po większej części ludzie już nie młodzi, których strój i oręż wielką zamożność wydawały. Każdy z nich zaraz się rozbroiwszy szedł do wielkiego ognia w bocznej izbie, siadał na ławie, ciepłym winem się zagrzewał i rozmowę przerywaną ciągnięto dalej.

Czy z obawy służby, chociaż ta posłuszenie podzielała panów swych miłość i wstępy, czy z poczucia własnej winy i pewnego sromu, zwy-

kle burzliwe ziemian narady i zjazdy, tym razem odbywały się cicho.

Mruczano więcćj niż mówiono, szeptano pół słowy i pół głosem. Kilku tylko, szczególniećj Sobek z Kozięglów i Daczko brat jego, dwu Sreniawitów z Proszowie, śmielećj się czasem i głosićj wyrywali. Gospodarze oba, ludzie niezbyt mówni, potakiwali znakami, lub potwierdzali półgębkiem. Wiedzieli wszysey o co szło.

— A no! — mówił Sobek z Kozięglów — mamy już dosyć tego panowania miłościwego — trzeba mu koniec polożyć. Dobry pan tak się stał dobrym dla Rusinów swych, wujów, stryjów, siostrzeńców i powinowatych, że dla nas jest zły, bo my naszą krwią musimy bękartom Halickim do tronów ich drogę skrapiać. Z węgrami się zadarli — idź a idź na Ruś — nie pyta!

— Po co ma pytać? — przerwał Sreniawa — gdy Biskup Pelka powie, a pan Mikołaj brat jego potwierdzi, Kaźmierz posłucha, oni dlań w sobie wszystkich ziemian zamknęli.

Nie dosyć było Brześć szturmować, Halicz brać dla Mściława, teraz znów ich trzeba godzić i rozsadzać — a my za to płacim.

— Niedolega we wszystkim — odezwał się rzadko przemawiający Dobrogost z Tęczyna. — On sobą nie rządzi, nim wszysey, rusiny, baby, księża, tylko nie ci oo powinni, nie my, co tu gospodarować mamy prawo. A toć lepićj Mie-

szka posadzić co siłę ma, państwo do ładu przyprowadzi i naszych panów ojców duchownych trochę na bok usunie, bo wkrótce — jak tak potrwa sami Biskupi już tu będą rządzili, bez wszelkiego pana się obchodząc.

— Hej! hej! — wtrącił z boku Drogut, stary i siwy człek, który schyłowy siedząc w ogień patrzył obojętnie — Gdyby Mieszek tę siłę miał, o której prawicie, dawnoby już mógł opanować Kraków — ale i to ciemiega.

— Ho! ho! nie mówcie tego — rzekł inny — Dla niego teraz porwać się a nie dokazać sprawa gardłowa; Pelka i Miklasz, gdy mu się noga ośliźnie nie przebaczą i będzie z nim co ongi ze Zbigniewem było. Musi dobrze się gotować i wyważyć!

— Waży też do zbytku — mruknął Drogut z uśmiechem — Przypomniście sobie lat ostatnich sprawy.

— A toć! Albo nie jeździł do Cesarza do Rudobrodego i nie dał córki własnej na ofiarę dzielnemu synowi Bogusza z Pomorza?

— I cóż z tego miał? nie — rzekł Drogut — Rudobrody go zbył niezem, a Bogusz córkę wziął ale porwać się nie śmiał.

— Bo i nie pora była — odezwał się Dobrogost — Tylko co Brześć i Halicz wziął Kaźmierz, rycerstwo było rozzuchwalone zwycięztwy, do

kupy ściągnięte, gotowe... Jak się miał porywać? jak?

Przypomnijcie sobie nie tak to stare dzieje, że naówczas Mieszek poczynal bardzo mądrze i ogłędnie! Ho! ho! niewiecie jak ze Szlżakami się sprzął, a Kaźmierza na nich podszezuwał?

— Tak — odparł Drogut — tylko że i z tej mądrości nie było nic. Kaźmierz jak zawsze przebaczył, Mieszek się poklonił i pojechał przemyślać o nowój sztuce, żeby i ta chybiła.

Nie sporzę że wynajduje coraz co nowego, a no, nigdy mu nie dojrzeje tak żeby się rozpękło; zwiędniecie w zawiązku.

— Cóż on winien? co? — począł drugi brat z Kozieglów — Ludzie mu gorzej psów służą. Pan Bóg zdaje się go próbować — No — i jak Bóg miły, Kaźmierz przez te swoje relikwie, świętych nabożeństwa po prostu siłą bożką odgania wszystko. Już nie mogło być nic większego jak owa syna Cesarskiego Henryka wyprawa w trzydzieści tysięcy ludzi na Kaźmierza.

— Prawda! — rozśmiał się Drogut — i pięknie się skończyła! gdy Henryk na owym probostwie odpoczywając, co się pod nim zawalilo, ledwie sam w oknie siedząc z Arcybiskupem Mogunckim ocalał, a Turyngskiego Landgraфа i innych panów ledwie żywych za uszy wyciągnięto z kloaki w którą wpadli...

— Czyste czary! — podchwycił Sędziwój —

bo ledwie się z tego gnoju dobyli, na drodze znowu od dzwonów zostali pobici co im się zerwawszy, na głowy pospadały.

— Że nieszczęśliwy Mieszek to prawda — potwierdził drugi — ale i Kaźmierzowi jak temu dzbanowi co długo do wody chodzi w końcu się urwie ucho.

Wielka większość przytomnych powitała przepowiednię śmiechem wesołym.

— Z Leszkiem młodym albo nie mądrze sobie postąpił, nie przebiegle, namówiwszy starego bałwana Żyrę że mu Płock zdał i wymógł zapis. Już zamki wszystkie miał w ręku.

— A długoż je trzymał? — spytał Drogut.

— Na Mieszku jakiś przeklęci cięży! — szepnął inny wzdychając.

— Nie prawda — odparł Dobrogost. — Już przez to samo że po tylu nieszczęściach nie stracił otuchy, dowód stawia że siłę w sobie czuje..

— A na Kaźmierza już pan Bóg zaczął zsyłać przestrogi, i jemu się już nie wiedzie — mówił Sreniawa — Piękne chłopię, najstarszego syna, stracił tak marnie.

— O tém to jakoś różnie ludzie mówią — odezwał się głos z kąta.

— Niema o czém mówić, bo to był jawny palec Boży — kończył Sreniawa. — Chłopak ze swawoli drzewo ścinał na którym się coś poru-

szło. Była to żmija czy padalec, co mu się na szyję rzuciła i ledwie dotknęła go padł martwy.

— Syna ma drugiego, ten na dziedzica starczy — odparł Dobrogost — Znalazłoby się też dzieci więcej gdyby ich po kątach szukać, a no z temi się chwalić nie będzie.

Po krótkim milczeniu starszy jeden począł znowu.

— Mówcie wy sobie co chcecie, wojna z Kaźmierzem to razem i z duchownymi i z panem Bogiem i ze świętymi pańskimi. Już matka jego Salome kości i relikwii świętych siła nagromadziła, a Kaźmierz sobie w Rzymie uprosił całego jednego świętego zwłoki za patrona.

— Że mu te moce i potęgi pomagają, — wtrącił drugi — temu nikt nie przeczy, ale my też nie jesteśmy niezbożnicy, i tego samego Boga a świętych jego czcimy.

— Nie tak jak on! nie tak! — przerwał inny głową kręcąc — on im kościoły buduje, trumny sprawia bogate, chwałę ich mnoży. To wszyscy wiedzą jak po kości święte śląd do Rzymu do papieża i co się tam stał za cud.

Milezeli wszysej, a mówiący dalej ciągnął.

— Powiadają że Lucyusz Biskup najwyższy, gdy do niego posłowie ci przybyli, wszedł z nimi do grobów w których mnogie zwłoki męczenników spoczywają i przechodząc okolo nich, po-

czął sobie mówić jakby pytał. — A któryżby z was jechać chciał do Polski?

Staął naprzód u grobu Wawrzyńca świętego z którego usłyszał wychodzący głos — Nie dawajcie mnie na nową spiekę, bo tam się jako na rószenie palić będę musiał między ludźmi gorącemi, a ugasić ich żaru nie zdołam.

Więc zdumiony wielce postąpił krok dalej, kędy spoczywał Szczepan święty, a oto od grobu jego dał się słyszeć głos — Nie dawajcie mnie na nowe kamienowanie porywezością narodu tego który i na świętych swych i błogosławionych i nkoehanych gotów miotać głazy, gdy nim szal owładnie, choćby jutro miał o przebaczenie błagać.

Gdy coraz bardziej strwożony Lucyusz, dalej jeszcze krok postąpił i spojrzał kędy leżały kości żołnierza męczennika Floryana świętego, wysunęła się z grobu ręka jego i dał się słyszeć głos — Dajcie mnie im za patrona, pójdę do ziemi ich, gdzie nieustannie płomienie gasić potrzeba aby ich nie pochłoneły.

A tak dostał się nam mąż rycerski Floryan święty który zaraz na wstępie do grodu swojego cud uczynił. Albowiem gdy z wielką cześcią prowadził zwłoki Biskup Gedko i książę, wóz z nimi zatrzymał się na Kleparzu, gdzie święty chciał mieć kościół wystawiony pod zawołaniem swém który mu też tam wzniosł Gedko i złożono w nim

rękę tę świętego, co się ku naszej ziemi wyciąguła litościwie.

Milezeli wszyscy słuchając opowiadania, aż Sobek z Kozięglów przerwał zasepienie długie, które po nim nastąpiło.

— Na Boga ani na świętych jego się nie porywamy. Gdyby tak przyszło lękać się wszystkiego, nieby już człowiek nie począł. Czas byśmy o sobie pomyśleli — Pelka i brat jego, a cała gromada ich zauszników obróć nas w chłopy i niewolniki.

Pytaliż się oni kogo o tę na Ruś wyprawę? Słowa nikt nam nie rzekł, posyłają wici, słuchaj, pod gardłem.

— Tych Węgrów i Rusi na prawdę aż pod gardło mamy, — odparł drugi z Kozięglów — niech już będzie co chce, a bronić praw swych musimy. Gdyśmy tu z Sandomirza prowadzili Kaźmierza, lepszegośmy się w nim pana spodziewali.

A oto zaraz w Łęczycy okazało się żeśmy nie dla siebie, tylko dla Biskupów pracowali a dla knieci. Im popuszczono, nas ściśnięto, ledwie dyszymy.

— Gdanko nam tłumaczył że książę nas do Rady przybiera i bez Rady nie stanowić nie będzie. Nie pytają dziś o radę nikogo — rzekł Dobrogost.

— Cała Rada, dwu Mikołajów, Pelka jeden,

Jaksa i może niemice przybędą, nas co najprzenniejszych ojców zbywają gdy przyjdziemy, tём że już postanowiono...

Szeptać poczynali gromadkami pytając jedni drugich co postanowiono, gdy Dobrogost cicho rzekł niektórym iż Kietlicza samego lada chwilka spodziewa się z Krakowa; bo się teraz nie na żart zbierano do roboty.

— Gdy Kaźmierz na Ruś wyciągnie z całą siłą swoją — dodał — i swoich tam wszystkich zabierze, na zamku się pozostanie mało albo nie luda. Ku Haliczowi się zapuści, będziemy mieli dosyć czasu Mieszka powołać, który na Szlązku stać musi i czekać hasła... Wprowadzimy go na zamek i okrzykniemy.

— Ha! ha! niech Kaźmierz sobie w kochanym Haliczu o gospodę prosi — śmiał się Sreniawita.

— Albo we Włodzimierzu! Jużci mn ją Rusini dać winni — mówił inny szydersko — obja-
dali go tu długo kniaziowie siadając u niego.

— Niechaj potём zna co ziemianie ważą! — mruknął Sędziwój.

— Byle się raz powiodło — dodał Dobrut — ja bo jnz wiare straciłem bośmy się nie mało razy sparzyli — i nie było z zachodów nic.

— Szyję za to daję — odezwał się Dobrogost — że Mieszek i Kietlicz tym razem dobrze wszystko wyważą i ndać się nam musi...

Nie probowali dotąd, bo nie byli swojego pewni.

— Zamkn nie będzie bronić komu — mówił jeden.

— A miasto? a kmiecie?

— Na tych siłę mamy — odparł Dobrogost - -
czerń i ciżbę zgnieciemy i rozproszym.

— Zgnieciemy! — potwierdzali drndzy.

Głosy się nieco podniosły żwawsze i wneń spiskujący sami się tego uląkłszy znaki sobie dawać poczęli aby milczeć.

Nadjeżdżali coraz nowi, czekano na obiecanego Kietlicza, który się opóźniał. Zeiemniało już dobrze, oba gospodarze niespojni trochę, naradzali się czyby ludzi nie posłać na drogę ku Krakowu. Inni odradzali aby oczów na siebie nie zwracać zbytnim ruchem.

Ile razy w podwórón zatętniało, wybiegano patrzeć, ale przybywali tylko ci co umyślnie pod noc się wybrali aby ich niepostrzeżono.

Kietlicza nie było.

Domysłali się już płochliwsi czegoś straszne go. Nuż główny sprawca, prawa ręka dostał się Pelce w garść? Przeczyli inni iż to nie mogło być.

— Nie ma na świecie przebieglejszego lisa — mówił Sobek — nad tego Kietlicza. Uchowaj Boże by go pochwycili, Mieszek ani synowie jego sami sobie rady nie dadzą. Patrzeć na tę przy-

sadzistą beczkę, na jego leb ogromny wziąłby go za parobka, za człeka co się żwawiej poruszyć nie zdoła, a zwija się jako nikt, a sunie jako wąż... Mądry będzie, kto go ulowi!

— To prawda, że gdyby Hendrka Kietlicza nie stało — rzekł Dobrogost — więcejby się z nim straciło, niż w dwu pułkach. Mieszek bez niego nie wart nic.

— Jako żywo — zaprzeczył Sędziwój — my lepiej księcia znamy. A któż to tego Kietlicza wziął tępego i nieokrzesanego i uczynił go tępem, czém dziś jest? On ci go popychał, on kierował, sam też bez mózgu nie jest...

— Pewno! pewno! — potwierdzało kilku.

Rósł tak niepokój z nadchodzącym wieczorem, aż gdy do stołów zasiedli i do kubków się wzięli, zapomniano trochę o trosce. Ino gospodarze często spoglądali ku sobie i nasłuchiwali.

Misy stały próżne i dzbany odnawiano, gdy naostatek w progu powitany okrzykiem stłumionym, ukazał się mężczyzna gruby, otyły nieco, czerwonej twarzy, najczonego włosa. Był to długo oczekiwany Kietlicz. Sędziwój, który naprzeciw pospieszył, postrzegł zaraz, że niewesół powracał. Twarz jego od wiatru ze śnieżnicą mocno zaoogniona, pomieszana była, oczy biegaly niespokojnie, usta miał zacięte, czoło potłdowane.

Na powitanie ledwie skinieniem głowy odpowiedziawszy, oczyma począł mierzyć zebranych

Wszyscy od stołów wstając cisnąć się do niego zaczynali. Zarzucano go pytaniami, na które zasapany i zmęczony nie odpowiadał. Z obawą jakichś ludzi mierzył wzrokiem, jakby się znaleźć między nimi spodziewał niewiernych. Dobrogost dał mu znak, odstąpili na bok.

— Z czémże wracacie? — spytał.

— A, z lichem! — odparł szorstko Kietlicz.

— Cóż się stało? grozi co?

— Jeszcze to tam nie wielkiego — rzekł głos zniżając Kietlicz — a no! a no! — Ruszył ramionami.

— Mówcież! — nagił Dobrogost.

Wahał się przybyły, widząc tyłu ludzi dokoła, których nie znał, targał na sobie odzienie, podano mu wina kubek, wychylił go żywo.

A tu naciskali się ciekawi, co zamiast go cieszyć, niepokoiło.

— Ot co — rzekł pocichu do gospodarza. — Wzięto mi najlepszego, najpotrzebniejszego sługę. Jak go na męki pociągną, gotów śpiewać co nie trzeba i mnie zdradzić. Uchodzić muszę...

Choć oprócz Dobrogosta mało kto mógł posłyszeć rzeczone słowo, popłoch jakiś wionął po całym zgromadzeniu. Ruch się wszczął niespokojny, szeptano trwożliwie dokoła. Kietlicz pomiarował, że niepotrzebny może strach posiał — mogło to sprawię zaszkodzić. Rzuciwszy oczyma ku

drugiej izbie, wsunął się do niej z kilku zaufanymi i drzwi się zaraz zawarły za nimi.

— A! zła godzina! — rzekł Kietlicz — zła godzina! Ale nie takieśmy już przebyli i przeżyli, nie ma czego rozpaczać — tylko ostrożnie dalej! westchnął — Mierzwę mi wzięto!

Mierzwa znanym był braciom z Tęczyna i innym wielu z czasów sędziowskiego urzędu, jako człek bystry i mądry, zasmucili się wszyscy.

— Gdzie? jak? — przerwał Sobek — pewnie do bab polazł, bo podwikę nadto lubi!

— Nie! — mówił ożywiając się Kietlicz — lieho nadało, do starego drnha do Juchima wstąpił, a tam go niepocziwy człek, niejaki Zabór, co mi już kością stoi w gardle, bo go na mój drodze wszędzie pełno — człek co mi się jak wąż z rąk wymyka — pochwycił i ujął!

— Gardło mu wezmą! — smutnie szepnął Dobrogost.

Kietlicz głową potrząsał.

— Może się nie dadzą — rzekł. — Gdzie dwu takich w sprawie jest, jak Juchim i on nie może być, żeby się nie ratowali. Jeden ma rozum duży, drugi pieniądze.

Tarł czoło Serb i stękał.

— Mnie uchodzić trzeba — ciągnął po chwili. — Krótko się rozmówmy. Na zamku trzeba ludzi kilku zyskać, aby było komu wrota zawczasu otworzyć. Jak tylko wyciągną na Halicz, dawaj-

cie nam znać, pogotowiu stać będziemy na szlękiej granicy, wpadniemy jako piorun na Kraków.

— Niewiecie, kogo Kaźmierz zostawi tu? — spytał Sędziwój.

— A no Pełkę biskupa, pewnie z bratem Mikołajem, tych dosyć. Nie lękali się dotąd nas... nie widzieli nic...

— Mikołaj w Krakowie — przerwał Dobrogost — twardy człek i obrotny — to źle!

— Bez ludu, co on wart? — odparł Kietlicz. — My z dobrą wpadniemy gromadą. Mieszek niedawno poręczył bratu swą wierność, spodziewać się go Kaźmierz nie będzie. Weźmiemy ich w pierwospy.

Byle sobie na Ruś wyszli.

— Pójdą pewnie — mówił Sędziwój. — Gdy idzie o sprawę kniaziów ruskich, Kaźmierz gotów zawsze choćby krew przelewać, byle im służyć. Nic dla żony to czyni, boć jej tak bardzo nie miłuje, ale mu się umieją przypochlebiać, kłaniać, polechtać a wspaniałomyślny pan rad, aby go sławiono i czołem mu bito... O! pójdzie na Ruś, a choćby i na Węgry. Już to postanowione.

Kietlicz się zwrócił ku nim.

— Na was, miłościwi ziemianie tutejsi cała waga, wszystka nadzieja nasza — rzekł. — Bez was choćby z tysiącami, my nie starczym. Biskup Pełka i pan Mikłasz wojska się nie ulękną, a ziemianom ustąpić będą musieli.

— Będzie nas dosyć! — zapewnił Sędziwój. Drudzy dwuznacznie głowami poruszali.

— Ilu liczycie? — spytał Serb.

— Żupanów z ich rodami i zawołaniem mamy siedemdziesięciu — dodał Sędziwój — toć znaczna rzecz.

Kietlicz nic nie powiedział.

— Przysporzy się ich, gdy wieść się rozszerzy, żeśmy na zamku i mamy go w ręku — ciągnął Sędziwój. Siedemdziesiąt zawołań, na głowy zbierze się dużo. Zamek opanować, pójdzie reszta sama!

— Zamek i biskupi dwór — poprawił Kietlicz. — Pelkę w rękach musimy mieć, brata jego też, bo ci są najstraszniejsi.

— Gdyby nawet wasze poczty nie nadciągnęły — mówił Dobrogost — naszych siedemdziesiąt żup, siła znaczna. Każdy swoich przyprowadzi, mają ich pogotowiu... Kto tylko mógł, od ciągnięcia na Ruś się wyzwolił.

— I z tém trzeba ostrożnie — przerwał Serb. — Gdy nadto wielu pozostać zechce w domu, Pelka i Mikłasz mogą przewąchać, że się coś gotuje! Z każdego zawołania gorszych trzeba Kaźmierzowi dać, niech idą. Skoro się to na Ruś ruszy, resztę powołać od kolka do kolka i na Kraków!

Zaczęto się naradzać i obliczać pocichu, i zrzadka tylko szepty, głośniejsze wybuchy przerywały. Poza drzwiami zamkniętymi do wielkiej izby gwar

słyszeć było głuchy, nieustający, czekano tam, aby się drzwi otworzyły, aby im znać dano co się uradzi, bo niepokój zrodziło posępne oblicze przybyłego, a podwoiło go to, że na osobności z małą garstką pociechu radził.

Wyszedł ku oczekującym Dobrogost i półgębkiem oznajmił, iż nic złego się nie stało, że choć ciężko szło, ale nie zmieniło się nic, i gotowości a pilności wielkiej tylko potrzeba było.

Czoła się zasępily.

Dobrut począł szeptać swoim, że taki coś jest o czém im nie mówią, aby serca nie psuć.

Drudzy ducha krzepili. Przycichła jednak zrazu dość wesoła wrzawa, naradzać się przestali. Dobrogost nazad powrócił do komory, w której był Kietlicz. Wielu ciekawszych u drzwi jęł się skupić nastawując ciekawego ucha — lecz oprócz szmeru, nie pochwycić nie mogli.

W tém zdało się im, że nagle zawieruszyło się we wnętrzu, hałas powstał, gadanie pomieszané, niewyraźne, niespokojne. Głos jakiś piskliwy, jęczący, który do żadnego znanego nie był podobny, dał się słyszeć.

W istocie był tam ktoś obcy. W chwili, gdy gospodarze i kilku zaufanych umawiali się z Kietliczem, wsunął się starszy komornik oznajmując, że ktoś pilno przybył z Krakowa, żądając mówić z Hendrykiem.

Kietlicz, choć nie sam to imię nosił, dorozu-

miał się, że o niego szło i uląkł zdrady. Już miał uchodzić, gdy Sędziwój wybiegłszy sam wprowadził za sobą ledwie dyszącego, trzęsącego się, mówić jeszcze niemogącego i piersi rękami drżącymi cisnącego Juchima.

Koźuch na nim pomięty, sianem i słomą potrzesiony, odzienie domowe ledwie narzucone, świadczyły o pośpiechu z jakim się wybierał. Oparł się stary o ścianę u drzwi dysząc jeszcze ze znużenia. Wodził długo oczyma po izbie, nim się przemówić zebrał.

— O wszystkim wiem — rzekł przystępując Kietlicz.

— Nie wiecie o wszystkim! — przerwał Jachim z rozpaczą odzienie na piersiach targając. — Ja jestem zgubiony, zabity, ten człowiek mnie w grób wrzucił! mnie, dzieci — wszystko!

Jęknął.

— A ty jego i siebie wyzwolisz — odparł Kietlicz zimno.

— Jak? jak? — zawołał Jachim. — Ja jego nie uratuję, my poginiemy oba! Przyślijcie mu syna na zakładnika, przyślijcie, może tak się co zrobi! Ja nie wiem!

I głowę w dłonie ująwszy, żyd jęczeć począł. Kietlicz się przybliżył doń powoli.

— Syn, syn wam się na nic nie zda — odezwał się — ani Mierzwie, ani wam nie przebaczą i nie zawierzą. Choćbyś się oplacił, już oni złem

okiem na was będą patrzeć. Ratujcie Mierzwę, bo mi potrzebny, a sami też z nim do nas uchodźcie!

Juchim w początku słuchał chciwie, potem głową zaczął trząść.

— Uchodzić! aj! — odezwał się — cóż to ja sam, a żonę, a dzieci, czy ja w połę zabiorę? — i to co mam...

— Pieniądze i życie ratujcie naprzód — dodał Kietlicz, reszcie się nic nie stanie.

Juchim nie słuchał już, tak rada wydała mu się niezdarną...

— Tego co ja tam mam — mruczał — gal-ganów, sprzętu, ubóstwa mego? ja na dziesięć wozów nie zabiorę.

— Stary, a nieporadny! — z gniewem zawołał Kietlicz. — Czyż ja cię mam uczyć, abyś wozy nocami po jednemu odprawiał!

Juchim uśmiechnął się gorzko, nie chciał mówić, aby się z bogactwem nie wydawać, rady brzmiały mu jak szyderstwo i urąganie. Za nie w świecie nie byłby tego mienia na które pracował całe życie, puścił bez straży; zabrać je i uwieść niepostrzeżenie było niepodobieństwem. Nierychło podniósłszy głowę, mówić zaczął z gorącością wielką.

— Albo to wy nie możecie tego teraz zrobić na co się od lat tyłu daremnie zbieracie i odgrazacie? wojsko ciągnie na Ruś, miasto będzie

puste, zamek goły... Niech książę przychodzi, weźmie jak grzyba.

Gosłodarze z Kietliczem spojrzeli na siebie. Ostrożny Serb wtrącił.

— Albo to łatwa rzecz?

— Jeżeli ona teraz wam nie łatwa, to już zawsze będzie trudną — ciągnął żywo Juchim. — Dażo jest ludzi, co z pana nie radzi, nowego by cheieli. Wszystko co żyje, zbierają na Ruś — no — w mieście robi się, co potrzeba. Starosta będzie nasz, ja za niego ręczę, ja go znam! Ocalcie nas, ale potrzeba prędko — prędko...

Zadychał się stary i spojrzal. Słowa jego tak przypadaly do myśli słuchających, że mu się nie sprzeciwili. Zdawało się, że ich odgadł.

— No — wtrącił Kietlicz — kto wie? mogłoby to być, ale i wy nie żałujcie na to groszy. Starostę njąć trzeba...

— Gdy wszystko mam tracić, wolę polowę — zawolał Juchim i poprawił się zaraz — wolę część. Nie pożałuję, starostę mam w ręku.

Kietlicz i bracia oba zbliżyli się do żyda, rozpytując pilno i o starostę i gmin miejski, zakim on trzymać będzie.

Starostę upewniał Juchim, rękę kładąc na piersiach, że weźmie, co do gminu, namyślał się na odpowiedź.

— Gmin? a co znaczy gmin? — rzekł cicho. — Motloch księcia lubi, bo jalmużny daje, ubogich

karmi, zły nie jest, ale gmin pójdzie za starostą, a tego ja — mam!

Za kmieci nie chciał ręczyć żyd, owszem utrzymywał, iż tych od Kaźmierza żadną nie odciągnie siłą.

Już się narada kończyła, gdy nagle Juchimowi oczy zabłysły i począł rękę podnosząc.

— Ja jeszcze jedno powiem! Może ja tego nie wziąłem z własnego rozumu, może to nie nadra rzecz, ale mnie przychodzi do głowy jeden sposób, aby wszyscy poszli do Mieszka, nawet ci, co nie są jego!

Zatrzymał się chwilę i głos zniżył jeszcze.

— Cóż to? — ciągnął miotając oczyma — jak on pójdzie na wyprawę na Ruś, czy jego tam zabić albo otruć nie mogą?

Wszyscy zamilkli, a żyd zląkł się własnego słowa i rękami potrząsać zaczął.

— Niepotrzeba, żeby jego kto zabijał albo truł — dodał żywo — na co? można powiedzieć, że on nie żyje. O tyle mił kto może temu kłam zadać? a jak wieść pójdzie, że jego na świecie nie ma, czy nie pójdą wszyscy do tego co jest?

Kietlicz się uśmiechnął, wszyscy zrozumieli i przewrotność i zręczność tego wybiegu. — Rozumny człek! rada dobra! — zawołał Serb. — Gdyby nie ten kłopot dzisiejszy, nie byłby nam skarbnym jój przyniósł, a mybyśmy na tę myśl nie wpadli!

Uderzył tak silnie po ramieniu żyda, że się aż wzdrygnął.

— Róbcie tak — dodał.

— Co to pomoże — przerwał żyd — jeżeli wy się nie ruszycie? Jak się wieść rozgłosi, trzeba żeby było komu beżpańskie wziąć! Zamku nie ma bronić komu.

— A biskupi ludzie? — spytano.

— Biskup swoich daje księciu na Ruś — odparł Juchim.

— Brat jego idzie czy nie?

— Kto go wie — odparł Juchim — a co on będzie wart sam jeden?

W ten sposób Juchim stał się powiernikiem zmowy, nie postrzeżono się nawet, gdy przyjmując jego radę, wydano się z własnymi zamiarami. Plan cały był osnuty. Kietlicz zyskiwał pomoc pieniężną i czynnego robotnika, któremu szło o własne życie i mienie, nakoniec pomysł szatański rozpuszczenia fałszywój wieści o śmierci Kaźmierza, który się wszystkim zdał najdzielniejszym środkiem, do odebrania mu ostatnich przyjaciół i sług wiernych.

Pozostałe dziecię Kaźmierza, Leszek był małym chłopięciem, któremu opiekunem z prawa Mieczysław przypadał.

Rozjaśniły się twarze.

— Nie ma już potrzeby tak pilno myśleć

o Mierzwie — rzekł Kietlicz. — Może posiedzieć trochę, uwolnim go, zamek zdobywszy!

Juchim zmarszczył brew.

— Byle nie zdradził, nie gadał, i nie ucickł — dodał chmurno — bo za niego wezmą mnie i zabiją!

— Nie bój się — przerwał Serb — tobie się nie nie stanie, a rychło też wszystko się skończyć musi.

Po tej rozmowie żyd uspokoił się nieco. Nie było już dłużej o czem rozprawiać, poszeptano jeszcze i Juchim, który musiał nocą do miasta powracać, aby wycieczki jego nie postrzeżono, wymknął się do swoich sani. Kietlicz kazawszy też konie podprowadzić, wyszedł do oczekujących w wielkiej izbie.

Jeden z nich zaraz przeciw niemu wystąpił, był to młodszy brat z Kozieglów.

— Powiedzcież nam, coście uradzili — odezwał się śmiało — bośmy tu karku nastawiając darmo nic przybyli, i chcemy wiedzieć, jak stoi sprawa? Będzieli z niej co? Albo znów mąka przepadła i chleba nie upieczem.

— Wszystko stoi, jak było mówione — odparł posłannik Mieszka — nie zmieniło się nic. Stójcie pogotowiu, my przyjdziemy. Nie chybcie nam.

Ziemiańie urażeni trochę, że im długo czekać kazano, nie zwierając się niczego, poczęli wołać.

— Nie chybcie wy! niejeden raz myśmy już

na was czekali, a my nikogo nie zawiedliśmy. Wodzicie nas, wodzicie, Kaźmierz jak siedział, tak siedzi, aby i teraz tak nie było!

— Teraz pora inna i my gotowi — rzekł Serbsnowo — książę z synem Bolesławem na granicy już stoi. Z Wielkopolski lud pójdzie z nami, Pomorze i Szlązko.

Wtrącił ktoś, że bez Szlązaków lepiejby się obeszło; inny dopominał się naznaczenia czasu — odparł Kietlicz — że to od wyciągnięcia na Ruś zależało. Gwar się wszczął o prawdopodobny ów czas wyjścia, gdy już ten, na którego się oglądano, znikł z izby i przez komorę do koni swych pospieszył, aby nocą dostać się do lasów i nie być postrzeżonym.

Gdy go nie stało, wszyscy też na noc szukali legowisk na sianie, ławach, gdzie kto uspiął iniejsce pochwycić. Nazajtrrz zapowiedziane były łowy, z których mieli się wszyscy rozjechać, każdy w swoją stronę.

Tak ten spisek siedemdziesięciu uknuł się pod bokiem księcia, czujném okiem biskupa i pilnym dozorem brata jego Mikołaja, a nikt się go prawie nie domyślał. Stach jeden miał jakieś przeczucia, chwycił ślady knowań, których nie mógł złapać wątki. Obawiał się wyprawy na Ruś i ogłoszenia Krakowa, lecz biskup gromił go, że siebie i drugich niepotrzebnie trwoży.

Tak pochwycenie Mierzwy, które zdawało się

szczęśliwą zdobyczą, pomnożyło tylko niebezpieczeństwo, wciągając w spisek Juchima i wszystkich tych, na których ów wpływ miał i związki z niemi.

Na zamku, w mieście nikt nie przypuszczał nawet, aby co ukochanemu księciu zagrażać miało. Wrócono mu zwycięstwo nowe, bo wszystkie wyprawy szczęśliwie się wiodły i Kaźmierz nie powrócił z żadnej nie pokonawszy nieprzyjaciół, nie postawiwszy na swém co zamierzał...

III.

Na krakowskim zamku, pomimo trwającej jeszcze zimy, która w tym roku dłużej niż zwykle wiała od Tatrów chłodem i śniegiem, wszystko się sposobiło do wyruszenia na Ruś z pochodem.

Sam książę zdawał się wyprawy najgoręcej pożądać, już dla swych stosunków z książkami, już dla utrzymania wpływu swojego na kraje te które chciał w zawisłości od siebie zachować. Biskup Pełka i król jego Wojewoda podzielali myśl Kaźmierza; w ziemianach i rycerstwie, jak czasu poprzednich wypraw na Ruś, wielkiej ochoty do wojny téj nie było — ale młodzieży śmiała się nadzieja walki.

Nie zwoływano na radę starszyny, postanowiono w małym kółku na zamku aby ruszyć,



a księżę ani przypuszczał ażeby ziemianie iść odmówili lub sarkali na to.

Pełka z bratem, oba ludzie silnej woli, nie obawiali się nikogo, mając księcia z sobą, na ziemian nie wiele zważali. Nie rozumieli tego aby im kto opór mógł stawić. Wojewoda Mikołaj szczególniejsz lecewazył radę cudzą.

Zdania były podzielone na dworze księcia, Goworek wierny druh i sługa, pytany milczał, lub, gdy Kaźmierz naglił, nie śmiało przebąkiwał że wojna ta nie była mu po myśli, a ludziom po sercu.

Księżę przypisywał to jawnej już niechęci Goworka przeciw Wojewodzie Mikołajowi i od myśli swój nie ustępował. Inni blizcy księcia niepokojni byli, widząc że znaczna liczba ziemian szemrała przeciw rozlewowi krwi dla spraw ruskich, które lekceważono.

— Co nam potém czy Roman czy Wsewołod będą panowali na tych pustkowiach? Jak jednemu tak drugiemu wierzyć nie można, a pomagać nie warto!

Kaźmierz chciał przyśpieszyć już tylko wyprawę, gdyż od pobytu w Krakowie kardynała Małebranca, który tu przybył wzywając na wojnę krzyżową, miał na sercu jeśli nie Saracenów, to innych bliższych pogan wojować i iść w puszcze poleskie na Jaćwieży.

Wieść o zdobyciu Jerozolimy od lat kilku gor-

liwsze o wiarę rycerstwo do wojowania z poganym pobudzała. Nie mogąc się wybrać do ziemi świętej, Kaźmierz chciał przynajmniej zmusić sąsiadnich pogan, aby wiarę przyjęli. Odwoływały go chwilowo niepokoje między Romanem a Wsewołodem, chciał się oswobodzić od Rusi i zaraz potem iść z krzyżem.

Część rycerstwa już powoli pociągnęła ku ruskim grodom, reszta wybranych, przybocznych księcia gotowała się też wyjść z Krakowa. Ściągały się i dopełniały pocztę, sposobiły wozy — czekano tylko aby niebo się cokolwiek rozpogodziło a ziemia stężała.

Dawno Kaźmierz nie był tak dobrej myśli, tak wielkiego jak teraz ducha. Przeszłe zwycięstwa spokojnym go czyniły o losy wojny; dłuższy spoczynek ochoty do ciągnięcia dodawał.

Księżna Helena też życzliwa Romanowi, nie śmiejąc namawiać do wojny, w duszy jej była rada. Mały ona wpływ wywierała na męża, ale woli jej chętnie czynił zadość w tych rzeczach, któremi mógł jej dowieść że całkiem obojętnym nie był.

W samych początkach, gdy zagadano o pochodzie, niektórzy się starali księcia powstrzymać, teraz, gdy postanowienie zapadło, każdy myślał tylko jak dopomódz.

Ostatnie to były wieczory u stołu z duchownymi i ulubieńcami.

Dnia tego byli oni wszyscy jakby na pożegnanie zgromadzeni, nie brakło i ulubionego księcia mistrza Wincentego, ani świeckich kilku przyjaciół, między którymi żartobliwy i wesoły Chmara niepoślednie miejsce zajmował.

Gdy poważniejsi puszczali się na zbyt kręte manowce, stawiać sobie zadania do rozwiązania niemożliwe, Chmara występował z prostodusznością swą i kmiecyńskim rozumem, umysły sposepniały rozweselając.

Wiek podeszły nie pozwalał mu ciągnąć z księciem, był nawet trochę tój wojnie przeciwnym, choć nie dla tych co inni pobudek. Jemu żał było oblicza pańskiego i wieczorów na zamku spędzanych.

Książę Kaźmierz, jeszcze nie wyszedłszy, obliczał już kiedy powróci, rachował dnie pochodu, czas potrzebny do załatwienia sprawy pomiędzy kniaziami, odpoczynku i powrotu. Wszystko się obiecywało łatwem i szybkim. Wiosna nadchodząca wyprawę miała uczynić bezpieczniejszą dla ludzi i koni. Goworek słuchał pańskich wróżb i milczał. Mistrz Wincenty, z wielkiej miłości swój dla pana, słowy wytwornemi prorokował laury nowe, zdobycze mnogie i sławę pokojodawcy.

— Rycerska jest rzecz — mówił — pragnąć wojny, a królewska wojnę rycerstwu i państwu uczynić pożyteczną. W pokoju gnuśnieją ludzie,

w gnuśności na cnocie łatwo stradają. Niedarmo rzymianie męztwo a cnotę mieli za jedno, bo bez męztwa cnoty nie ma. Da Bóg uspokojenie na Rusi, poniesie pan nasz najmilszy krzyż na piersiach przeciw pogan w Polesie, którzy ani mniej złośliwi, ni bardziej godni są litości nad Saracenów. Opieka rycerza, patrona naszego, Florjana świętego królestwu temu zyskana, creżowi pańskiemu błogosławić będzie.

— Wojna piękna rzecz, — wtrącił Chmara — nie przeczę, a no wy, panowie duchowni, zachęcacie nas do niej, sami jednak siedzieć doma wolicie.

— Bo n.y między czwórma ścianami największego wojnjemy nieprzyjaciela jaki kiedy powstał na ziemi, szatana i ciało nasze podległe pokusom jego — odparł Mistrz Wincenty — a mgdlitwy nasze orężowi waszemu skutecznie w pomoc przychodzą.

Chmara skłonił głowę.

— Miłościwy panie, — zwrócił się do Kaźmierza — żebyś choć na skowronki poczekał i na trawę zieloną, pod namioty będzie zimno!

— Nim my się do Halicza dobijemy i wiosna też dopędzi nas — rzekł Kaźmierz.

— Na to się coś nie zanosi — odezwał się milczący Goworek. — Ja, gdybym odradzać śmiał, miłościwego pana odciągnąłbym od tej

wojny, której i Wojewoda Mikołaj sam mógłby podolać.

— Dla czegoż mnie rycerskiej sławy i uciechy pozbawić chcesz! — spytał księżę z wymówką. — Masz że mnie już za niedołęgę i niewieściucha?

— Nie, ale miłość wasza droższą mi jest niż wszystkie ruskie kraje — odpowiedział Goworek. — Prawdę mam rzec, wolalbym na zamku widzieć księcia niż na dalekich szlakach z całym rycerstwem, gdy tu — ja zawsze go mam na myśli — Mieszek czyhać może? a z oddalenia chcieć korzystać.

— Krzywdzisz brata mojego — odezwał się książę. — Choćby i pragnął panowania nie sięgnąłby po nie z bezbronności korzystając. Stałby mi po rycersku oko w oko do boju.

— Nie chcę ujmować Mieszkowi — tłumaczył się Goworek — zestarzał Stary, a za nim Kietlicz stoi, ten nie śpi!

— O Kraków lękasz się? — zapytał księżę śmiejąc się.

— I o Kraków i o ziemię krakowską, która stać będzie otworem.

— Za nic że liczysz Mikołaja, który za wielu stanie? Ten ci tu na straży będzie!

Spuściwszy głowę zamilkł Goworek. Po chwili Chmara się odezwał tonem sobie niezwykłym.

— Ci co od Wielkopolski przybywają mówią że tam bardzo wojenno wygląda.

— Nie przeciw mnie! spokojny jestem — rzekł książę.

— Jak skoro wasza miłość spokojną, nam się niepokoju okazywać nie godzi — zaniknął Goworek.

Na wiosnę się zbierało, wyznaczono dzień wyjazdu. Książę duchownych prosił o nabożeństwo i błogosławieństwo na drogę. Wszyscy posmutnieli gdy się czas wyruszenia zbliżył, nawet ci co wyprawie nie byli przeciwni. Goworek, choć ostrożnie przypominał, że zamku zupełnie bezbronnym zostawiać się nie godziło. Odpowiedział mu książę składając wszystko na Wojewodę Mikołaja, ale przyjaciel na imię to głową potrzęsał.

— My tu zostaniemy — rzekł — z tem co W. Miłości najdroższe, z księżną panią i dziećmi, więc się troszczym. Za złe nam nie bierzcie.

Podał mu rękę Kazmierz uśmiechając się, Goworek ją ucałował.

— Gdy wy tu z niemi, jam o moje skarby spokojny — dodał.

Wieczora odjazd poprzedzającego wcześniej się z zamku zwykli biesiadnicy rozeszli, Wichfried towarzyszył panu do sypialni. Był on zawsze tym druhem co dawniej, choć od czasu zerwania z Dorotą zaufania wiele postradał. Śledził tak dobrze

Każmierza iż o wycieczkach za Wisłę był uwiadomiony, książę go nigdy nie brał z sobą, ani mu o nich wspominał, a gdy Wichfried napomyskać próbował, zagadywał o czém inném.

Brak zaufania płacił mu książę uprzejmością wielką i obfitemi darami. Byłby wręście może i zwierzył mu się, gdyby nie Jagna, która między sobą a księciem nikogo mieć nie chciała.

Panowała ona teraz nad sercem odzyskaném, tak jak niegdyś — władza jój silniejszą była może, choć wdzięk młodości lzy zmyły z jój twarzy, a smutek na nią gościł częściej od uśmiechu.

W pustém domostwie za Wisłą prawie sama jedna, Jagna pędziła życie jakiegoby inna niewiasta nie zniosła. Gdy księcia nie było, z okna dworu które ku Wawelowi wychodziło, patrzała na zamek, śledząc co się tam na nim działo, odgadując co książę robił o której dnia porze, szując w krosnach, czekając na niego.

Krosna stały u okna tego, oczy jój nie zchodziły prawie z Wawelu. Milcząca, rzadko do kogo przemówiła, oprócz pana swego i sług. Żyła myślą i sercem. Potęgowało się w niej samotnością to przywiązanie, które pochłonęło życie całe — tęskne godziny oczekiwania opłacały się temi które z nim pędziła.

Dla niej Kaźmierz nie miał tajemnic, przed nią jak przed samym sobą mógł wypowiadać wszystko, i tęsknoty życia i jego nadzieje a za-

miary. Jagna tak się umiała zespolić z myślami jego, że nigdy o nie sprzeczka żadna nie powstała między niemi. Chciała tego tylko co on, a z wyrzeczonego słowa snuła myśl, która w niem jak u ziarnie tkwiła.

W początku tajemnicą był ten pobyt Jagny i wycieczki Kaźmierza, który z sobą nie brał nikogo oprócz wiernego Smoka, mileżącego jak kamień. Później ukryć się to nie mogło. Zausznicy donieśli o tém księżnie Helenie, która oplakawszy błąd męża, wedle zwyczaju, udawała że wcale o nim nie wiedziała.

Dorota, która z zaciętością wroga starała się powziąć wiadomość, o téj co jęj Kaźmierza odebrała, wysledziła miejsce jęj pobytu, ale wszelkie zabiegi aby się tam dostać, wysłać kogoś, napaść jakąś zgotować — rozbiły się o czujność ludzi, którym straż była powierzona. Smok sam ich dobierał, a miał takich co z obcemi mówić nawet nie chcieli. Odźwiernym zaś był człek co nie spał nigdy i nie wierzył nikomu. Dwór bardzo szczupły otaczał Jagnę, a ten się prawie zład nie oddalał, aby do miasta nie wynosił wieści, i z niego niepotrzebnych nie ściągał.

Stara Czechna służąca Dorocie, z polecenia jej różnemi sposoby zabiegała aby się dostać do murowanki (tak ją zwano), albo z którą z dziewcząt zawiązać stosunek — wszystko dotąd było próżném. Nienawiść, pragnienie zemsty wzmagaly

się w Dorocie, w końcu już jęj nie tyle może szło o odzyskanie Kaźmierza, co o pomszczenie się na współzawodnicy.

Z myślą tą dzień i noc się nosiła, poprzysiegając że póki żywa się jęj nie wyrzeczy.

W pomoc chciała użyć Wichfrieda, odmówił, księciu przypominać przyrzekał zawsze, ale nadto nie więcej. — Znajdował do tego sposobność, wtrącił słowo, Kaźmierz słuchał niecierpliwie. Jeżeli o co dla nięj prosił, dawał chętnie, ale na oczy widzieć, i znać jęj nie chciał. Miał teraz wstręt do nięj, a to co z boku dochodziło, zwiększało go jeszcze. Litował się nad nią i brzydził. Gdy zabiegała mu drogę, odwracał oczy.

Ze śmiercią starego Wojewody Szczepana, Dorota straciwszy najpotężniejszego ze swych opiekunów, w miejscu jego wybrała drugiego możnego a niemłodego wdowca, z rodu Porajów. Miotła nim jako chciała, posługując się z wielkim jego krewnych zgorszeniem.

Wichfried też często całe dnie tu przesiadywał, młodzieży pełno było zawsze; rzadki wieczór bez śpiewów i piasów przechodził, w których gospodyni zawsze przodowała. Niemiec widując ją tak wesołą, wmawiał że juści Kaźmierza zapomnieć musiała, naówczas marszczyła brew, zaciniała usta i odpowiadała.

— Obaczysz!

Lata płynęły, a osobliwa ta niewiasta trzy-

mała się zawsze młodo, na podziw świeżo i rzeźwo na umyśle. Z latami zdawało się jej przybawać zuchwalstwa i gorączki do ladajakich rozrywek. Najszaleńsza myśl się jej jęła, byle coś nowego w niej było. Dostać się niemogąc do mirowanki, Dorota czasem puszczała się w okolicę, stawiała niemal pod oknami na widoku, tak by ją Jagna mogła zobaczyć i palcami wskazując na okna, ruchami różnemi ściągając oczy na siebie, dokuczała nieprzyjaciółce.

Jagna ani się sromowała ni tych wyznań unikała. Gdy ją Dorota zastała w oknie, nie uciekała przed nią, zasiadała całą twarzą do niej obrócona i spokojem swym urągała Dorocie. Była to wojna niema ale zajadła.

Wieczorem książę wszystkich odprawivszy, ze Smokiem, który przy koniach czekał za bramą — ruszył za Wisłę. Rzeka stała jeszcze lodem, choć już puszczać zaczynało. Każmierz nie uląkł się ani kruchych lodów, ni płonck rybaczych — ruszył na drugą stronę. U wrót po uderzeniu pana poznawano, otwierały się natychmiast.

Na górze czekała zawsze Jagna z lampką w ręku — bo czuła gdy pan przybędzie. Szli potem we dwoje do jej izby, gdzie zimą ogień płonął i stół był zawsze nadkryty. Tu siadali oboje, i jakby nie wczoraj ale tylko co przerwana rozmowa, rozpoczynała się znówu. Tym razem książę przybywał smutny.

— Ej! gołąbko ty moja! — zawołał — kiedy ja do ciebie powrócę? Wszak ci to wyprawa za pasem, a ja — z pożegnaniem!

— Wiem — odpowiedziała Jagna spokojnie. — Wyprawy ja się nie boję, Bóg i święty patron nstrzeże. Tego co się tu zostaje, to się lękam.

Jagna od Stacha przez Hreczyna miała wieści.

— A czegoż się ty tu boisz? — spytał książę. — Mieć będziesz opiekę, o tom się staral.

— Mnie jedno widmo prześladowe... Mieszko-
we — odezwało się dziewczę. Mówicie że mi się to śni, sny tych co kochają, próżne nie są. Dusza czuje co ukochanemu zagraża.

— Wszystkim bo wam Mieszek na myśli — rzekł obojętnie Kaźmierz. — Bodajbym straszniejszego nieprzyjaciela nie miał! Cóż on może?

— Co? a no i Kraków ci wziąć! — zawołała. — Zważaj że ty, dziełatko moja złota — rozśmiał się książę, — że go sami moi ziemianie ztąd wygnali, nie chcieli go, a mnie przymusili bym tu siedział.

— O królu ty mój — odparła Jagna — albo wy ludzi nie znacie, albo ich na swe podobieństwo wyobrażacie. Ci co kochają dziś, jutro nienawidzą.

— Nie dalem powodu! Bóg świadek! — rzekł książę.

— A bez powodu nienawiści nie ma? — poczęło dziewczę. — Gdy mu serce żółcią zapły-

nie, człek sobie powód wyszuka. Wszak ci już mówią —

Tu się wstrzymała, spojrzała, smucić go nie chciała.

— Śmiało Jagno! co mówią? — podchwycił ksiązę.

— Mówią — ciągnęła dalej — ot tak, że mając iść na wojnę, ksiązę Rady nie pytał, mówią że Wojewoda Mikołaj bardzo sobie dumnie poczyną, mówią że pan krwi ziemian nie lutuje, mówią że Ruś tego nie warta!

— Jam to wszystko słyszał — rzekł Kaźmierz, — Goworek mi to powiada, rycerstwo ciągnie z okrzykiem, a Mikłasza poczeiwego słuchają jak dzieci, z Rusi łup nie do pogardzenia przywożą — i pawołoce i futra i srebro i złoto.

Jagna główką wahała.

— Wolać Boża — odparła — co on przeznaczy, człek nie przeinaczy! Panu mojemu, orłowi białemu chce się na wojaczkę! oj! chce!

— Bom do niej stworzony, na nią wysadzony! — mówił ksiązę — choć ja krwi przelewać nie lubię, choć wołę z ksiąg czytanie i z gołąbką gruchanie. Rycerstwo by mną pogardziło a nazwałoby Mnichem, gdy i tak z mnichy rad siedzę.

Jagna pomileczała, zaśpiewała.

— Panku złoty — ozwała się — czarne myśli dzierzgać przykro, a no mów! Gdyby się to stało, co się stać nie może — da li Bóg! — gdy-

by ten Mieszek Kraków opanował, co ma Jagna czynić?

Książę śmiejąc się ramionami niecierpliwie ruszył.

— No, mów — co czynić ma?

— Nie może to być.

— Nie może! Bajki prawmy! — mówiła Jagna — dzieciom na sen, starym na zabawę — już się bajdy plotą. Co mam czynić gdyby Mieszek Kraków wziął?

— Uparta gołąbka moja!

— O! we wszystkim, biały orle mój! w miłości, w nienawiści i w żalu i w smutku! O uparta! Co robić gdyby Kraków wziął? — powtórzyła po raz trzeci.

— Ani go weźmie, ani się on kusi!

— Bajkę prawmy!

— Cóżbyś ty zrobiła?

— Co? Siadłabym na konika i może do Sciorzyc, do Gaju, albo gdzie w las uciekła. Zwołałabym ludzi, strąbiła ziemiany — hej? kto wie? Kraków odebrała!

Każmierz śmiać się począł.

— Tak i czyn, a no bajki dosyć — rzekł smutniój. — Mikołaj Wojewoda wie że murowanki ma strzedz jako oka w głowie, ale kto w niej nie wie.

— Wszysey wiedzą! wie i on! — rzekła spokojnie. — Albo ja się wstydzę? Jam ci twoja

pierwsza żona, której ani Biskupi narzucili, ani książęta swatali! a no — sam Bóg! Ślub nam dawał wiatr wiosenny w dębini!

I rękami objęła Kaźmierza, a dwie łzy jak dwie perły błyszczące z oczów się jej stoczyły.

Wkrótce potem książę na koni siadał i gwał nazad na Wawel ze Smokiem; drugi raz puścili się przez lód, który pękał już pod kopytami końskimi i załamał się u brzegu, ale książę uskokczył na brzeg twardy, a Smok za nim przez wodę się rzucił.

Drugiego dnia bito we dzwony, książę wyjeżdżał wprost od drzwi Ś. Wacława, przeprowadzany przez duchowieństwo, zawrócił na Kleparz do nowego kościoła Ś. Florjana patrona swojego, modlił się tam jeszcze, a rycerstwo rozwinąwszy znaki, zanucilo

Bogu - Rodzicę.

Szli wesolo, choć wiosenna odwilż z mokrym śniegiem i wiuhą bila w twarze, szli wesolo żegnając panie mieszcзки i panów mieszczan znajomych, stojących u progów, siedzących po oknach, szli wesolo bo przodem jechał z pocztą świętym sam książę, a z Wawelu księżna Helena, Goworek, Pelka, dwór długo za nimi patrzali, krzyżem świętym żegnali.

— Bóg daj powracać zdrowo! Bóg daj przedko! Bóg daj wesolo!

Na zamku stało się straszliwie pusto, strato-

wane podwórca, pootwierane szopy, ślady wołów, ludzi resztki, niedobitki, straż we wrotach słaba. Goworek się krzątał aby w porządku garstkę tę utrzymać, którą mu zostawiono więcej dla posługi niż dla obrony.

Stach, choć po uwięzieniu Mierzwy trochę nabral otuchy, że im szyki pomieszał — całkiem nie był spokojny. Ludzie przez których się dowiadywał co się działo po ziemi i okolicy, nie dobre znosili wieści. Juchim był spokojny, mało-mówny, jakby więcej wiedział niż chciał mówić. Ruszał ramionami, narzekał na nieszczęście swoje, a po nocach się gdzieś wykradał.

Biskup Pelka, któremu Stach się ze swych strachów spowiadał — odrzekł mu.

— Jeśliś podejrzliwy jedź tam z kądem zagrozić niebezpieczeństwo, a dochodź czy ono tam jest. Aliści bodaj widma się wam przed oczyma suwają!

Odprawiony z tém Stach, wrócił do dworku niepewien czy ma jechać i gonić wiatra w polu, czy tu stać na straży? Dzień i drugi wałęsając się po mieście, spędził na rozmyślach. W końcu, że mu zawsze siedzenie w miejscu doskwierało, ruchu i zajęcia potrzebował, kazał konie sposobić. Żegieć też nie od tego był, i on sobie przykrzył zamknięty.

— W polu zawsze się jakaś zwierzyna na-

winie — mówił — a w progu domu chyba pies ogonem zakręci pod nosem.

Gotowali się więc do podróży. Czas był obrzydły, bo nie ma u nas okropniejszej pory nad tę co wiosnę poprzedza. Wojuje ona z zimą, która jak w brudnych lachmanach żebraczka, barłogu swojego broni. Śnieg, deszcz, wiatr mieniały się z mrozem i ślizgawicą, z odwilżą do kości przejmującą. Pora to jednak była najprzyjaźniejsza dla tych co potrzebowali krętymi drogami przemykać się niepostrzeżeni, bo po gościńcach nawet trudno było kogo spotkać. Stach rozpytując, z ludźmi gwarząc po drodze, po gospodach sznurkując, zaglądając do chat, włókł się nie spiesząc ku Poznaniowi i Gnieznu.

Choć dnia już było przyrosło, nie pędził bardzo koni, jechał nie śpiesząc, aby dalej. Odsadzili się już o dni kilka od Krakowa, gdy na noclegu spotkali się z kupcami ciągnącymi od Wielkopolski do Krakowa. Byli to Niemcy, którzy po troszę się języka nauczywszy, z mową łamaną, znając już kraj, nie obawiali się po nim wędrować dla zysku, opatrzeni w listy przecho-dnie od książąt i duchownych.

Stach leżał już na sianie w izbie, gdy nocą przybłakali się do gospody i szczęśliwi że ją znaleźli, zabierać się zaczęli do spoczynku. Nie troszczyli się o to wiele że ich rozmowę mógł

kto słyszeć, mówiąc z sobą po szwańsku i pewni że ich tu nikt nie zrozumie.

Ponieważ w tej samej izby drugim końcu się umieścili, Stach mógł wysłuchać rozmowę. Było ich trzech. Mormotali zrazu po cichu, a potem ośmieleni czy zapominając się, coraz głośnieć.

— Aby no listy nie zamokły! — rzekł jeden.

— Nie ma strachu o to, dobrzem je skórą obłożył — odparł drugi.

— A księcia Mieszka pisanie gdzie?

— Tam gdzie inne.

— Trzeba spieszyć, choć droga psia, bo to ważna sprawa, a i nagroda będzie sowita.

— Najgorzej z dopytaniem się do tego w Krakowie, któremu list do rąk oddać trzeba. Jak się on zwie?

— Warsz, Starosta... o nim tam wszyscy wiedzieć muszą. Drugi do menniczego Juchima, ten też znany być musi.

Stach uszu nastawił pilno.

— Trzeci znaczek trzeba jeszcze gdzieś wieźć w sąsiedztwo, mila czy dwie, nie wiem.

— Niedaleko, jam tam już był, — odezwał się drugi. — Zamek to pański a ludzie bogaci i sprzedąć co można.

Niemieccy przekręcił nazwisko Tęczyna, ale Stach się go łatwo domyślił.

— Wszystko pilne, pilne, — rzekł najstarszy z nich — ksiązę Mieszek już sumie ze swojemi.

— Kupę Indzi nazbierał.

— Jak mówią tego jest. On i syn i kilka książąt.

— I pan Hendrych co listy nam te dawał.

— Mieszek też osobą swą.

— Ja, — rzekł inny — nie będę tam długo popasał. Weźmie się na wojnę, na zabijatykę, obcemu człowiekowi zginąć łatwo, listy nie pomogą. Obdrzeć zechcą, żołdactwo grabieżniki.

— Czasu jeszcze dosyć nim książę Mieszek nadciągnie. Zejdziemy z drogi. Mówią nawet że wojny nie będzie, bo tam ze sobą mają znowę. Zamek im podadzą i miasto.

Szydzili niemcy z tego co się gotowało dla Krakowa. Stach słuchał, słuchał przyczaiwszy się, telu nie puszczając, a że więcej chciał się dowiedzieć, długo ani drgnął na posłaniu. Pierwszą myślą jego było rzucić się na Niemców, aby im listy, które wieźli odebrać, lecz, obrachowawszy się z silami swemi, bojąc się popłoch rzucić, boć pozabijać wszystkich było mu trudno, Stach inaczej postanowił. Leżał spokojnie dopóki się do snu układali, gdy znużeni wkrótce chrapać poczęli, wstał i z izby wybiegł do Żegcia do koni. Obudził go, kazał siodłać.

Noc była jak w garnku, ciemna; ślota i wicher nad głowami — ale na to nie było co zważać. Gdy podróżni zaczęli się w stajni poruszać, czujny gospodarz wyszedł z ogarkiem. Powiedział

mu Stach iż sen miał taki że jechać zaraz musiał precz, zapłacił i w świat — nazad do Krakowa.

Szczęściem pierwszą część drogi robili nie śpiesząc, konie zmęczone nie były, mogli więc napowrót pędzić co tchu, choć ślizgawica, błoto, lody i wody piekielnie dokuczwały. Teraz już gościńca nie patrząc, na proszki trzeba się było przedzierać, a prędkiej. W stajni widzieli konie knpców, które były spaśne i duże, do chodu dobre — wyprzedzić je musieli.

Więc, prawie bez spoczynku zaczęli biedz, i co wprzód dni kilka kosztowało, teraz we dwa, licząc z nocami, przebyli zdyszani, konie pokaleczywszy, tak że jednego na drodze zamieniono.

Gdy miasto się pokazało wreszcie, Stach lżej odetchnął, i jak stał do Biskupa jechał.

Pora była wieczery, Pelka z bratem wojewodą, księży kilku siedziało u stołu.

Mowa była o tém właśnie, jak świeżo z Rzymu surowo ponowiono zalecenie, aby małżeństwa wszelkie księża błogosławili, i to nie po domach ale w kościołach — jak surowo wzbroniono księżom brać żony, a brody im golić polecono.

Wojewoda na tę surowość narzekał trochę, twierdząc że dawniej księża żony zawsze miewali, ale Biskup gorąco obstawał przy tém iż ci co do wojującego kościoła należeli, nie powinni

się byli obciążać rodziną, bo i rycerz idący na wyprawę, brzemion zbytich na ramiona nie bierze.

Stach obłożony, zmęczony, zawsze mając wstęp do Biskupa wolny, natychmiast wszedł do jadalni. Zobaczywszy go Pełka, uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł.

— Duchu niespokojny! powiedzże zkąd i z czém przybywasz? Boś pono z podróży! widać to po tobie.

Odwrócił się doń i Wojewoda, ale Stach, osób widząc tyle, mówić nie śmiał.

— Na gardło moje — zawołał wreszcie — wiadomość niosę taką że od niej włosy na głowie powstać mogą, — a no? czy miejsce mówić?

Biskup i wojewoda powstali ku niemu.

— Mów! nie zwlekaj! wszyseśmy tu swoi — dodał Pełka, patrząc na duchownych, — sumieniem obowiązuję do tajemnicy.

Rozpoczął więc Stach opowiadanie jak jechał, gdzie kupców spotkał, powtórzył eo mówili, opisał ich, konie, wszystko czemu się dobrze przypatrzył. Na ostatek dodał że przysiądz był gotów na krzyż, iż to co mówił prawdą było. Życie jego przeszłe zresztą i znany charakter za nim świadczyły.

Wojewoda stał chwilę przerażony. Biskup stronę z której płynęło niebezpieczeństwo — przeżegnał. Oniemieli wszyscy.

— Ludzi do obrony mamy mało — ozwał się Wojewoda — zbierzemy przecież tylu, że się zamek utrzyma, w Bogu nadzieja.

— A miasto? — spytał Biskup.

— Jeżeli Starostę w porę schwycimy, może i ono — dodał Wojewoda.

Stach na rozkazy czekał.

— Wy, co kupców konie znacie i twarze — rzekł do niego Wojewoda, — ruszajcie na gości-niec, stańcie na czatach. Chwycić Niemców trzeba i listy im odebrać...

Rachowano kiedy kupey przybyć mogą, a Stach co najrychlej obiecywał ich nazajutrz wieczorem, bo droga była rozkiszła a konie objezzone.

Nocy już nie było dla Biskupa i Mikołaja, ten posłał po swoich ludzi, konia sobie kazał podprowadzić. Pelka gromadząc co miał najkosztowniejszego natychmiast się gotował schronić na zamek. Z obawy zdrady czyniono wszystko potajemnie i nieznacznie.

Noc upłynęła na posylkach na wsze strony, nad ranem posły powracać zaczęli, sprawa się okazała gorszą niż sądzono. Resztki słabszych ludzi pozostawione przez Kaźmierza, nie mogły się pościągać tak rychło. Nikt się nie spodziewał napaści, niewierzono w nią.

Biskup i Wojewoda, nie tracąc odwagi, bo-daj z małą garścią postanowili na zamku siedzieć i nie poddawać go. Obey już nawet wszy-

stkiemu ludzie nazajutrz dostrzedz mogli że noc coś przyniosła niespodziewanego. Na zamku ruch był wielki, opatrywano wały, tyny, bramy — a gdy ludzie pytali, mówiono że na wszelki wypadek gotować się trzeba. Trwożne przeczucia ogarniały mieszczan, z których bojaźliwsi z niemieniem się do zamku wpraszać poczęli. Tych którzy mieli żywność i ręce zdrowe, przyjmowano.

Stach nad ranem, poszedł do Juchima, ludzi z sobą wzięwszy. Wrota były zaparte, gdy się do nich dobijać zaczęto, nierychło i niechętnie otworzyła służba. Sam Juchim nie pokazał się. Ludzie pomieśzani, dopiero groźbą wyłamania zastraszeni, wpuścili oznajmując że pana nie było, bo od dwu dni wyjechał do Wrocławia, gdzie wiadomo było iż monetę kuł.

Pomimo to Stach wszedł, dom cały trzęsąc i rozpatrując, wśród jęku i płaczu niewiast i dzieci. Nie znalazł ani Juchima, ani skarbów jego, które chciał zabrać dla księcia. Że się one ukryte gdzieś znajdować musiały, bo wywieść ich nie było czasu, wiedział Stach dobrze, lecz żadne groźby na ludziach ukazania wymódcz nie potrafiły. Dom strażą ostawiwszy, poszedł Stach do Starosty Warsza, ale i t go dawno w domu nie było. Rodzina zaklinała się iż nie wie gdzie się znajduje.

Zasiadł potem czatując na kupców na gościńcu u wrót miejskich i czekał. Dzień, wieczór, noc

i drugie tyle czasu zeszło — niemcy nie przybyli. Wytrwał jednak na stanowisku, niewiedząc że kupcy obawę mając do Krakowa jechać, zawrócili naprzód do Tęczyna i tam zdawszy pisma wszystkie, sami w inną udali się stronę.

Stało się czego Stach przewidzieć nie mógł, a gdy po próżnem oczekiwaniu, nie pochwyceno zapowiedzianych, Wojewoda człek prędkiej, Stacha za kłamec poczytawszy, w pierwszym gniewie do więzienia go chciał wtrącić.

Biskup się temu oparł, gdy ponowiwszy przysięgę, Stach uroczyście zaręczył iż prawdę mówił, której blizka przyszłość dowieść miała. W rozpacz po tym sporze z Wojewodą, Stach, choć mu groziło niebezpieczeństwo gdyby go Kiełtlich pochwycił, zapomniawszy o sobie, nie chroniąc się na zamek, dzień cały przeleżał we dworcu, straciwszy do wszystkiego ochotę.

Pamięć o obowiązku i pokucie, nierychło wzięła górę i znękany zwłóknął się z pościeli. Potrzebował Jagnie oznajmić aby ona o bezpieczeństwie swoim myślała zawczasu, ale właśnie Wisła była lody porwała i życia nie ważąc, na drugi brzeg dostać się nie było można.

Stach do życia wielkiej nie przywiązywał wagi, choć Żegieć na kolana padłszy błagał go aby się na okrutną krę nie puszczał, wziął czółen i sam z nim popłynął. Lody dopiero u brzegu sparły łódkę i obaliły, tak że wyskoczywszy

na nie, częścią wplaw, częścią po krach na ląd się dostali.

Od wyjazdu księcia Jagna już w oknie swém nie siadywała, w innej izbie, krosien nie tykając całe dnie pół martwa, milcząc w kąt się zaparłszy, drzemała i marzyła. Stachowi jednemu dostać się tu było można, bo przykaz był u wrót aby go tu puszczano.

Przyszedł więc ze swą smutną powieścią. Zobaczywszy go przed sobą, Jagna zakrzyknęła, domyślając się iż darmo do niej przez kry na Wiśle nie przyszedł.

— Niosę wam zły gościniec — odezwał się Stach. — Ot co się dzieje. Mieszek na Kraków ciągnie, ino go nie widać.

— Pewno to? — zapytała zrywając się

— Jakom żyw.

Musiał jęj opowiedzieć zkaąd wiadomość wziął, słuchała go poblady, ale wnet wróciło jęj życie.

— Niech biorą Kraków — zawołała — odbierze go im mój pan, a zdrada w którą nie wierzył, na wierzech wypłynie!

— Co wy myślicie! — spytał Stach.

— Ja? ja miałam przecucie, — rzekła, — czekałam tylko rychło li się to stanie. Na koń siadę, do Sciborzyc, w lasy, nie wiem! Hreczy-na mi ślij z końmi.

— Przez Wisłę, a lody?

— Powiedzcie mu że go chcę mieć — od-

parła Jagna. — Wisła ta brońi mnie od Mieszka, a Hreczyn przy pomocy Bożej dostanie się tu gdy lody przejdą. Na nieczkę czasn mam dosyć, gdy zamek brać zechcą a w mieście zawre! Nie boję się.

Ze spokojną twarzą, ale brwią ściśniętą wysłuchiwała Jagna resztę powieści.

— Nie byłoby tego, — rzekła — gdyby nie ziemian zdrada, gdyby nie Doroty bracia i to brudne ich gniazdo! Pocichę tylko mam że gdy Kraków wezmą i siostrę zabiorą, a na wieżę posadzą!

Blysły oczy jęj gniewem i zemstą, lecz płomyk ten prędko zagasnął. Posmutniała.

— Co mi ona? — szepnęła. — Pana mi już nie odbierze! Nie!

Stach patrzył na nią żalosiwie, nśmiechnęła mu się.

— Bóg ci zapłać — rzekła żegnając. — Nas dwoje tylko jest cośmy mu wierni!

IV.

Dzień był pogodniejszy, słońce próbowało przebijać się przez chmury; z za nich wiosny obietnicami, pasami sinemi niebo oczyszczone przeglądało.

Skowronek nad rolą mokrą podnosił się do góry i śpiewał na owo nabożeństwo życia jakby dzwonek na mszę świętą.

Bociany leciały górą, mówiono, ale od Tatrów smagało jeszcze mrozem i śnieg powracał nparty. Między jedną a drugą winhą, co się uciszyło to ludzie spoglądali ku niebu. — Już wiosna?

Sypnęły potem krupy — znown zima.

Młodzi mówili, tylko co zieleni nie widać, starzy prorokowali, że jeszcze śnieg powróci.

W mieście wymiatano śmiecia zimowe przez, ażeby je wiosenne wody z sobą wzięły, a spo-

glądano ku zamkowi, bo się tam działy rzeczy dziwne. Gdy książę wyjeżdżał, zamek stał otworem pusty, teraz wojewoda gotował go jakby do wojny. Lud pędzono do środka, żywność zwożono jak na oblężenie, ruch był, gwar i krzątania. Spieszono dniem i nocami. Robiło się niektórym trwożno, drudzy śmieli się wołając, że obawiać się nie ma czego. Tak dnie mijały.

Aż jednego rana ziemianie z okolic zbrojni wielkimi tłumami poczęli wjeżdżać do miasta, a wprost się na zamek kierować. Tam znaleźli wrota zaparte, wojewoda Mikołaj czuwał. Rynek stał już pełen koni i ludzi, między przybyłymi na czele dwóch braci było z Tęczyna; dwu braci z Kozięglów i Sreniawa z Proszowic.

Zobaczywszy ich mieszczenie pomiarkowali zaraz, że nie dla Kaźmierza przybywali, ale przeciw niemu. Nie spieszyli do zamku, gdy go zobaczyli zawartym, czekali. Coraz to nowe zawołanie, nowa chorągiew, nowy znak, nowe hasło wciągało do miasta. Ludzie się powoływali wedle obyczajn. Starża! Sreniawa! Kozięglowy! różnemi wrotami wchodzili Bogorye niektórzy, Różyce i inni tak, że z zamku patrząc nalieczono siedemdziesiąt znaków. Niektóre z nich były szczupłemi garstkami i rycerstwo to nie miało zbroi dobrych, oprócz przedniejszych co świecili, reszta po małych, ubogich dworach zebrana być musiała.

Jechało to naprzód długo, bezładnie. Kupiło się, aż kilku konnych nadbiegło z okrzykiem.

— Idą! idą!

Ruch stał się wielki. — Idą!...

Ulicami poczęły już wciągać wojska Mieszko-we, które po odzieży i znakach łatwo odróżnić było. Na czele pierwszych jechał młody Bolko syn Mieczysława, chłopak dzielny, wesół i rycerskiej postawy, przy nim krępy Kietlicz z twarzą czerwoną. Tuż u jego konia znalazł się już Juchim, jakby z pod ziemi wyrósł.

Trząsał się stary żyd z radości, za kolana obejmując to Kietlicza, to Bolka, a oczy mu się śmiały, a ręce podnosił, rzucał się, oglądał, tryumfował.

Na zamku eicho stało, jak mak siał. W dole krzyczano: żyw nam niech będzie książę nasz Mieszek... Kaźmierz nie żyje!

— Kaźmierz nie żyje! — wołali nasadzeni.— Struli go miodem na uczcie Rusini! Na zamek! na zamek. Kaźmierz nie żyje!

Po mieście odgłos ten — Kaźmierz nie żyje! — poszedł jak piorun z ust do ust. Po twarzach ludzi widać było wielką żalotę i trwogę. Łkać niektórzy poczynali jakby ojca utracili.

Ziemiańskie się oglądali tylko — wołając — na zamek!

Wszystek tłum z Bolkiem i Kietliczem, posypał się żywo, tłocząc, cisnąc ku zamkowi.

Juchim szedł przy koniu namiestnika, nie opu-

szczając go powtarzając: — Nie mają się czém bronić! muszą się zdać!

Spytał Kietlicz o Mierzwę, a żyd oznajmił, że na zamku był więziony, ale nic mu się nie stało.

Na wałach zamkowych widać było zdala ludu dosyć, nie tak pusto, jak się spodziewano. Spokojnie stali patrząc, gdy z dołu ku nim wykrzykiwać Mieszka zaczęli i wołać, że Kaźmier zmarł, że nie ma go już na świecie.

Do wrót ani Bolko, ani Kietlicz nie śmieli się zbliżyć bardzo, posłali przodem pułkownicę Serba Muchę, który począł wykrzykiwać, aby mu otwierano.

Krzyknął raz i drugi napróżno, z za wrót nie odzywał się nikt, choć na wałach stał dokoła lud zbrojny. Zaczęli więc we wrota żelazem kute tnąć i bić, aż na okół jęczenia ich słyszać było — i na to nic nie odpowiedziano. Trwało to dobrych kilka pacierzy, gdy na wyżki do wąskiego okna wyszedł ktoś i zagrzmiął głos.

— Precz od wrót, bo się kamienie posypią!

Pierzchnęli ci eo stali bliżej i zatrzymawszy się naradzali z sobą, wyszedł znown Serb Mucha, wielkim głosem jakby na sądy wołał, albo wolę książęcą opowiadał — krzycząc:

— Książę Kaźmierz nie żyje, zamek trzeba poddać na Mieszka. Miasto otworzono — wrota

dawać! Nie chccieli szturmu i rzezi, posłuszni bądźcie. — Otwierać!

— Miasto całe nasze! — wołał Kietlicz.

— Ziemia nasza! — dodał Bolko zdala.

Patrzący z góry, zobaczyli w tej chwili człowicka, któremu zdawna nie wiele dawano wiary i nie wielką też miał wagę, choć miejsce znaczne zajmował. Był to starosta grodzki Warsz, pokorny sługa wojewody, biskupa, wszystkich zgola, ale lis szeszwany, który tu został na starostwie z czasów Mieszką, a teraz znowu z nim szedł, wprzódy się o to zniówiwszy.

Warsza tego, Pelka z bratem byliby dawno wygnali precz, a innego na jego miejscu osadzili, ale się obu im kłaniał, pochlebiał, zaklinał się, iż pana miłował nad życie tak, że go nad miastem od roku do roku zostawiano.

Sprawdziło się co Stach powiadał.

Warsza wypełnięto naprzód dając mu znać, aby mówił i począł ku wrotom wołać.

— Miasto się poddało, bo Kaźnierz pan nasz nie żyje. W Bożej mocy żywot człowieka. Otruli pana Rusini, przyszli ludzie z obozu płacząc. — Starszy brat zajmuje ziemię...

Okolo Kietlicza i Bolka kilkanaście głosów wtórować poczęło, że Kaźnierz nie żyje!

— Zamek zdawać! domagano się. Czekali na odpowiedź, gdy z okna odezwało się.

— Rozmowy z wami nie ma — zdala od wrót!

nie chce się li wam trupa widzieć! Won zdrajcy, a nie, to strzały polecą!

Wysunęła się pięść ściśnięta przez okno, i w tém gład ogromny z góry ciśnięty stoczył się na stojących tak, że Kietlicz ledwie miał czas uskoczyć, bo koniowi jego nogi potłukł. Głos ponury, groźny powtórzył Kietliczowi znaną mu przepowiednię nieboszczyka Gedki biskupa, o której wiedzieli wszyscy, do kogo się stosowała.

— „W obcy cię kraj zawiodą jako koguta, co cudze piskłęta chce zagarniać, matkę z gniazda wyganiając.“

Kietlicz posłyszawszy, zapienił się i pięść do góry podniósł ku murowi.

Nastąpiła cisza krótka, z orszaku Bolka młodzież zaczęła znowu się odgrażać. Niechno książę nadciągnie! weźmiemy to osie gniazdo, z życiem nie ujdzie nikt!

— W pień! w pień! — krzyczeli Kietliczowi.

Na zamkowych zdało się to nie nie działać, a że na razie do zdobywania nagłego nie można było przystąpić, nahałasowawszy i nagroziwszy, postawili mocną straż, dokoła obeszali górę oddziałami, co jój z oka spuszczać nie miały, poczem Bolko, Kietlicz, Warsz i ziemian starsi pociągnęli do miasta.

Gród, w którym Warsz przez swych sotników i dziesiętników ład utrzymywał i poddał go, wprzódę się o to zmówiwszy — pomimo, że się

nie bronił i wrota otworzył, nie okazywał wcale radości z nowego pana. Twarze były zasepione, a ci co uwierzyli otruciu i śmierci Kaźmierza, płakali po nim.

Kietlicz posłał zaraz do dworca biskupiego, ale tam krom kilku starych duchownych, których tykać nie śmiano, nie znaleźli nikogo. Nie zamierzano też poczynać od gwałtów. Scholastyk Lambert, który często na zamku gościł, mąż surowy i nie obawiający się mówić prawdy, stanął przed Kietliczem z obojętnością dumną, nie obiecującą, aby na nim co wymódz było można.

— Gdzie biskup? — pytał Serb.

— Tam gdzie jego miejsce, przy swym kościele — odparł Lambert — przy księżnej pani, na straży dzieci pańskich.

— Kaźmierz otruty, nie żyje, Mieszek z prawa opiekun, miasto mu się zdało, zamek powinien się też zdać!

Lambert ruszył ramionami.

— Z obozn nie było poselstwa ani wieści, nie wiemy nic.

— A nam wiary nie dajecie? — zapytał Kietlicz.

— To nie moja sprawa — rzekł zimno Scholastyk — jam tu dla kościoła zostawiony, nie dla was i księcia waszego.

Kietlicz odgrażać się począł, ale to najmniej szego nie uczyniło wrażenia.

— Idźcie na zamek do biskupa — dodał Serb— abyście ocalili się, póki czas. Czekamy tylko na przybycie księcia, potem szturm przypuścimy i noga nie ujdzie... Niech żywotów swych bronią...

Żołnierz rozsierdzony sukni nie patrzy.

Scholastyk nie miał ochoty posługiwać Mieszkowi, namyślał się jednak, nie wiedząc, czy wiadomość ta uieszczęście prawdziwą nie była.

— Jakiż dowód śmierci księcia Kazimierza?— spytał.

— Posły były z obozu — krzyknął Kietlicz...

— Dajcież mi ich, abym z sobą na zamek doprowadził — rzekł scholastyk — naówczas pójdę.

Serb naprzód lając i huczeć począł na zuchwalstwo polskie, potem złagodniał i prosił, wreszcie scholastyk zgodził się do biskupa udać. Wziąwszy kleryka z sobą i na wierzch sukni białą komżę włożywszy, aby żołdactwo duchownego w nim znało, z przewodem od Kietlicza, poszedł scholastyk na zamek. Nierychło mu wrota otworzono, poznawszy go, bo się obawiano zdrady. Dopiero gdy się straż Kietliczowe oddaliły, furtę trochę przemknęto i wpuszczono ks. Lamberta z klerykiem. Straż, która z nim przybyła, pozostała oczekując powrotu.

Na zamku znalazł scholastyk lud w gotowości, rozstawiony po wałach do koła, bo się lękano, aby z którejkolwiek słabszej strony nie kuszono

się wtargnąć zmiennacka. Sam wojewoda Mikołaj we zbroi z toporkiem w ręku ustawiał i porządek czynił. Zobaczywszy Lamberta, podszedł ku niemu, domyślając się z czém przychodził.

— Idźcie do biskupa — rzekł — ja zamku poddawać nie myślę do ostatku. W śmierć Kazimierzową nie wierzę, zdradą ona jest i lżą. Warsz łotr, przechera miasto poddał, my bronie się będziemy.

Jakoż przygotowania widać było ogromne. Znoszono i ściągano na wały kamienie, drzewo, koły i co gdzie było na zamku dawniej przysposobionego na obronę, wideł, głazów, kół zębanych, narzędzi różnych i ciężarów. Ludu wojennego było mało, ale do obrony pod kilku dowódcami, każdy się nadawał, kto ręce miał. Wojewoda wcale się nie uląkł, a zjadłością największą palił przeciwko zdrajcom, szczególnież Warszowi.

— Gdy da Bóg, książę wróci, ten mi głowę da! — wykrzykiwał.

W samą porę jeszcze Stach się też na zamek był schronił, bo by go w mieście zemsta nie minęła.

Jakoż zaraz po otwarciu bram, Juchim, który się go obawiał, na dworek jego naprowadził ludzi. Przetrzęśli go, po wyżkach, na strychach, w lochach szukając i nie znaleźli nic, oprócz czeładzi, która o niczém nie wiedziała.

Grabić też niewiele co było.

•Stach tymczasem na zamku był prawą ręką Mikołaja, i kaftan a zbroję przywdziałwszy, biegł po wałach nieznużony. Znając Mierzwę i przebiegłość jego, obawiał się nie bez przyczyny aby zły człek, którego na zamku trzymano, stróżów, co z nim mieli styczność, nie namawiał do zdrady. Mogli się znaleźć tacy, co uląkłszy się Mieszka potęgi, a uwierzywszy w śmierć Kazimierza, zamiekby wziąć dopomogli. W czas tego więzienia przypomniawszy, Stach zaprowadzić go kazał do ciemnicy, do której jedzenie otworem podawano, a Żegciowi swemu pilność nad nim zlecił.

Gdy sam z tém do Mierzwy przyszedł, chytrym wzrokiem zmierzył go sędzia, w którym się jakaś otucha przebijała. Sądził, iż go może do poselstwa i układów użyją, i dopiero postrzegłszy, że go pod strażą wiodą, uląkł się losu, jaki mu był zgotowany. Schylił się do kolan Stachowi, o życie prosząc.

— Życia ci nateraz nie odbiorą — odparł Stach — ale to wiedz, że jeśli się wyrwać będziesz próbował, a wezmą cię, ubić kazałem w miejscu.

Mierzwa ręce podniósł do góry, mówić chciał, niełitościwy Żegciec za kark go ująwszy, pchnął i do ciemnicy popędził.

Czuwano na wałach dzień i noc. Mikołaj ani siadł spoczywać. Biskup pocieszał księżnę płaczącą i strwożoną i jakby nie było nic, do ko-

ściola dzwonić kazał, nabożeństwo odprawując uroczyste. On też wcale o poddaniu się nie myślał. Goworek, któremu pani i dzieci zdane były, zbroję też wdział, ale w niej najwięcej u proga Teremu i mieszkaniu Heleny stał, bo z wojewodą w nieprzyjaźni będąc, stronił od niego. Zdawna się oni z sobą o znaczenie i pierwszeństwo spierali, bo wojewoda równym go sobie nie chciał znać, a Goworek ulegać mu się wzdragał.

Niewiasty, które powybiegały strwożone ku wałom, gdy się wojska zbliżały, posłyszawszy, że książę Kaźmierz nie żyje, zaniósły wieść tę do pani, która padła zemdlona. Nierychło dopiero potrafił ją tēm uspokoić Goworek, iż jawne kląstwo zmyślone, aby zamek pochwycić, bo z obozu świadka nie było. W niepewności i obawie o los swój i dzieci, księżna już gotową była zamek poddawać, sama się pod opiekę Mieszka udać, byle jej Sandomierz powrócono. Zaklinała o to, lecz biskup ręczył za bezpieczeństwo i mówić o tēm nie dopuszczał.

Księżna zmieniała tak postanowienie co chwila, sama zostawszy poddać się żądała, gdy Pełka wlał w nią otuchę, chciała się bronić i zachęcała drugich do walki. Trwoga wszakże przemagała, bo szturm i zdobycie jej i dzieciom groziło śmiercią. W niepokoju ciągłym powoływała do siebie to Goworka, to wojewodę, to duchownych, mo-

dlila się, narzekała, płakała i na chwilę jój samej nie można było zostawić.

Gdy się to działo na zamku, Jagna wzięwszy męskie ubranie, kaftan, łuk, mieczyki, obuszek, razem z Ilreczynem i kilku czeladzi puściła się w lasy, najmniej nieokazując trwogi. Przy dworze pustym służby mało co zostało. Wyjechawszy, popatrzyła na Wawel i głową skinąwszy pognała lasami, szukając sobie bezpiecznej przeprawy przez Wisłę i schronienia.

Dorota, nie spodziewająca się napaści, niewiedząc o niczem, do ostatka zabawiała się z przyjaciółmi, albo ze starą Czechną na naradach przesiadywała. Nie przeczuwała wcale niebezpieczeństwa do ostatniej godziny. Dopiero gdy z wojskiem Mieszk bracia jój weszli do miasta i już się na rynku pokazali, sługa przybiegł dając jój znać, że Dobrogosta i Sędziwoja zobaczył. Wpadła w rozpacz i trwogę taką, iż zrazu przytomność straciła, sądząc się zgubioną; potem w ulicę zbiegłszy jak stala, w sukni jednej pognała do swój powiernicy Czechny, u niej spodziewając się znaleźć przytułek.

Czechna nie była ładającą babą czarownicą. Miała dworek na przedmieściu piękny, ogrodu kawał i pola, a że się jój wszyscy radzili, bogaci i ubodzy, mężczyźni i niewiasty, bo uchodziła za przemądrą lekarzkę i czarodziejkę — działo się jój dobrze.

Miano ją nawet za bardzo bogatą, a ona sama nie tała się z tćm, że jćj na niczćm nie zbywało. Owszem, gdy do kościoła się wybrała, a chodziła doń często, aby ją duchowni za czary nie prześladowali, stroiła się w futra i łańcuchy, jak najdostatniejsza kupcowa. Ze strachu aby uroku jakiego nie rzuciła, zapraszano ją na wesela, chrzciny i pogrzeby; na nie też wybierając się, stroiła bardzo wytwornie. A choć lat przeszło pięćdziesiąt miała i dwn mężów pogrzebła, po których jćj dzieci nie zostało, mówiono, iż radaby się była jeszcze za mąż wydała. Na weselach podpiwszy sobie, bo rada do kubka zaglądała, młodych i przystojnych chłopców wabiła mowami i słówkami takimi, że się inne niewiasty rumieć musiały i oczy sobie zakrywać.

Czechnie wszystko było wolno, bo się jćj lękał każdy, okupywali się wszyscy od jćj czarów, płacili za lekarstwa i zamawiania. Czasu rzadko miała chwilę wolną, tak ją sobie rozrywano.

We dworku jćj, w izbie, w którćj przyjmowała ludzi, wielkiego dostatku widać nie było. Leżały w nićj ziola różne, inne wisiały u pułapu, schły na drążkach wianki, wiązki korzonków i pęki nasion; stały w garnkach nalewki, w słoikach i bańkach maście. A choć tego była moc wielka, Czechna od razu szła i sięgała po to, co komu potrzeba było dać. Oko miała tak bystre, iż często nim człek głębę otworzył, wiedziała co

mu było potrzeba, zgadywała cudownie, czy jej dla siebie, czy dla kogo potrzebował, i co mu było. Babiciem się też parala, a ludzie utrzymywali, iż do dzieci takie szczęście miała, że któremu ona pierwszą kąpiel przyrzadziła, pewnie żyw i zdrow miał być.

Wdowa różnemi czasy sama do niej chadzać musiała, bo Czechna do dworu nie bardzo lubiła iść, aby jej tam nie widywano. Znała więc drogę do dworku, a teraz strach ją tak pędził, że wprost pominawszy tylko wojsko wciągające do miasta, przez ogrody i ciasne zaułki, poleciała do niej. Na przedmieściach podtenczas pusto było, bo lud wszystek się zbiegał, gdzie tłum widział. Gdy zdyszana, blada, w sukni obłoconej, rozpuszczonej na pół obnażona przybiegła Dorota do Czechny, zastała ją samą jedną w progu, przysłuchującą się oddalonemu gwarowi. Nie widać po niej było trwogi ni pomiczania. Zobaczywszy wdowę, namarszczyła się i w chude, pomarszczone ręce piasnęła.

— Na Boga milego, Czechno, matko ty moja, ratuj! — zawolala Dorota. — Bracia mnie pochwycą, jam zginiona.

Nie nie mówiąc, głową wahając, Czechna ją do izby wprowadziła.

— Czy ty im teraz w głowie? — odezwiała się (bo wszystkim ty mówiła). — Nierychło mieć będą czas gonić za tobą!

— Ukryć mnie musisz!

— Gdzie? tu? u mnie? — odparła śmiejąc się Czechna — a toć to targowica? drzwi się nie zamykają. Wszyscy przecie wiedzą, że Czechna wam posługiwała, to gdzież, jeśli nie tu szukać cię będą!

Dorota zanosila się z jęków i płaczu; stara patrzyła obojętnie, dając się jej wyszłochać.

— Oni mnie zamkną w ciemnicy! oni głodem zamorzą! — wołała Dorota — co chcesz dam, ratuj!

Upadła przed nią na kolana, ręce złożyła i powtarzała — ratuj!

Czechna wciąż potrzasała głową. Namarszczona myślała tak długo, w końcu nie nie mówiąc, z kąta chustę wzięła ogromną, którą się zwykła była wychodząc okrywać i skinęła na Dorotę. Ze dworku ścieżyna wydeptana prowadziła kręto między wiśniowe krzaki i drzewa, nie widać było dokąd. Czechna szła przodem milcząca, Dorota oglądając się trwożnie za siebie, bo wrzaski z miasta aż tu dochodziły, biegła potrącając ją, nagle, chcąc przyspieszyć pochód zbyt powolny. Nie zważając na to, stara się włokła po swojemu.

W gąszczach zarośli widać już było dach, jakby bez ścian, wysoki i spiczasty, chatę ubogą, która w ziemię wrosła. Przed nią kałuża stała sięgająca aż do progu, którą po zgnilej kładce

przebywać musiały. Czechna otworzyła drzwi niskie i weszła, Dorota weisnęła się za nią.

W środku dymu pełno było, który oczy wyjadał. Nikogo tu nie zobaczyły, dopiero gdy się Czechna odezwała:— Bywaj! — wyszła niewiasta chuda, oszarpana, wyżółkła, schorzała, nędzną okryta odzieżą. Stara poszeptala jej coś na ucho. Z izby drabina prowadziła na wyżki, które wdowie wskazano. Gnana strachem wdrapała się na nie. Czechna popatrzała na spinającą się do góry, zdyszana Dorotę, coś zagadala jeszcze i nazad powróciła do domu.

W sam czas uciekła z domu wdowa, gdyż ledwie dobiegała do Czechny, a bracia już dwór jej ludźmi otaczali. Spodziewali się ją wziąć na pewno. Wtargnęli zaraz Dobrogost z Sędziwojem do środka, ale zamiast siostry zastali tylko czeladź spłoszoną, rozbiegającą się po domu.

Szukanie nic nie odkryło. W izbie, w której siadywała, przekonać się tylko mogli, iż niedawno w niej była jeszcze. Sami więc w pogoń się puścili i ludzi rozesłali.

Około zamku nazajutrz rano. gdy na nowe wzywianie do poddania się odpowiedziano łajaniem, beczeszeczeniem i odgrózkami, Kietlicz z Bolkiem już tylko przybycia Starego oczekiwali, aby obleganie rozpocząć.

W południe tegoż dnia Mieszek z resztą sił swoich z Poznania nadeiagnął.

Wszyscy jego pułkownicy, syn, Kietlicz, starosta Warsz i Juchim, który się o to napraszał, wyszli do bram miasta na jego spotkanie. Juchim, który dawno go nie widział, wzrokiem bojaźliwym mierzył księcia, chcąc poznać, czy z sobą szczęście przynosi.

Twarz była postarzała ale zawsze jedna, z której nikt nie nic wyczytał, — zaszępiła, zastygła, niema. Taż sama do góry poddarta broda, czoło pomarszczone, usta zapadłe co dawniej. Siwizna tylko znacznie mu włos poprnszyła. Czuć w nim było człowieka co się nie poruszał chyżo, ale nie padał nigdy, nie cofał się i nie ustawał. Z powagą wielką ale nie bez pewnej obawy, którą ukryć się starał, patrzył na otaczających. Wzrok jego naprzód padł na Warsza, a było w nim więcej surowości, niż wdzięczności, potem na Juchima, którego długo oczyma ścigał.

Bolko tymczasem do ojca się zbliżywszy z uszanowaniem, ale twarzą wesołą i rażnością młodzieńczą szybkimi słowy, niewyraźnie, micszając się, tłumaczył mu co tu uczynili.

Stary mało go słuchał, skinąwszy na Kietlicza, aby się zbliżył. Stali tak we wrotach, a mieszczenie starsi bili pokłony nadarcunnie, bo nowy pan ani na nich chciał spojrzeć.

Gdy Serb mu o zamku powiedział, oczy tylko ku Wawelowi skierował i nie rzekł nic. Konia spał i dalej w miasto jechali.

Tu ziemianie, dowódcy owych siedemdziesięciu zawołań poczęli go po drodze witając okrzykiwać panem, ale i tym mało co głową skinąwszy, do dwu tylko z Tęczyna trochę laskawszą obrócił się twarzą.

Juchim co go z dawniejszych lat pamiętał, znalazł cięższym niż był i w słowa skąpszym jeszcze, na twarzy surowość dawna nabrała prawie wyrazu zimnego okrucieństwa. Widok tej stolicy, z której niegdyś wygnany uchodził, zdawał się go poruszać. Może w dalszy pytał sam siebie, ażali znów go wyżną, i ile razy pod te mury powróci, póki je dla siebie i dzieci zagarnie.

Wśród gwaru i opowiadań Bolka i Kietlicza jadących obok, Stary zwolna posuwał się ku zamkowi. Znal go dobrze, wiedział, iż do zdobycia nie będzie łatwym, tymczasem zaś kto wie, co się przygodzić mogło? Gdy mu doniesiono, że Pelka z Mikołajem zawczasu się na zamek schronili, z ust mu się wyrwało.

— Zdrada była!

Nie mówił już nic potem.

Wieczorem się obozem kłaść wojska zaczęły dokola zamku. Stary milczał, Kietlicz pędził i groził ludzi, wołając, aby się corychleń do szturmów sposobili. Do szturmów na ową srogą górę przygotowania nie było, a przyrzędy do tłuczenia wrót, drabiny na wały potrzebowały czasu, nimby je pościągano i powiązano

Gdy z zamku nie bez trwogi patrzano na to mrowisko ludu, eo go oblewało dokola, z dołu, z obozu spoglądano ku górze nie wiedząc jak i zkad ją ująć? Siła ludu mogła zginąć nadaremnie przy walce, a poleżawszy głodem można było wziąć załogę. Tak radzili niektórzy, ale Kietlicz nie godził się na to, obawiając powrotu Kaźmierz, choć go dla drugich umarłym głoszono. Wiedział dobrze, iż na pierwszą wieść o zajęciu Krakowa rzuci się rycerstwo z Rusi dla odzyskania stolicy.

Mieszek nie spodziewał się ich tak rychło, ażeby Ruś w pomoc miała przyjść nie wierzył, bo ona doma zajęta była. Dzień i dwa upłynęły na wahanin, naradach i próbach. Trzeciego o świcie, Kietlicz zamek zewsząd osaczywszy, w milczeniu wielkiem ludziom pełznąć kazał na górę, a dostawszy do parkanów, rzucić na nie nagle. Rachował, iż się tam napaści spodziewać nie będą i na zaraniu na stanowiskach nie znajdą. W ciemności i mroku poszli ludzie na górę, lecz gdy się do tynów i parkanów zbliżali, sypnęły się nagle bale gwoździste, koły, kamienie, pociski.... Połowa napastników potłuczona zwała się w dół, pozabijana, poraniona, a reszta pierzchnęła. Strzały jak grad świsnęły za pociskami, okrzykiem ogromnym rozległa się góra i okolica.

Z miasta ludzie powybiegali patrzeć na szturmem, zdawało się im bowiem, że się zamek nie

obroni. Kietlicz zajadły, ludzi chciał prowadzić raz drugi ponawiając napasć, żołnierze mu się wzdragali. Nie chcieli ginąć nadaremnie. Kilkuset było straconych z pokaleczonemi.

Stary, który z namiotu swego wyszedłszy patrzył, wprędce nazad do niego powrócił, wyglądając już nawet nie chcąc. Bolko zły z potluczonemi na sobie blachami powrócił do niego.

Wymyślano sposoby różne. Ogich podkładać chciał Serb pod parkany, potem między mieszczany szukał takiego, coby do zamku się wśliznął i do otwarcia wrót straż przekupił. Słano do Juchima, aby nastreczył człowieka, żyd ramionami poruszał, ręce załamywał, ale nie umiał wskazać zdatnego pomocnika.

W namiocie księcia radzono bezustanku i bez skutku.

On sam sparty na stole, słuchał tylko, rzadko wtrącając jakie słowo. Serb rozgorączkowany, zły poprzysięgał, że choćby miał życiem przypłacić do zamku się dostać musi. Niecierpliwiło go, że patrzył nań a wziąć nie mógł. Słał nieustannie, chodził, ludzi ściągał, nagrody obiecywał, a wlokło się nie po myśli i Stary coraz był mocniej zasepiony. Słowa z niego dobyć było trudno, oprócz narzekania na zdradę. Wszystko się o ten zamek rozbijało.

Szedł często przed namiot swój, stawał, na Wawel patrzył długo, jakby go temi oczyma świe-

cęciami z pod brwi rozrosłych chciał pożreć. Wracał potem, siadał, zasnęła się, a gdy syn po młodzieńczemu sypał przed nim słowy i nadziejami żywymi, potrzasał głową pogardliwie.

Minęło tak dni dziesiątek, wiosna przychodziła ciepła i sucha, ludziom było rażniej, lecz z obozu wykradali się do miasta, a tam wszystkiego znajdując podostatkiem więcej myśleli o swawoli, niż o obleżeniu.

We dnie stawaly kupy zbrojne naprzeciw wałów, na których ludzi nigdy nie brakło, zaczęto słowy ciskać jak kamieniami, lajać się, wyzywać i strzelać z łuków. Więcej z tego było zabawy niż skutku.

— Nieboszczyka sługi, trupie wojsko! — wołano z dołu do góry.

— Rozbójniki! zdrajcy! — odpowiadano od zamku.

Leciał za tęp belt, padał kamień, rwano się zdala do siebie, rosła złość, ale do zamku dostąpić nie było sposobu. Gdy im głodem grożono, obleżeni ćwierci mięsa wywieszali na okazy i wory maki staczali umyślnie, okazując, że zapasy mieli.

Mieszek po kilku tych dniach, Kietlicza wołać kazał.

— Kaźmierz może nadeciągnąć i Ruś z nim — rzekł — w gołym polu obrona trudna, odejść przed nimi ze strachu, nie mogę. Na dole zamek warowny stawic i wały trzeba sypać...

Z początku na ten rozkaz pański potrząsano głowami, zamek drugi pod zamkiem wydawał się starszym niepotrzebny, wielu niebezpieczny, nazajutrz jednak powtórzył książę, iż mieć go chce; drzewo i kamienie ściagać zaczęto. Mieszek nie siedział już w namiocie, ale na pniaku, patrząc jak mu zamek budowano.

Wojsko musiało, porozrzucawszy zbroje, wziąć się do rydlów i toporów. Mała część tylko została na straży.

Z wierzchołka murów na Wawelu, Mikołaj i biskup Pelka patrzyli co się u stóp ich działo.

Gdy drzewo zwozić się zabrano, zaniepokoił się wojewoda, myśląc, że tarany do bicia bram i murów budować myślą, ale wkrótce się okazało, że tyny, parkany, szopy i dwór zakładano.

— Oni tu myślą siedzieć — rzekł wojewoda — my też nie wyjdziemy stąd dla strachu.

Zapasy żywności dość jeszcze było. Radzić jednak nad tem, by odsiecz przyspieszyć należało.

Choć wiadano, że na Ruś dojdzie wieść o obleganin, nie byli pewni, jak rychło; nużby głód ich zaskoczył nim Kaźmierz nadeiagnie?

Wypadło z narady wysłać kogoś do księcia, a biskup zaraz Staeha wskazał — mówiąc — albo ten lub żaden.

Powołano go natychmiast. W izbie niewielkiej siedział Pelka u stołu za księgą, z której po całych dniach modlitwy czytał dlatego, iż owo

przerywane ciągle nabożeństwo, mało ważył. W tém oblężeniu ducha na chwilę nie poprzestawał się modlić, aby ciągle uim być na straży. Wśród dwu rozmów, wśród dwu myśli, odmawiał wiersz psalmu, lub wysyłał westchnienie do Boga.

Oba z bratem nie tracili nadziei, że się obronią, lecz dziecii każdy troski pomażał.

— Ciężkie na was włożę zuów brzemię—rzekł.

— Byłem um podolał — odparł Stach.

— Widzicie co się dzieje, zamek sobie budują, jakby nam grozić chcieli, że ten zniszczą, a zawczasu inny przysposabiają. Kto wie, czy Kaźmierz zna położenie nasze i jak rychło powróci! Trzeba słać do niego.

A po chwili dodał. — Jedźcie wy!

Stach stęknął. — Nie proszę o zwolnienie ani się wzdragam — rzekł — ale jakże ja mogę stanąć przed obliczem pana? Wiecie ktom jest, że się mu ukazywać nie wolno mi, bom ja żywym dlań — policzkiem!

Biskup wysłuchał.

— Nie potrzebujecie z tém iść do samego księcia — odpowiedział — złożycie się chorobą, pošćcie mu pisanie odemnie. Zwierzyć tego nie mogę innemu. Czyniliście już wiele dla okupienia grzechu młodości, zróbcie i to jeszcze, zasłużycie się panu, nam, królestwu...

Nie zapytano go nawet, jak się zdoła wydobyć z zamku dokoła osaczonego, jak przez miasto

przemknąć się niepoznany, jak z niego wymknąć. Biskup wiedział, że nie mniejszych już dokazywał spraw, smjąc się po Szlązku i Wielkopolsce, a życia swego nie żałował.

Wojewoda Mikołaj mniej mu ufał, i obawiał się, aby go z listami nie wzięto. Zarzucano go pytaniami, biskup zachęcał. Mikołaj rad nie skąpił w ostatku spytano, czy się podejmie. Milezał długo, wazył wreszcie westelnicie mu się wyrwało i rzekł.

— Bóg łaskaw, pójde!

Wojewoda po ramieniu go uderzył.

— Tak — dodał — będziesz miał opiekę Bożą nad sobą, bo dobrej sprawie usłużyysz. Bierz do pomocy co ci trzeba, opatrz się w pieniądze i spiesz!

Biskup dodał. — Dam ci kartkę z pieczęcią moją, do pierwszego probostwa dojechawszy, konie sobie dawać każ. Od dzwonnicy do dzwonnicy niech cię odwożą, a pospieszaj!

Stachowi twarz poweselała.

— O to tylko proszę miłości waszej — odezwał się do biskupa, abyście, jeżeli zginę, byli mi świadkiem, żem moją pokutę do końca życia doprowadził, a za duszę grzeszną mszę odprawili.

Pocałował w rękę biskupa, który błogosławił rozrzewniony.

Wyprawiono Stacha nim wieczór nadszedł. Pierwsza z zamku ucieczka z Żegciem, przydała

się teraz im, gdyż to samo miejsce mogło posłużyć do wysłiznięcia się. Gdy zciemniało, poczęli od strony Wisły się spuszczać. W obozie wszystko leżało uspione. Udało im się niepostrzeżonym dostać do stóp góry, a tu, choćby się z kim zetknęli, za należących do wojska uchodzić mogli. Nikt wszakże nie stanął im na drodze. Do brzegów rzeki dopadli poeichu, pominawszy strażę niedbalę, które u ognisk się skupiały. Stał znowu na czółen rachował, jak przy dawniejszój ucieczce i pierwszy, który się im nastręczyło, pochwycił. Skoczyli już weni, gdy rybak na sieciach spiący w nim, narobił wrzawy zerwawszy się. Żegieć chwycił go za barki i do wody cisnął, aby z obozu ludzi wrzaskiem swym nie ściągnął, odepchnawszy się od brzegu, wypłynęli na środek, gdzie już po nocy ani ich dojrzeć, ani pochwycić nikt nie mógł.

V.

U Starosty Warsza, w jego dworze na mieście, czasu tego wesoło było jak nigdy, i ludno tak, iż każdy inny człek, nie byłby mógł długo w usługach gości tylu wydolać. Starosta, choć giętki i podatny, miał żelazną siłę.

Mało to że wszystkie sprawy i żaloby miejskie się tu rozsądzały, a było ich mnogo, bo między żoldactwem a mieszczany nienestanne wynikały spory i prócz tego starszyznę trzeba było dniem i nocą przyjmować, karmić i poić, wszystkie obozu rozkazy spełniać, żywności dostarczać, i dworować panom, aby z łaski nie wypaść.

W mieście samém nie bardzo szło po myśli Staroście.

Siedemdziesiąt zawołań ziemiańskich wprowadziło na stolicę nowego pana, mieszczanie zasko-

ezeni musieli też wrota otworzyć i pokłonić się. W początkach śmierci Kaźmierza uwierzono, siła Mieszkowa zastraszała, teraz już zaczynało różnie mówić o zgonie księcia, wielu zaprzeczało tej baśni, a wojska dawały się srodze we znaki.

Trzeba je było karmić, a czasu wojny nowe prawo o podwodach i przewodach zapomniane zostało. Brano mieszczanom i kmieciom konie, strawę, siano, co kto napadł nie pytając i nie płacąc.

W mieście baby musiały zamykać, bo obozowi ludzie zuchwale się z niemi poufali — spiżarnie chować, pieniądze zakopywać.

Szenrali bardzo kupey i mieszczanie że za Kaźmierza czasów całę inaczęj bywało.

Nikomū tak pilno nie było ażeby zamek na Wawelu zdobyto jak Warszowi. Stał mu nad głowę jak groźba. Zdawało mu się że ludzie ci wojować nie umieli, nadto żalowali trochę gminu poświęcić, który na to był aby go bito i tłuczono.

Zamek jakby się im urągał; przeczył nowemu panowaniu, które sobie nowe gniazdo musiało budować pod jego bokiem.

Szybko wznosił się ten gród nowy, choć nie-pokaźny, lichy klecony, z drzewa cały — zawsze on znaczył że tamtego nie zdobyto i rychło się zając nie spodziewano.

Tym czasem zaczynało przebąkiwać że na Rusi

wszystko było skończone i ład przywrócony po myśli księcia.

Ziemią co stronę Mieszka trzymali liczone siedemdziesięciu, tych co Kaźmierzowi dobrze życzyli, dziesięćkroć więcej.

Kaźmierz gdzie się tylko pokazał, zwyciężał, Mieszkowi upartemu nie się nie wiodło. Pierwsza radość z nowego pana, zaczynała się w niepokój zamieniać. Nuż tamten powróci?

Tym czasem Kietlicz lekkiej ręki nie miał. On tu teraz wszystkiem rządził, bo Mieszek na niego się zdawał i nim wyręczał wszędzie. Z Serbem ani rozgadać się, ani go uprosić nie było podobna. Nie patrzył ludzi, przyjaciela czy wroga darł ze skóry.

— Na to wojna! — powiadał.

A Warsz mu wtórować musiał.

— Na to wojna!

Tym czasem u Starosty jak w gospodzie pito i jedzono od brzasku do pierwszych kurów, a choć miasto dostarczało dużo, Warsz musiał dokładać. W ostatku zamiast wdzięczności lada ciura zrywał się na niego, groził i od czci odsadzał.

Gdyby zamku dobyto wszystkoby wejść w karby musiało, zalogaby stanęła na nim, a obóz się rozszedł po okolicy i zamkach. Byłby pokój. Zamek stał, we wnętrznościach swych groźb pełen i wojny.

Co gorsza nowemu panu i jego pomocnikom,

zamiast coby miało dobrą myśl i łaskawości przybywać; — coraz tylko złości i gniewu przyrastalo. Warsz nie śmiał się skarżyć nikomu, ale pozołkl z troski i zbiedniał ze strachu.

Jednego wieczora, choć żadnego widomego do tego powodu nie było, dal się czuć niepokój; na mieście i w zamku; ludzie z obozu biegali w różne strony wysyłani konno i pieszo, parę oddziałów wyprowadzono spiesźnie na gościniec; koło wrót miejskich powiększono strażę i czujniej chodzić zaczęto, przy nowym grodzie drewnianym roilo się, brzęczało, szumiało jak w ulu.

U Starosty Warsza mimo że stoly były jak zawsze na przyjmowanie gości gotowe, zrobiło się dziwnie pusto, muchy tylko z mis się żywiły. On sam, który tych dni częściej chodził w kaptanie i żupanie, teraz przywdział blachy, miał się pogotowin jak do wystąpienia.

Po ulicach spotykając się ludzie szeptali z sobą bojaźliwie pytając co się działo. Niewiele kto wiedział. Popłoch czuć było, lecz zkad on szedł, co groziło — chyba starszyzna sama była wtajemniczona. Przez część nocy widać było ognie na wałach, krzątanie około szalaszów i wozów, konie nawet z paszy nad Wisłą wszystkie pościągano.

Ciekawsi mieszczenie mający stosunki z ziemianami i pułkownikami, podchodzili ukradkiem do znajomych, lecz na zapytanie, co się dzieje,

odpowiadano im że nie me wiedzą — a kazano być w pogotowiu i czujności.

Krakowianie wyciągali z tego łatwy wniosek że jakiś, z kądś nieprzyjaciół zagrażać musiał, a któżby nim mógł być jeżeli nie Kaźmierz i wojska jego?

Padła trwoga na wszystkich co jawnie stronę Mieszka trzymali. Starosta Warsz posłał na zamek syna, który niedorósłszy był ale roztropny tak iż mu zawierzano, pytając Kieflicza poufnie — Czy co groziło? Serb odparł gniewnie chłopcu, aby do licha szedł, i odprawil go z niezem.

Syna i starą żonę zostawiwszy w domu na wypadek przybycia gości, Starosta niespokojny przypasałszy miecz, hełm na głowę włożywszy, mrokiem pobiegł do dworku Juchima. Tam się spodziewał najpewniej czegoś dowiedzieć. Tu, jak zwykle, długo stukać było potrzeba i opowiadać się nim wrota otwarto nie bardzo chętnie. Puszczono Starostę, który żyda zastał w izbie siedzącego nad stołem, w obu rękach trzymającego starą głowę, zatopionego w myślach.

Ujrawszy dostojnego gościa, starzec podniósł się z ciężkością, spojrzał nań i powoli przywłókł się ku niemu.

— Co się to dzieje? niewiecie wy? — zapytał Warsz — nigdzie nie dopytać nie mogę. Przyszędłem do was. Ludzie biegają, w obozie ruch! Co to jest?

Juchim podniósł ręce do góry i poczał głosem drżącym.

— Ręka wszechmocnego nas dotknęła! Nie-szczęście nad głowami naszymi! Zagłada czeka, śmierć, zniszczenie, zguba!!

Starosta osłupiał.

— Mów! co? — zakrzyknął.

— Nie wiecie nie? Książę Kaźmierz powraea! Idzie z całym rycerstwem swém i z Rusią. Po drodze w Lubelskiej ziemi, z Sandomirza jego wierni się doń zbiegają! Siłę ma wielką, z nią na nas idzie. Idzie i jak piorun ognisty spadnie na głowy nasze!

Warsz oniemiał ze zgrozy. On i Juchim byli w położeniu podobnem. Widzieli ich wszysej gorliwie dla Mieszka pracujących, posilkujących mu, obu czekała nienbłagana zemsta wojewody Mikolaja, który znał wszystko i wiedział. Oba mogli się za zgubionych uważać.

— Co ho mówicie? — przerwał Warsz, sam sobie usiłując dodać odwagi. Mamy z sobą wojsko Mieszka i wszystkich ziemian krakowskich. Ruś! co znaczy miesworny tłum, garść jakaś...

— My ziemian mamy! — odparł Juchim — A wiele ich z nami? Albo oni unieją sobie robić przyjaciół? Od téj pory jak tu są połowę stracili tych co mieli! Nigdy ich dużo nie było! kłamałi! Kietlicz odzierając i bezczesząc, resztę zniechęcił!

Co ziemianie znaczą, którzy dziś jednemu, jutro drugiemu służyć gotowi?

Juchim ręce załamał — Warsz stał myśląc już tylko o sobie.

— Któż tu weźmie górę? — spytał.

— Kto? — zawołał Juchim — Na co to pytać! Zamek się trzyma, Kaźmierz ich precz rozniecie! On podejdzie z jednej, wojewoda z drugiej strony — wszystko się rozleci! Ziemianie zdradzą gdy Kaźmierza żywym zobaczą!

— A ty co myślisz z sobą? — dodał Starosta.

Popatrzyli w oczy jeden drugiemu.

Juchim westchnął.

— Ja? — rzekł cicho — ja jestem mały człowiek, ja siedzę w domu, ja służę każdemu kto mnie potrzebuje, ja tu gość! Że mniałem iść się kłaniać Mieszkowi, co za dziw? Każdy musi bronić swoich kości! Ja wojska nie mam, tylko pokłon mój.

Zamknął pot ocierając z czoła.

— Gdzie jest pokój, gdzie jest bezpieczeństwo na ziemi! — zamruczał.

Głową począł trząść, rękami ruchy czyniąc dziwaczne. Słów mu brakło ze wzruszenia.

Warsz zatopiony był w sobie.

— Ja muszę radzić inaczej — począł — Oni powiedzą że ja miasto wydałem! Nieprzyjaciół mam między mieszczanami. Powiedzą że miał

zmowy z Kietliczem, żem ja naprzeciw niego jeździł. Kto wie czego nie zmyślą na mnie! Ja życia nie jestem pewny, mnie ztąd z wojskiem trzeba — precz!

A! — westchnął — dom — pola — wszystko zabrać gotowi!

Zawahał się — Juchim — dodał — tobie nie będzie nic — Kupuj sobie dom, ogrody — wszystko!

— Ah! — krzyknął żyd — a mnie to na co? Albo ja mam za co kupować i czém płacić? Ta wojna ostatni grosz mi wycisnęła! Pożyczałem księciu, dałem synowi, wziął Kietlicz — ja nie mam nic! nie!

Potrząsł połami sukni i jęknął.

Oba stali długo niemi.

— Życie ratować trzeba — to najdroższe — dodał Warsz. — Kto wie co jeszcze będzie, kto życie ma, wszystko ma!

Żyd mu nic nie odpowiedział.

Dotąd ze Starostą byli w stosunkach takich że Juchim mu się kłaniał, a Warsz go bardzo szanował, teraz oba zobojętnieli dla siebie, Juchim stał wyżej, Starosta stracił na powadze.

— Co oni mnie zrobić mogą? — począł Warsz na pół do siebie, pół do żyda — co mówicie? na gardle ukarzą?

Juchim zadumał się — Jeżeli sam książę sądzić będzie? on jest miękkiego serca i krwi nie cheiwy, ale wojewoda!!

— A co im po mojem gardle? — zagadnął Warsz — Starostwo odbiorą?? aby gardło zostało! Do kopalni nie poszła! A i ztamtąd ludzie wracają gdy się mają czém wykupić. Uciec to znaczy przyznać się do winy i do strachu? skazać się samemu!

Juchim nie przeczył ani potakiwał, jęczał. Starosta przeszedł się po izbie razy parę z głową spuszczoną i prawie bez pożegnania wysunął się nazad do domu. Idąc przechodzić było potrzeba przez uliczki wąskie od nowego zamku dolnego na miasto wiodące, przebiegały je oddziały zbrojne, mimo nocy nie ustawało poruszenie w obozie.

W domu zastał Warsz w izbie pustej tylko jednookiego Berezę nad kuflem który mu kazała podać żona Starosty. Kietliczowy sługa, teraz już półkowódzca, siedział ponuro zadumany, mrużąc coś sam do siebie. Uzbrojony był od stóp do głów, napiły i zły. Zobaczywszy gospodarza ledwie się ruszył, ręką ogromną w rękawicy żelaznej uderzył o stół aż wszystko zabrzęczało.

Spojrzał Bereza na Warsza ostro i złośliwie.

— E! wy! wy — zaburczał — wy wszyscy grodowi i ziemianie i wiele was tu jest, was by jak szczenięta wytopić i wydusić. Co po was? Gdyby dziesięciu panów było, po kolei każdemu będziecie na wierność przysięgali, a wszystkich zdradzicie! My was znamy! Komu tu wierzyć! Kłanialiście się i za kolana łapali, a jak się tam-

tego chorągwie pokażą, pójdziecie z pokłonem do niego! E! wy!

Dopił kubka i cisnął nim o stół. Starosta patrzył milezący i gniewny, ale Bereza ani na jego urząd, ni na gniew nie zważał. Nasunął hełm na głowę, poprawił pasa na którym miecz miał uwieszony i powoli wywłókł się nie powiedziawszy — Bóg zapłać.

Izba pustką stała.

Zwykle o téj porze bywało w niej najtłumniej, najwzrzwawliwiej, teraz choć drzwi stały na oścież otwarte, a światło biło na ulicę — nikt się nie przybłąkał. Przechodzili ludzie różni, nikt nie zajrzał.

Około północy gdy koguty piały, już żona Starosty chciała kazać dom zamykać, gdy niespodzianie z za węgła wysunęła się ludzi gromadka. Nie byli to rycerze, ani ziemianie, ale mieszczanie, których tu od niejakiego czasu mało widywano, oprócz kilku Warsza przyjaciół.

Ci co teraz po nocy przybywali właśnie do przeciwnego należeli obozu. Starosta który jeszcze po izbie chodził stękając, zobaczywszy ich kilkunastu, a między nimi najpoważniejsze głowy, kupców bogatych, rzemieślników dostatnich — zmięszał się nieco.

Mileząc weszli do izby, a ostatni, nie pytając gospodarza, drzwi za sobą zasunął. Warszowi zrobiło się gorąco, potem zimno, zbladł, zmięszał

się więcej jeszcze, stał się pokornym, słodkim, uprzejmym dla tych gości, których niedawno w ulicy ledwie chciał znać.

Starszyzna ta, poubierana w suknie długie, w kołpakach wysokich, ludzie wiekowi, poważni, stała długo z początku, rozglądając się, otaczając Starostę.

Milczenia nikt nie przerywał.

— Cóż mi to miłościwi bracia, przynosicie? — odezwał się w końcu Warsz łagodnie.

Patrzali po sobie, jakby wybierając tego co za wszystkich mówić miał.

Wysunął się na przód podżyły, okrągły Soroka i ręką się po głowie pogładziwszy, poprawiwszy pasa, rzekł.

— No — Warsz, wy nas wprowadziliście w kałużę, myślecie jak z niej wyciągnąć! Co teraz będzie?

— Ja? ja was wprowadził? — składając ręce przerwał Starosta — Ja? Com ja winien? Czy to my mogliśmy się bronić, aby miasto w perzynę obrócić?

— A dziś ono choć nie w perzynie — dodał Soroka — to bez skóry i bez chleba kawałka. Popytajcie nas, wy tego nie zazналиście co my biedaki, chudziny.. A co teraz, panie Starosto, co dalej?

— Albowm ja temu winien co jest, abym opowiadał za to co będzie? — zawołał Warsz.

— Hej, Warsz! A któż to z ziemiany siedemdziesięcią, z tą kupą wareholów się wachał, kto im wrota otwierał? Gdybyście wy potajemnie do Mieszka nie jeździli, nie dali mu znać co gdzie stoi, nie obiecali miasta dać, nie byłoby tego co jest!

Wszysey gorąco potakiwali, Warsz to się za włosy porywał, to w piersi bił, odskakiwał, przybiegał, a z ust wyrywały mu się niepowiązane słowa.

— No! co teraz? — naglił Soroka.

— A no, teraz — wtrącił Samko Zamiecha śmiało — coście zrobili dla Mieszka, musicie uczynić dla naszego prawego pana, nad którego my innego znać nie chcemy.

Mówicie że miasto ocalić żądaliście? Przyjdzie Kaźmierz, to go też nie pożałuje, gdy mu bramy zamkniemy. On jak on, bo kitościwy, a Ruś, którą z sobą ma z dymem nas puści.

— Pewnie! — potwierdzali stojący za nim.

Warsz się za głowę trzymał.

— Albo ja wam bronię bramy otwierać? — zawołał — róbcie sobie co chcecie! Ja niewiem co czynić! Ja zawsze o dobro wasze dbałem jak o swoje — reszta u mnie była nieczem. Za was i za miasto ja albo głowę dam, albo do torby przyjdę!

— Ej! ej! — rzekł Soroka — Albo to my

was nieznamy? albo my to nie wiemy kto na czełm siedzi i komu służy? Komu wy to mówicie?

Warsz załamał ręce i milczał.

Gromadka starszych stała jak sędziowie przed winowajcą.

— Anośmy po to przyszli — rzekł Soroka — aby wam dowodnie rzec, że, chcecie wy czy nie, my panu Kaźmierzowi otworzymy wrota, a przyjmujemy go jak pana naszego!

Na głowę kłamał ci co rzekli że umarł, ino co go nie widać!

Warsz ramionami ściągnawszy, po namyśle przystąpił do Soroki.

— Róbcie sobie co chcecie — rzekł — ja — dobra miasta tylko pragnę. Był mi głowy z karku nie stracili!

— Wasza głowa wasza rzecz — odparł Soroka — pilnujcie jej sobie, my mały łudek nikomu ich nie zdejmujemy ani przyprawiamy!

Postali chwilę i powolnym krokiem ku drzwiom się skierowali, za nimi kroczył aż do progu pokornie Warsz i, gdy ostatni z nich wyszedł, postawszy jak osowiały we drzwiach, powlókł chwiejąc się do izby.

Drugie kury piał. Wiosenna noc już się dalekim ku wschodowi brzaskiem rozjaśniać zaczynała. Warsz przeszedłszy się po pustej jadalni powrócił do progu i zapatrzył się w pustą ulicę. O spoczynku myśleć nie czas już było. U Ś. Fło-

ryana dzwonek jakiś ranny na modlitwę wołał; od strony zamku nowego słychać było głuchą wrzawę dolatującą aż tu, gwar stłumiony. Tam też nie spano. Ruch panował w obozie. W izbie światło było pogasło. Starosta oddychał rannem powietrzem, sam niewiedząc dla czego sen go nie brał. Niepokój nim mიაတ. Dzień się robił coraz większy, szarzało, białało. Od strony obozu z gwaru wyszedł tentent daleki, jakby jazda szła wolna drogą, krokiem mierzonym.

Chwilę jeszcze Warsz stał tak w progu, gdy coraz bliżej słyszeć się dał tentent koni. Ufca postępował jakiś oddział wojska — dokąd? Chyba za miasto? Nie naprzeciw Kaźmierzowi ruszył, bo on z tej strony iść nie mógł.

Serce mu bić zaczęło, mieliżby dobrowolnie opuścić Kraków??

Warsz drzwi prędko przymknąwszy, sam za niemi ukrył się tak, aby przez szparę na ulicę mógł patrzeć.

Oddział stapał powoli, długo nań czekać musiał. Na ostatek pokazali się ludzie, których poznawał łatwo, jako przyboczną straż książęcą. wszyscy w kolezugach, dobrze zbrojni i jednako poodziewani. Jechali z cicha, jakby miasta budzić nie chcieli, milczący, szyszakami pokryte twarze; Przodem jechał pułkownik, szła chorągiew zwinięta. Za oddziałem w małym przestanku, osobno postępowało kilku ludzi.

Otaeczali oni jednego w którym 'Warsz poznał Mieszka. Okryty popielicowym kożuskiem na zbroję, jechał z głową na piersi zwieszoną, z brodą poddartą, która mu część dolną twarzy zasłaniała, zasepiony, blady, straszny, jakby niewiedział co się z nim dzieje. Niepatrzył przed siebie, patrzył pod siebie, konia nie wiódł, szedł on sam za drugimi. Dokoła go osłaniali dworzanie, ale Kietlicza ani Bolka widać nie było. Domyślił się Warsz że ci na nowym zamku zostać musieli.

Dwa oddziały szczupłe zamykały ten pochód smutny, jakby pogrzebowy, wśród ciszy poranku nspionego wysuwający się z miasta ukradkiem.

Książę niehodził unosząc życie i swobodę, ale wojsko jego nie następowało, zamek więc i miasto z nim bronić się miało, wystawiając na zniszczenie.

Przeprowadziwszy ich oczyma, Warsz zamknął drzwi i przy nich upadł na ławę. Ze znużenia i frasunku jak był we zbroi, oparłszy się o stół, z głową zwieszoną, wpadł w sen głęboki a niepokojny.

Zbudziło go gwałtowne do drzwi dobijanie się. Zerwał się nie wiedząc już z pełna gdzie jest i co się z nim dzieje. Biały dzień jasny wpadał przez szczeliny pozasuwaných okiennic. Do drzwi wciąż szturmowano gwałtownie i głosy nakazujące domagały się wpuszczenia.

Warsz pospieszył odryglować zasuwę i ledwie

miał czas w bok ustąpić, gdy na próg wpadł od stóp do głów zbrojny Kietlicz, z oczyma zacierwienionemi, z odgrózkami na ustach, hełm tylko co zdjęty trzymając w ręku.

Zobaczywszy Warsza ochłonął nieco, ale złość z niego zionęła jeszcze i przekleństwa z ust wymykały się jak grzmoty dalekie po gwałtownej burzy. Warsz zaspany ledwie się trzymał na nogach. Kietlicz tych co za nim szli, skinąwszy ręką za drzwiami zostawił.

— Spisz, stary niedołęgo! — zakrzyczał — a tu miasta bronić trzeba! Ty, niedbalecze! ty! Wrota zamykać, niech się mieszczenie kto żyw, zbroją.

— Nie kazał mi nikt! nie mówił nikt! nie niewiem! — odparł Warsz.

— Rusini ciągną z mordem, z pożogą! Idą mścić się za krew i ogień które wasz miły Kaźmierz do ich ziemi nosił! Odwet przychodzi! Broncież się wy, baby jakieś, bo zamek mój też się będzie bronił do npadłego!

— A! — zawołał Starosta — broncież wy i nas. Sami się nie obroniemy.

— Mieszczan wypędź do nogi! na częstokoły, na wały, do bram! Musicie się bronić zajęcze syny, bo życia stradacie. . Rusi was miłować nie będzie. Wasz to Kaźmierz pono prowadzi ją na swych poddanych, tak jak Władysław Połowców.

To mówiąc stojącego jeszcze Warsza, Kietlicz pchnął silnie ogrońną, pięścią zaciśniętą.

— Idź, czego stoisz! idź! Coś ogłupiał! Rozsyłaj, trąb żeby mi ludzie szli do obrony, z czem kto ma. A poddacie się bez walki, ja was wyrznię w pień! Ja — bo ja na zamku siedzieć będę, póki nie nadciągną posiłki. Idź! idź!

To mówiąc Serb wystraszonego Starostę popędził w głąb izby, a sam zawrócił się do konia którego leż we drzwiach widzieć było. Dysząc oprawca na zamek wprost pobiegł ze swemi.

Pozbywszy się go Warsz długo stał jak wryty. Co miał czynić? słuchać jego czy być posłusznym mieśczanom? Tak czy owak głową odpowiadał. Krzyk wpadającej żony do reszty go pomieszał. Chwycił za hełm na stole, i zapomniawszy przypasać miecza, niewiedząc sam dokąd wybiegł w nlicę.

Tu ludzie snuli się tam i sam wystraszeni jak on, od drzwi do drzwi, spiesząc się, pędząc, stając, wykrzykując, wołając się. Miasto było obrazem n eladu i popłochu. Rządził kto chciał, rozkazywał kto głośniej krzyczał, słuchano chwilę potem czyniono co kto inny doradzał.

Kupki przy wrotach domostw zbierały się nie spokojne, zwiększały, rosły, rozpraszaly, gromadziły w innych miejscach. Zatrzymywano przechodniów, rzucano się na ludzi nieznanych. Cie-

kawsi biegli ku bramom, bojaźliwsi uchodzili do lochów i szop, w ogrody.

Warsz wybiegłszy z domu opadnięty natychmiast, zarzucony pytaniami, groźbami, nie odpowiadał na nie, wyrywał się jakby już tylko myślał o własnem ocaleniu. Chwymano go za suknie, szarpano odzież na nim. Nie wiedział dokąd się skryć, czując tylko że najgorzej było w domu pozostać. W niepewności co czynić miał, wołał nie robić i skryć się. Jako schronienie jedyne dwór Juchima na myśl mu przychodził.

Wyrwawszy się gwałtem z rąk tych co się od niego domagali aby ich bronił i radził im, Warsz małemi uliczkami zbiegł pod dwór żyda. Tu puśto było. Bił we wrota co sił stało, długo odpowiadało mu milczenie tylko.

Wreście zasłnwa w furcie się otwarła i blada twarz Juchima ukazała za nią.

— Idź! ty, człowiecze złej godziny! — zawołał gniewnie żyd. — Czego ty chcesz odemnie? Ja cię znać nie chcę? Jam ci nie winien nic.

— Wpuść! na Boga, zlituj się.

— U mnie miejsca nie ma — nie chcę, nie przyjmę! Na moją starą głowę nieszczęścia ściągac nie będę! Idź! idź, tu dla ciebie miejsca niema!

I zasłnwa w oknie zamknęła się tak silnie iż furta zadrżała. Warsz pozostał sam ze swą rozpaczą.

W mieście tymczasem nieład się coraz powiększał, każdy z razu czynił co chciał, potem starsi mieszczanie, naradziwszy się z sobą, poszli do bram, pilnując aby ich nie zamykano. Chciał kto z miasta precz, wypuszczali go, chciał do miasta nie bronili — czekali.

Poznać było łatwo że miasto się ani myśli nie chce opierać, i gdyby był Warsz spróbował spełnić rozkaz Kietlicza, byłby może życia postradał, a niktby go już nie usłuchał.

Wszystko to się spełniło nim jeden żołnierz Kaźmierzów ukazał się pod murami, nim najmniejsza garstka przodowników przybyła.

Wieść o nadełdzących przyniesiono na zamek, ztąd ona rozeszła się po mieście. Zastępy Kaźmierza odmalowano tak groźnie, że Mieszek po naradzie wołał sam ustąpić i iść po posiłki a synowi zostawić zamek, powierzając go Kietliczowi. Na dolnym grodzie czyniono przygotowania do rozpaczliwej jego obrony.

Wszystko to nie mogło ujść oka tych co na Wawelu czuwali. Wojewoda Mikołaj już z wieczora dostrzegł co się działo w obozie nieprzyjaciela, serce wszystkim urosło, nowy duch wstąpił.

Domyślano się odsieczy.

Z wieży czatowano nieustannie, a że Wawel nad dolnym zamkiem panował, widać było najmniejszy ruch w nim i co się działo dokoła.

Pewnym był Wojewoda że największe niebezpieczeństwo przeszło, że lada dzień niewola się skończy. Zamierzał jak się tylko wojsko Kaźmierzowe ukaże sam wypaść z zamku, aby oblegających wziąć w kleszcze.

— Teraz ten niezmierzony warchoł wpaść musi w ręce nasze — mówił wojewoda, Biskupa po rękach całując — Okrutny nie jestem, zemsty chciwy nie byłem nigdy, ale oszczędzić go, grzech! Inaczéj my i pan nasz nigdy nie zażyjemy pokoju.

— Bogu zostaw staranie o pomstę i pokój nasz — odparł Biskup — Byliśmy z więzienia tego wyzwoleni zostali, a pan nasz na zamek wrócił!

Jak na mieście i zamku dolnym wszystko, było w trwodze, tu po długim ucisku, oddychało radością wielką. Księżna z synaczkiem i córką Adelaidą szły Bogu dziękować na mszę Biskupią... Kościół mimowolnie przypominał jéj męża, głos organu i śpiew lzy z oczów wyciskały: przypominała sobie Kaźmierza przy tych organach, grającego i śpiewającego pieśni pobożne...

Lud na Wawelu, choć jeszcze nikogo widać nie było, czuł się weselszym, silniejszym. Narazcie te okowy co go opasywały, prysnąć miały, a on odetchnąć swobodniéj.

— Pan przybywa! — wołano w dłonie poklaskując.

Tłumnie na wałach zebrani, napróżno jednak do wieczora samego oczekiwali żeby się przeznecia ziściły. Wprawdzie na dole, dotąd porozpraszane skupiały się siły, ale jak okiem zajrzeć, żaden oddział, ani czaty przednie się nie ukazały. Noc zapadła ciemna, wietrzna, chmurna, dalekiemi rozświecona błyskawicami, nie nie dojrzano, nie zmieniło się nic.

W mieście tylko gotowało się, wrzało, kipiało i dopiero późno w głęboką noc, uciszać nieco zaczęło.

Kietlicz, któremu dano znać że bramy miasta stały otworem, posłał swych ludzi na mieszczan i pędzić ich kazał do obrony, a wrota zamykać. Lecz na ruchomą falę ludu, gdy się nie lęka zemsty a czuje trochę silniejszą, niema potęgi co by ją zanzdała i wstrzymała. Schwycić ludzi nie było podobna. Tłumy się rozlewały, znikwały jakby szły pod ziemię, skupiały potem w okamgnieniu i rozpraszały znowu, jakby najgrawając się z tych co je opanować myśleli. Małe ledwie gromadki dawały się zapędzić ku bramom, a i te, zał dwie odeszli stróże, znikwały gdzieś za domy i płotami...

Noc to była bezsenna.

Niektórzy na dachy powyłaziwszy, spoglądali w ciemną jej otchłań, wypatrując tego którego niegdyś wybawicielem zwali, i teraz go tém imieniem witać gotowi.

Cisza panowała w okolicy, tylko wprawniej-sze oczy, z wierzchołka domostw, mogły dojrzyć na wschodzie, jakby bladą lunę na obłokach odbiła. Była-li to jutrzienka nowego dnia czy zwiastunka pożogi i wojny?

Co się z Warszem stało nikt nie wiedział. Biegano szukając go wszędzie. Od tej pory gdy stukał do dworku Juchima, nie widział go nikt. Kietlicz stał po niego ludzi, mieszczanie starszyzna gromadami upominali się o niego u płaczącej żony, zaklinającą się że nie o nim nie wiedziała. Strzesiono dom, szopy, lochy, nie było śladu.

Co widząc mieszczanie po eichu między sobą wybrali Starostę, ale o nim nie dali znać do zamku, aby Kietlicz nań nie wsiadł. Czekali jutra.

Nazajutrz rano deszcz kropił, ale słońce dobywało się z chmur, wiatr rozpędzał obłoki powoli.

Po wczorajszym popłochu oczekiwanie dłuższe, nieco uspokojenia dało. Na zamku dolnym ochłonięto ze strachu, na górnym ogarniał niepokój. Na mieście już niewiedziانو co myśleć.

Kietlicz chciał koniecznie ażeby miasto się zawarło i broniło, ale swojemi ludźmi, za mało ich mając, osadzać go nie mógł. Posłano do ziemian, którzy obiecywali stawać z Mieszkiem i wprowadzili go do Krakowa; teraz ich już widzieć nie było. Nie odmawiali posiłków, obiecywali się zwołać, pogotowiu nie było nic.

Siedzieli po gródkach, patrząc co Bóg da..

Kietlicz się i na nich odgrażał straszliwie, ale odgróзки szły na wiatr.

Dzień cały znowu upłynął przy wzrastającym niepokoju. Chociaż wiadomość o zbliżającym się z Rusią Kaźmierzu pewną była, bo ci co ją przynieśli na własne oczy widzieli pułki, które prowadził, zaczynano wątpić czy wprost na Kraków pociągnie. Wieczór już nadechodził, gdy okrzyki wielkie u bram miasta, odbiły się na zamkach obu. Nikt przybywających nie widział, podkradli się cicho, i ukazali u wrót, gdy się ich nie spodziewano.

Stały im wszystkie otworem.

W jednych z nich Soroka z głową odkrytą, przyjmował księcia Kaźmierza, który na koniu siwym jechał, u boku mając kniazia Romana. Za nimi szły pułki polskie i ruskie. Razem wojsko i mieszczenie wielkim głosem Kaźmierza okrzykiwać zaczęli. Kilka ulicami wciągnęli tak bez przeszkody do miasta, które Ruś zobaczywszy, z obawy jój puste trochę się wydało.

Kaźmierz jechał wprost do kościoła św. Floryana, aby tam Bogu za powrót dziękować.

Dopiero, gdy ujrzano z górnego zamku te zastępy i poznano chorągwie, Biskup kazał we dzwony nderzyć i na walach ludzie zahuczeli okrzykami.

Na dolnym szczególnie się zamknęli Mieszkowi.

Nadchodzący mrok nie dozwolił nie poczynać jechali tylko książęta oglądać poczwarny, na przedce sklecony gród dolny, aby radzić jak go zdobywać.

Po Haliczu i Brześciu, którym Kaźmierz radę dał, choć oborniejsze były, zamek Kietlicza nie zdal się straszny. Mógł jednak trochę zachodu i krwi kosztować.

Wojsko w rynku, po ulicach, na przedmieściach. około Wawelu się rozłożyło. Na sam Wawel przystępu bronił obóz i wojsko Mieszkowe. Książę zajął dworzec biskupi. W godzinie zmieniło miasto oblicze, stało się innem niż wczoraj, niby obozem jednym. Nieśmiało otwierali mieszczanie domy swe Rnsinów się obawiając, ale przekonawszy się że spokojni byli, powoli się i z nimi bratać poczęli. Wszczął się gwar, biesiady, opowiadania, śmiechy, wskazywania co i gdzie leżało, obliczanie sił, wróżby na jutro. Choć miało obrońców, czuło miasto że mu jeszcze srodze pokutować przyjdzie nim się Mieszkowych pozbędzie. Wojna miała się stoczyć prawie na ich śmieciskach.

Nocą jeszcze pościągano z miasta do księcia Kaźmierz ludzi, którzy świadczyli co się tu, jak i przez kogo działo. Nicktórzy dobrowolnie biegli opowiadać co wiedzieli.

Słuchał Kaźmierz i lza mu się w oczach kręciła — Com zawinił tym którzy mnie opuścili? —

odezwał się — Staralem się być dla wszystkich sprawiedliwym i miłosiernym.

Bolało go najwięcej to że ziemianie krakowscy tak pochopni byli do odstępstwa. Cheiano mu imiona ich zliczyć, aby się przekonał że tych nie wielu było lecz słuchać odmówił.

— Wiedzieć nie chcę którzy byli, aby w sercu gniew i pomsta się nie zrodziła — rzekł książę.

Późno w noc u drzwi pańskich, znalazł się i ten, którego najmniej spodziewać się było można — skarbnik Juchim. Stał już od dawna przed wrotami z głową obnażoną, rękami zwieszonemi, dopominając się by go wpuszczono. Gdy się docisnął do księcia padł na kolana przed nim i długo ze wzruszenia mówić nie mógł.

Chciał uprzedzić co na niego donosić miano.

— Błogosławiony niech będzie Bóg który sprawadza sprawiedliwego — poczał — Za tobą było jęczenie nasze i boleść wielka; głowy mieliśmy posypane popiołem i szaty rozdarte..

Książę, któremu już mowiono że Juchim Mieszkowi służył, wymówek mu nie czynił.

Gdy żyd jeszcze błogosławił i witał, rzekł doń krótko.

— Służyłeś przecie dawnemu swemu panu!

— A czegoż biedny robak nie czyni gdy go nogą cisną? Życia bronić musi każdy! miłościwy książę — westchnął Juchim — za gardło trzymali mnie, posłusznym musiałem być!

Spytał go książę o Starostę, bo o stosunkach jego z żydem, już także miał doniesienie.

— Niewiem o nim nic! poprzysiądz mogę! — rzekł Juchim. — Jeżeli winien kto że miasto się poddało chyba on — ale czémże bronić się miało? Komu żywot i mienie nie mile?

Długo bardzo, niespokojnie Juchim błogosławił, tłumaczył się, użalał na ubóstwo, na zdzierstwo, na wojnę, na dołę swoją, przypadając do kolan milczącego Kaźmierza, który go odpuścił nie dając znaku ani gniewu ani poruszenia.

Cisnęli się tak kto mógł z żałami, doniesieniami, zalecając wierność swoją.

Książę na brata Mieszka mówić nie dopuszczał, słuchać nie chcąc obwinień przeciw niemu i otwarcie się z tém oświadczywszy że Kietlicz był wszystkim winien, on namową, podżegaczem i sprawcą. Ktokolwiek poczynił o Mieszk, on wnet prostował sprowadzając na Kietlicza. Na Serba zważano myśl i wykonanie zamachu i upartą chęć trzymania się na dolnym zamku.

Nazajutrz rano bardzo, ledwie na dzień się brało, ziemianie zaczęli się w mieście okazywać nawet ci co do siedemdziesięciu się liczyli którzy pierwsi z Mieszkem wciągnęli. Nim rozcedniało i książę wstał, liczba ziemian powiększyła się znacznie, pierwsi się tu znaleźli co najwinniejszymi czuli. Jeden na drugiego winę strącał, wszys-

cy teraz wracali do dawnego pana. Gdy się książę ukazał pokłonami i okrzykami go powitano.

Przyjął to spokojnie, bez wymówek, bez gniewu, ale bez radości z nawrócenia.

Sreniawa, któremu najwięcej zarzucali wierni Kaźmierzowi, począł się tłumaczyć.

— Serce ojcowskie przebaczy choćby oblakany — rzekł — Ujmowali nas i nęcili nie wiedząc czém Dobrogost i Sędziwój, najczędzał Kietlicz..

Kietliczem wymawiali się wszyscy, groźbami tego, zrzucono nań własną winę.

— Sromamy się i kajamy żeśmy ulegli — mówił Sreniawa — ludzka rzecz pobłdzić, królewska przebaczyć. Odtąd wiernie tobie i rodowi twemu służyć będziemy. Zwiedziono nas, grożono...

Zaczęli i inni, już księcia znając na Kietlicza narzekać.

— Zmuszał nas, nękał, serca nam psował, kłamstwa nas wziął! — wolali.

Z gorliwością wielką ofiarowano się do zdobycia zamku dopomagać, w którym Kietlicza ująć na pewno się spodziewano.

Gdy książę z Romanem na koni siadł oglądać gród nowy, ziemianie wszyscy posypali się za nim.

Zameczysko na prędce sklecone i liche leżało u stóp Wawelu, ladajakim wałem otoczone i ty-

nami opasane. Do budowy tój nie miał Mieszek oprócz kłód drzewa ogromnych, które z sąsiednich lasów pościągano, z nich się i szopy i ogrodzenia składały, łatwem więc zdało się ogień podłożyć i wyprzeć nim nieprzyjaciela. Obszerność zamku znacznych dosyć sił w nim pozostałych, domyslać się kazała.

Z wierzchołka Wawelu postrzeżono zaraz Kaźmierza jadącego ze dworem, i okrzyk się podniósł wielki, dzwony św. Wacława witały pana radośnie, a z wieży wiała czerwona chorągiew, którą wiatr wesoło unosił.

Rusini i Polacy stali w szeregach, czekając skinienia aby się rzucić na gród, lecz książę zwłókl hasło do boju. Nie chciał poczynać lekko, aby żywotów ludzkich oszczędzić. Oljeżdżano i oglądano ze wszech stron, radząc jak najłatwiej zdobywać było.

Posłał książę naprzód domagając się dobrowolnego poddania; tego, który jechał strzałami odegnano, łajaniem i pogrózkami. Rusini natychmiast chcieli rzucić się na wały, lecz tego dnia spoczynęk dano wojsku i opasano tylko gródek dookoła.

Przez cały dzień coraz nowe gromady ziemiian i kmieci przybywały z okolic, i dziedzinice a ulice dookoła dworca biskupiego pełne ich były. Jednych tylko braci z Tęczyna brakło, którzy Mieszkowi dotrzymując wiernie, z ludźmi swemi do niego poszli.

Vi.

Spełnił Stach poselstwo swe szczęśliwie, choć nie bez wielkich utrapień i mokołu. Niktby inny tego co on nie dokazał może, bo mało kto tyle co Stach włóczył się po ziemiach wszystkich i lepiej znał język ich i obyczaj. Na żadnym gościńcu obco mu nie było, gdzie zajechać, jak się opowiadać wiedział z doświadczenia. Znaczną część drogi przebywać musiał lasami, od probostwa do probostwa przeprowadzany, wymijając ludniejsze gościńce. Nad granicami szczególniejszego bezpieczeństwa nie było, włóczyły się tu gromady zbrojne, jedne Mieszkowemi się mieniać, drugie Kaźmierza, chełwe w istocie zdobywszy tylko, szukając zwady, wdzierali się i Rusini bezpańscy, Połowców prowadząc z sobą na nieopatrne dwory, a nie jeden kmięć gdy małą kupkę mógł na-

paść, gotów był obedrzeć, mszcząc się tego co od rycerstwa doznawał.

Stachowi to nie było obcem, wymijał więc, uchodził, krył się. nocami często jadąc, a dniem u księży spoczywając, aby się nie dostać w ręce cudze. Pieczęć Biskupa krakowskiego, którego dyecezya do granicy sięgała, służyła mu za opiekuna.

Szczęśliwie jakoś aż do obozu księcia dobiwszy się, tu, ażeby sam nie był zmuszony stawać przed Kaźmierzem, chorobę udął Stach a poselstwo Wszeborowi przekazał i listy mu dał...

Jeszcze przed nim na Ruś doszła była wiadomość, iż w Krakowie ziemianie się burzyli, jako by przeciw wojewodzie Mikołajowi. Kaźmierz nie bardzo temu wiary dawał, lekce sobie ważąc. Straszono Mieszkiem, poczytywał to za zmyślenie. Dopiero gdy Stach listy i powieść przywiózł pewną o tém co się w Krakowie stało, niepokój wielki ogarnął wszystkich. Rycerstwo wszystko rzucając natychmiast na odsiecz biedz chciało. Nie dano się rozmyślać księciu. Gwałtem niemal chwycono go, aby z Rusią szedł przeciwko zdrajcom. Nigdy może pośpieszniejszym pochodem, ochotniej i gwałtowniej nie biegło wojsko, nie dając sobie ni koniom spoczynku. Kaźmierzowi też szło i o los miasta i o żonę a dzieci pozostawione na Wawelu, który długo bronić się nie mógł. Smutny modląc się przez całą drogę, mało co mówiąc,

Każmierz jechał dając się więcej prowadzić niż sam szedł. Pochód był dla ziem które przebywał ciężki, bo nie pytano o prawo, a zabierano żywiąc się co na drodze znalezione. Porozprzegaly się trochę pulki, wszystkie jednym ogłodzonym gościńcem nie mogąc iść, każdy też rad był drugich wyprzedzać, bo gniew i niepokój pędziły. Dopiero zbliżając się ku Krakowu, do jakiegoś ladu Rusi i swoich można było doprowadzić.

Za dworem Kaźmierzowym ciągnął i Stach, inłac się po kątach aby oka na siebie nie zwracać.

Przybywszy do Krakowa, gdy już nie miał co czynić innego, przywdział zbroję, zabierając się razem z innemi iść do zdobywania dolnego zamku. Zajrzał do dworku Jagny, w którym Hreczy-na nie zastał i mało co czeladzi zgłodzonćj, a spiżarnie puste i zapasy wypróżnione; wiedział już z wieczora o wszystkiem co go mogło obchodzić, nawet o zniknięciu Doroty, którą za zginioną miano.

Nazajutrz po spoczynku, Rusinów i swoich utrzymać już było trudno, tak się rwali na gród dolny. Oblężeni domyślając się iż pod parkany ogień podłożyć mogą, aby ich wykurzyć ze wnętrza, nocą koły i drzewo darnią i ziemią pokładali, wodą oblewali; sposobili się do wsieckćj obrony... Leez, łatwo przewidzieć było że bez silnćj odsieczy nie długo się w słabych okopach potrafią utrzymać.

Odgrażali się mściwi Kaźmierza pułkowiedzey iż noga z tych co na gródku się zamknęli nie ujdzie... Opasano ich gęstemi zastępy dokola, nigdzie wyjścia nie zostawując, ani nadziei przetrwania przez oblegających. Jedna tylko strona do Wawelu przylegająca objętą być nie mogła, ale z téj spodziewano się wycieczki wojewody, który na hasło czekać musiał, aby razem z Kaźmierzem rzucić się na Bolka i Kietlicza.

Przygotowań żadnych do szturmów nie potrzebowano, ani taranów do bicia zasieków, ani wież ani drabin. Okopy świeże nie wysokie, parkany były nierówne, bramy drewniane...

Jeszcze się Kaźmierz ociągał z daniem znaku do rozpoczęcia walki, gdy rycerstwo już cisnęło się na wały, tak że wstrzymać je było trudno. Jeszcze raz, unikając krwi rozlewu, książę chciał posłać do obleżonych, aby się dobrowolnie poddali.

Sprzeciwiano się temu, Kaźmierz obstał przy swoim.

Wyprawiono Sieńca, śmiałego człeka i wymownego z gałęzią zieloną. Ten zaledwie ku bramie się zbliżył trąbiąc, gdy na wyżkach kilkunastu zbrojnych się ukazało, między któremi łatwo po szerokich ramionach i głowie dużej na krótkim karku Kietlicza poznać było można. Nie dano Sieńcowi się z poselstwa wypowiedzieć, gdy kilkanaście bełtów z kusz puszczone na niego, a je-

den tak nieszczęśliwie padł że mn kaftan pod ręką przebiwszy i pod blachę trafiając, w samo serce ugodził.

Sieniec tylko ręką się za piersi chwycił i na wznak padł, a koń z pod niego ranny kilką strzałami, nazad krwawiąc połeciał.

Zatém wrzaski się podniosły z obu stron straszne, swoich i Rusinów żadna już siła powstrzymać nie mogła; rzucili się nawałem ku okopom, bezładnie, nie patrząc wódzów, wyprzedzając popychając, tłocząc. Zamieszanie powstało wielkie, w mgnieniu oka wały całe się ludźmi okryły. Zdawało się że ta ciżba mały zameczek zgniecie i rozniesie.

Ale Kietliczowi, którzy dotąd znaku życia nie dawali za parkanami, dopuściwszy ów tłum do samych ścian, cisnęli gradem strzały, bełty, kamienie i bierwiona.

Padło co stało najbliżej pobite i pokaleczone inni po trupach się drżać zaczęli, wzięła się walka zacięta, bo gdy jedni miotali głazy i belki, drudzy przez parkan ręczny bój zaczęli toporami, mieczami, oszczepami ku sobie sięgając.

Obleżeni wiedząc jaki ich los czeka bili się rozpaczliwie i zajadle. Co który padł, na miejsce jego darł się drugi, tak że za parkanami żywił się mieniali walczący niż Kaźmierzowi, którym trupy i kłody drogę tamowały.

Na wyżkach za parkanami widać i rozpoznać

było można Bolka w całej zbroi z mieczem i Kie-
tlicza, pędzących ludzi, zagrzewających, ciskają-
cych strzały.

Walka wrzała zacięta, gdy od Wawelu otwar-
ły się bramy; wojewoda Mikołaj z doborem swo-
ich ludzi, puścił się ze swęj strony na obleżonych
Każmierz téż rwał się iść koniecznie do boju, bo
był takiego serca, iż gdy w jego oczach walczyli
drudzy, beczynnje na to patrzeć nie mógł i jak
prosty wojak biegł życie nastawiając, co i inni
wodzowie w owych czasach czynili, aby ludzi
przykładem zagrzewać.

Wstrzymali go ledwie ci co przy nim byli,
mówiąc że chwila nie przysła.

Gdy się tu bój toczył straszny, z miasta co
żyło wybiegło mu się przypatrywać, mieszczenie
choć się o siebie lękali, wytrzymać nie mogli po
domach. Tłum ich zdala stał ogromny, ręce pod-
nosząc, krzykiem swoim posilkując, rwąc się jakby
chciał téż iść do boju, choć tam i miejsca już nie
było, bo zamek opasywało wojsko i Ruś, tak że
sami się dnsili oblegający.

Stojący dalej przez głowy swoim strzały mio-
tali, wytrzymać nie mogąc ażby na nich kolój
nadeszła. Za wrzawą nie słyhać nie było, nawet
dzwonów w które po wszystkich kościołach ude-
rzono, gdzie sie duchowieństwo za powodzenie
oręża Kaźmierzowego modliło.

Stach był w tłumie na przedzie i szczęśliwie

dotąd od kłód i kamieni się ochroniwszy, oszczep i miecz dobrze już okrwawił, sam nie wiele pofluczony.

W pierwszej chwili zdawało się że bitwa potrwać długo nie może, a w jednej godzinie wszystko skończy; upłynęło ich trzy, a nigdzie parkanu nie złamano; Kaźmierzowi którzy zrazu parli się z wielką zapaleczywością, ostygli znacznie, ludu straciwszy dużo, a Kietliczowi nabrali ducha, kilka razy odparłszy szturm.

Trupa na wałach, przygniecionego belkami, zabitego kamieniami, rannych od strzał leżało mnóstwo na wałach — część ledwie ściągnięto w dół aby drogę oczyścić. Spodziewano się że obleżonym posiłków zabraknie, ale zawczasu przygotowania, nie szczędzili ich i coraz gęściej sypali. Zaczynano się obawiać aby w jedną rzucając się stronę Kietlicz nie przebil i nie uszedł ze swemi

Zagrzewali więc pułkowników ruscy i swoi, coraz nowe prowadząc oddziały na słabsze miejsca, lecz nigdzie się wdrzeć do środka nie udawało. Widząc to Stach począł nawoływać aby ogień podłożyć pod parkany.

Nikomui jednak nie chciało się miecza na żagiew mieniać, a niektórzy wyśmiewali doradcę.

Zebrał z trudnością Stach małą gromadkę, która mu się namówić dała, aby głównie przynieść z bliższych domostw, susz i smołę. Nierychło udało się nanieść ognisko pod drewnianą ścianą, z któ-

regu dym buchnął kłębam. Stach npatrzył miejsce gdzie dla wysokiego parkanu mniej ludzi było, drabiny kazał nieść i pęk smolnych pochodni ujawszy, nie czekając na drugich, z nimi się na zasiek drapać począł tak zręcznie i pospiesznie, iż na wierzch się wdarł, nim się opatrzoneo... Pochodnie zapalając ciskać wnet jął na dachy do środka, sam wołając — Gore!!

W istocie dachy dranicowe poczynaly się palić, ale więcej dymu na zamek szło z dołu od kupy chróstu pod parkanami podłożonej.. Dym i wrzask spłoszyły z tej strony Mieszkowych, którzy cofać się zaczęli i uciekać powtarzając — Gore!

Po całym zamku wołanie — Gore! się powtarzało — Gore! Gore!

Ci co śmierci w boju się nie lękali, ulękli się aby ich żywcem nie spalono. Parkan z jednej strony gorzał, na dachach płomienie błyskały — trwoga ogarnęła oblężonych. Każmierzowi w tej chwili napadli ze wszech stron i wrota wielkie, bronione słabo — wylamali. W kilku miejscach tyny pod naciskiem ich powaliły się.

Co się tam działo w tém zwarcu ostatniem, opowiedzieć trudno.

Rzeź się poczęła bezlitośna, wiązanie, bicie — pogonie. Dokola stał lud tak ściśnięty że nikt uchodzić nie mógł; kto się jednemu z rąk wyśliznął, wpadł na oszczep drugiego. Wielu na zie-

mię waliło się udając zabitych, chowając między trupy, tych tratowano i gnieciono, aż gdy z nich dech się dobywał ostatni, dobijającego trup ów za nogi chwycił, kasał, obalał i słał drugim pod stopy.

Każmierza już w tej chwili zamięszania przyboeczni utrzymać nie mogli. Wbiegł i on w tę tłumny z mieczem podniesionym przerzynając się na drogę wiodącą do Wawelu, która otwartą była.

Niektórzy z Kietliczowych nie mając innego ujścia, straciwszy głowy, na zamek górny zbiegać zaczęli, bo ich tu nikt jeszcze nie hamował.

Zobaczywszy to Rusini pierwsi. w pogoń poszli za nimi i część walki groziła przeniesieniem się na Wawel, z którego wojewoda Mikołaj był wyszedł. Bronić go nie było komu. Mogli Kietliczowi ludzie broniąc się lub mszcząc podpalić i mordować tych co na nim byli.

Krzyknął więc Kaźmierz na swoich kilkunastu przyboecznych i popędził za Rusinami na górny zamek. Bramę otwartą przebiegł oddział Kietlicza, Ruś za nim i w podwórcach zamkowych, pod oczyma księżniczki Heleny, Biskupa i resztki dworu wszczęła się znów walka zacięta.

Kaźmierz biegnąc za nimi postrzegł że przez drzwi otwarte do kościoła św. Wacława część uchodzących wtargnęła, starając się tam ukryć

i drzwi zaprzęć za sobą. Rusini przypadli zaraz i pod naciskiem ich wrota świątyni runęły.

Z przestрахem ujrzał książę co kościołowi Bożemu groziło, Ruś bowiem nie rozróżniając co swoje a co nieprzyjacielskie w pogoni za ludźmi już się na ołtarze rzuciła, chwytając z nich świeczniki i opony.

Na widok ten, przerażony Kaźmierz z mieczem podniesionym, z krzykiem ogromnym, jak piorun rzucił się na plądrujących.

Znany głos jego, zbroja, hełm, natychmiast Ruś powstrzymały od rabunku. Lecz że pomiędzy ławy, za ołtarze, po kątach ciemnych nacisnęło się mnóstwo zbiegów, za nimi się uganiać i o częto i kościół Boży jękami się rozległ, krwią oblewał.

Nim pochwycić uspiano zbiegłych, których wszędzie znajdowano, dopadł Wszebór do drzwi wołając że Kietlicza z nimi uchodzącego tu widziano.

Pogoń się zaczęła za nim i szukanie po komorach, na strychu, za ołtarzami, we wszystkich kryjówkach kościoła, Kietlicza nigdzie nie było.

Przed wielkim ołtarzem głazem ogromnym zamknięte było wniście do krypty i grobów — książę postrzegł że wieko stało podniesione a wniście otworem. Spuściło się wnet kilku do głębi.

Z podziemia dał się krzyk słyszeć głośny.. Skrytego pod trumny wywleczono sprawcę wojny..

Gdy się twarz jego zbladła, z hełmu już obnażona ukazała, a ludzie ręce mu związawszy ciągnęli ku górze, stał właśnie Kaźmierz nad wschodami i pierwszy raz może w życiu gniew ogarnął go taki, że żelazną rękawicą którą w rękę trzymał opoliczkował zdrajcę ¹⁾.

W tém nadbiegł o rusinach tu zasłyszawszy, książę Roman.

— Bierz go sobie, darnię ci za niewolnika tego psa — Weź go sobie! — zawołał książę — inaczej lękam się abym krwi jego nie przelał, a wszystka krew tego łotra nie opłaci ani cząstki tój pocziwój krwi która się przezeń wylała.

Kietlicz bezmówny już był i bezwładny, twarz blada krwią mu nabiegła od razów, nsta miał okryte pianą, ciało poranione, pobitą zbroję, poszarpaną odzież, nogi w ucieczce poodzierane do kości.

Rusini kniazia, wyrok usłyszawszy natychmiast go pochwycili.

Pozbyto się zaraz z kościoła i jeńców powiązanych i pogoni niepotrzebnęj w nim, aby co prędzej oczyścić skalaną świątynię ku której już zewsząd zbiegali się duchowni, spiesząc bezsilni na obronę.

Książę Kaźmierz upadł na kolana przed wiel-

¹⁾ Histor.

kim ołtarzem, aby Bogu podziękować za zwycięztwo, ale czasu na długą modlitwę nie było.

Biegli za nim ludzie z doniesieniem że co żywego zostało na dolnym grodzie zagarnięto w niewolę. Z innemi razem Bolka syna Mieszkowego i kilkudziesięciu ziemian krakowskich, starszyny wielkopolskiej, szlachaków.

Mikołaj wojewoda który razem z tą wiadomością przybył do księcia, cały jeszcze nowym gniewem stare odżywiającym — wołał by ze zdrajców nikomu nie darować żywota, ścinać wszystkich i wieszać!

— Zostawcie to mnie — przerwał mu Kaźmiercz nie mniej gorąco - dajcie czasu do rozważy i namysłu. Życia nikomu brać bez wyroku mojego nie dozwalam. Zabierajcie, zamknijcie — lecz włos nie ma spaść z ich głowy bezemnie. Bolka na zamek niech tu dadzą.

Mikołajowi nie bardzo się to podobało i odparł szorstko.

— Miłościwy panie, my od nich nigdy pokoju mieć nie będziemy, gdy im bezkarnie ujdzie raz zdrada.

Właśnie gdy to mówił dostrzegł Kietlicza związanego i pięść wyciągnął ku niemu.

— Czy i ten przepuścicie? — zapytał.

— Ten nie moim już jest jeńcem, — rzekł książę — dałem go w moc i władzę kniaziowi

Romanowi, ten ma nad nim prawo życia i śmierci, ale swobody mu dać nie może.

— E! e! — rozśmiał się szydersko Rusin — bądźcie wy o niego spokojni, ja mu w Haliczu lub Włodzimierzu znajdę kąt dobry, gdzie sobie w dybach chodzić będzie, drwa rąbać i wodę nosić a psy karmić. Chłopisko silne, zda się choćby i świnie paść. A już jemu dobrze u mnie będzie!

Gdy tak rozprawiali walka już była skończona, wiązano tych co żyli, dzielono na kupy, odzieranano ze zbroi i odzieży, ciury nad trupami znęcały się coprędzėj odzierając swoich i cudzych.

Wieczór już zastał krwawe pobojoywisko nagiem trupy usłane, gród dolny spustoszony, na pół spalony i rozerwany. Tłumy zwycięzców zawodziły pieśni radosne razem i okrutne.

Miecz do pochew włożywszy Kaźmierz otoczony towarzyszami szedł na dworzec, w którego drzwiach widać było zdala oczekującego nań Biskupa, księżnę i dzieci.

Oblicze Pełki zarumienione było radością zwycięstwa, do którego on i brat tyle się wytrwałością swą i męstwem przyczynili. Powitanie było rzewne, a księżna, która z trwogi jeszcze ochłonać nie mogła, łzami się ciągle zalewała. Dzikie wrzaski i jęki konających brzmiały w jej uszach śmiercią jeszcze.

— Bóg wielki, Bóg jedyny, Bóg nasz dał nam zwycięstwo — zawołał Biskup oczy i ręce w niebo

podnosząc — prawo i sprawiedliwość z nami było! Pan opiekunem sprawiedliwych! Probuje on tylko i krzyże zsyła, aby tém większą okazał łaskę.

Imię Jego niech będzie błogosławione!

— Amen! — dodał Kaźmierz rękę jego całując.

Roman stryj witał tymczasem księżnę, mimo powagi i grozy téj chwili strasznej, z uśmiechem figlarnym na ustach.

— E! ty, gołąbko moja biała — zawołał — czyście choć piroga słodkiego dla gości upiec kazali, do łaźni winników ugotować, starego miodu utoczyć, bo my się tak upłásali, naskakali że nam się i stół poczesny i kubek spory należy.

To mówiąc i z nogi na nogi przestępując a kołysząc się jakby istotnie do płasów się zabierał, ocierał rękami zakrwawionemi użnójone czoło.

— Cieszę się — mówił dalej — że ja też tu na coś się zdał panu memu miłościwemu Kaźmierzowi, gdy on mnie tylekroć ratował. Rusini moi tak się zwijali koło kosowicy, że pokosy po nich grube leżą — tylko to siano jutro pniehnąć nie będzie!

Żartował tak sobie wesoły zawsze kniaź. U wnijścia dwór cały wybiegłszy witał za kolana ściskając księcia. Stał i Goworek na pół smutny, wpół rozweselony którego po Biskupie, żonie, i dzieciach, pierwszego Kaźmierz uściskał.

— Zażyliście i wy biedy czasu tego oblężenia — odezwał się — alem ja przybyć wcześnić nie mógł, choć dniem i nocami spieszyłem!

Gwarно opowiadać zaczęto, wszyscy społem, co się na zamku osaczonym działo, co w mieście, narzekano na zdrajców, a wojewoda Mikołaj piosnkę swą powtarzał że surowości teraz zażyć było trzeba, i nie litować nad winnymi, aby się to ni powtórzyło. Na ziemian nastawał najwięcej, jak tak dobrotliwego pana zdradzić mogli.

Wspomniął Biskup że posła ztąd odprawił, nie mówiąc kogo, a Kaźmierz przyznał że to po wrót jego przyspieszyło. Chciał zaraz wiedzieć który był co życie wążąc z zamku się wymknął i do wojska przedzierał, aby go nie minęła nagroda, ale Biskup zamilczawszy o czem innem zagadał.

Wieczór ten zakończył się stołami dla starszyzny na zamku a dla pospolitszego człowieka i dworu książąt obu w podwórcach zastawionemi, przy których do dnia białego pełno było.

Odechodzili jedni, cisnęli się drudzy. Rozporządzano jeńcami, zbierano łupy, przyprowadzano coraz więźniów nowych, przedniejszych, których w lichą odzież z postrachu znajdowano poprzebieranych. Musiano potem od jednego do drugiego z pobranych chodzić, i każdemu zaglądać w oczy, aby ukrywających się pułkowników i ziemian

rozpoznać. Tych osobno na zamku pod strażą zamknięto.

Stach, który przy zażeganiu zamku się popalił i ran odniósł kilka, gdy wszystko się skończyło, pomyślał dopiero o sobie i do swego dworku się powłókl. Szczeniakiem był on trochę odległy, boby go Rusini, jak innych nie oszczędzili, choć tam już mało się czem pożywić mogli po Mieszku. Zaledwie kaftan z siebie poszarpany i zbroję potłuczoną zdjawszy, zabierał się ledz na łożo i spocząć, gdy w sieni dał się słyszeć głos jękliwy, natarczywie domagający wpuszczenia.

W progu, nieśmiało wchodzący blady Juchim się ukazał.

Czatował widzieć na powrót Stacha, krokiem niepewnym zbliżył się do leżącego i kłaniając się stanął przed nim.

Stach zuchwalstwu temu wydziwić się nie mógł, zerwał się oburzony z pościeli i ukazując na drzwi krzyknął.

— A idźże ty mi precz ztąd zdrajco bezwstydnym!

Juchim ten wybuch zniósł spokojnie.

— Co to, zdrajco? jaki ja zdrajca? — odparł — A! nie gniewajcie się! Na co to gadać takie rzeczy!

I z głębi piersi odetchnawszy, dodał.

— Ja już widziałem naszego księcia i pokłoniłem się jemu, ja mu powiedziałem wszystko jak

było.. Cóżem ja miał robić? wojować z mojami staremi rękami!..

— Idźże teraz z niemi gdzie chcesz — rzekł Stach — a mnie spokój zostaw..

— A! słoweczko tylko — rzekł Juchim. — Wy wiele możecie u Biskupa, a Biskup może wszystko u księcia.. Niech mnie mennicy nie odbierają! A kto im lepiej zapłaci, i lepsze pieniądze z czystego srebra bić będzie??

Stach nie odpowiedział nawet, odwrócił się tylko; żyd stał uparcie.

— Za co wy macie nastawać i gubić starego Juchima!

— Ani gubić ani zbawiać cię nie myślę — rzekł Stach porywczo — ani dla siebie ani dla drugich nic nie chcę, o nic nie proszę.. Idź z tém do innych.

— Wyście powiedzieli że Juchim zdrajca — ciągnął żyd nie zważając — to jest złe słowo, straszne słowo. Kogo on zdradził? samego siebie chyba, kiedy do tego nieszczęśliwego kraju noga jego stąpiła!

Nie otrzymując odpowiedzi, żyd mruczał, kręcił się, nie odchodził, wręście zagadując o tém i owém, natracił o Mierzwie — i cicho spytał co się z nim stało.

— Jeżeli go nie powiesili — rzekł Stach — to spodziewam się że to wkrótce nastąpi.

— A! nicch go sobie wieszają! co mnie do

do tego! — zawołał Juchim — Pytam o niego bo on mi winien dużo.. To jest zdrajca! On wszystkiego nawarzył!

Zbyć się żyda nie mogąc Stach, okrył głowę i udał usypiającego, jakoż Juchim postawszy trochę odszedł, a nim do wrót się dostał, znużonego już sen głęboki objął z marzeniami gorączkowemi.

Nad ranem książę Kaźmierz poszedł do swęj konnaty. Z okna jēj widok był za Wisłę ku murowance, którėj ściana jedna szarzała wpośród drzew zielonych. Książę spojrział w tamtą stronę. Niegdyś Jagna dawała mu ztamtąd znaki, gdy pilno jēj było powołać go do siebie. Naówczas w oknie u którego siadywała wywieszała kobierczyk szkarłatny, który zdala na murze widać było.

Okno Kaźmierza nawykłe do tego miejsca które on zajmował rozeznawało łatwo gdy był rozesłany. I teraz zdało mu się że kobierczyk u okna widać było.

Lecz mogłaż się już tam Jagna znajdować? Służąca może niebaczna zawiesiła go niewiedząc co robi. Może go oczy ludziły? Serce uderzyło.

— Miałaby powrócić?

Smok ranny leżał u drzwi na posłaniu, rękę miał zgruchotaną ciężkim razem obucha.

Książę sam poszedł do niego. Na widok pa-

na zerwał się stary sługa tak żywo, jakby o chustach któremi miał poobwiązywane ramię i dłoń, zapomniał.

— Co wam, ojcze trzeba od Smoka? — zapytał troskliwie.

— Tyś ranny!

— Jaka to tam rana! — odparł Smok — at — rękę trochę zgnetli.

Patrzył mu w oczy pilno chcąc z nich coś wyczytać.

— Kobierczyk wisi w oknie — szepnął książę — miałażby do murowanki powrócić?

Smok natychmiast wybiegł.

Kaźmierz wrócił, siadł, patrzył oknem i usnął tak zmęczony.

Dzień już jasny był gdy Smok powrócił, zajął do komory księcia, zobaczył śpiącego i sam się położył, a gdy Kaźmierz wstał wiedział już że Jagua była w domu z powrotem.

Hreczyn, który przybył do dworku oznajmił o tém Stachowi, ale rozpytywany gdzie się ukrył wali przez czas ten mruczał ni to ni owo ramionami dźwigając.

Nazajutrz Wichfried też skorzystał z wolnej chwili aby się przekonać co z Dorotą się stało. Słabość miał do niej Najpewniejszym był że gdy Mieszek Kraków zajmował bracia ją pochwycić musieli. Z ich rąk żywą, nawet opieką Kaźmierza wydobyć jej nie mogła.

Wchodząc na próg domostwa zajmowanego przez Dorotę, w myśli się tej utwierdził. Znać tu było przejście żołdactwa i gospodarstwo nieprzyjaciół. W sieniach leżała słoma i siano, na których niedawno kupa ludzi spoczywać musiała, drzwi stały otworem, w izbach dawnego ich przybrania i sprzętów śladu nie było. Przechodząc je ze zdziwieniem postrzegł Wichfried w trzeciej, dwie służebne Doroty, obdarte i wyblądle krzątające się około drzwi ostatniej komory, która stała zamknięta. Zobaczywszy Wichfrieda wydały okrzyk radośny.

Jedna z nich otworzyła drzwi zaraz, wskazując nim by wszedł.

Komora stała we mroku, okna były pozasuwane i dojrzyć tu nie mógł nic jeszcze Wichfried gdy z kąta głos, wymawiający imię jego, oznajmił że Dorota tu była. Jój to był głos, choć osłabły bardzo i zmieniony. Nierychło, przystąpiwszy bliżej zobaczył ją na łożu leżącą, bladą, wychudłą, z oczyma tylko błyszczącemi jak dawniej. Włos rozpuszczony, poplątany, w nieładzie spada na ramiona jój. których kości z pod skóry żółtkiej wystawały.

Gdyby nie ten głos i oczy, nie poznałby był jej może, nie śmiał zapytać co się z nią działo.

Wdowa dysząc gorączkowo nie mogła się zebrać na słowo.

— Jakżeście się potrafili ocalić od braci? — zapytał.

— Cudem! — odparła ciebo Dorota — Uciekłam zawczasu z domu! Widziałeś co z niego zrobili! Odarli mnie, zniszczyli. Czatowali tu ażali nie wrócę, alem była dobrze ukryta!

O! tak! dobrze! o chlebie i wodzie, na wyżkach, na zgniłym sianie, przez szczeliny dachu patrząc na miasto, w wiecznej obawie aby mnie i tam nie pochwycono...

Patrz — co się stało z Dorotą — Skóra i kości! Głód, niepokój, niewczasy, zimne noce, choroba. Jedna stara Czechna miała litość nademną, żywiła mnie, leczyła jak mogła... Bez niej umierałabym musiała.

Rozplakała się i wnet z żywością niewieścią a dziecinną — poczęła.

— A! to nie — przeszło wszystko, siły mam jeszcze! To nie! odżywię się, spocznę. Krasa moja powróci! Czechna ma na to sposoby. Nie opuszczajcie Doroty, mówcie księciu niech zdrajców braci ukarze... Niech gardła dadzą! Oni nań zbierali ziemian, oni knuli z Mieszkim. Niech gardła dadzą!

Zaczęła łzy znowu roniąc nad sobą, a usta się jej nie zamykały. Wiebfried patrzył i słuchał z politowaniem.

— Nie ocaliliście nic z tego coście mieli? — spytał.

— Ani jednój sukni, ani jednego lachmana — mówiła wdowa — Leżę na barłogu.. Zlitujcie się nademną, ratujcie!

Zmieniła znowu tok rozmowy.

— O, bylem spoczęła, Dorota znowu piękną będzie! — wołała gorączkowo — Zobaczycie! Życie jeszcze w sobie czuję, wszystko powróci. Książę też powrócić mi musi, albo żyć nie będę!

Plotła tak długo, aż niemiec się w końcu obiecując pomoc oddalił. Wróciwszy na zamek, przy pierwszej zręczności szepnął księciu o losie Doroty, litując się nad nią. Każnierz prosić się nie dając odesłał go do Skarbnego aby dom i ją zaopatrzone, ale słuchać nie chciał i imienia nawet nie wymówiwszy, odwrócił się. Wspomnienie nawet było mu przykre, wstręt i srom malował się na twarzy.

Wichfried sam też wysławszy co dla niej zyskał, nie spieszył do Doroty. Kilka tygodni upłynęło nim, wezwany przez sługę, którego wdowa umyślnie wysłała, niemiec niechętnie dosyć powłókł się do jej dworu.

Tu nowe go czekało zdumienie, domostwo odzyskało jeźli nie dawną swą świetność, przynajmniej pozór zamożności pańskiej.

Ślady zniszczenia zupełnie zatarte zostały. Wichfried wchodził do wielkiej izby, rozpatrując się ciekawie po niej gdy z drugiej wdowa wybiegła na jego spotkanie.

Nie była to już owa piękność dni dawniejszych jasna i ciągnąca oczy, ale niewiasta jakaś inna może do życia już wrócona, wdzięczna, uśmiechnięta, wesola. . . Trochę schudzona zdawała się jakby odmłodzoną, oczy jej jaśniały znowu, płeć odzyskała świeżość i rumieńce. Suknia jedwabna okrywała ją, miała już pierścienie, łańcuchy i ochotę a odwagę do życia.

— A co? — zawołała od progu — Sądziłiscie że już po mnie? O! nie! Jeszcze ja nie jednemu, gdy zechcę, zawrócę głowę.

Poruszyła się żwawo aby swą rzeźwość okazać.

— Wszystko złe już przeszło! — wołała. .

Niemiec zdziwiony nie mógł wymówić słowa, ona się śmiała, szczebiotała, wdzięczyła.

— Na nowo rozpocznę życie — mówiła — Należy mi nagroda za to com się wymęczyła na tych wyżkach! w tej chacie przeklętej! Dym mi się cisnąc przez dyle oczy wygryzał, gdy nocą szczenry biegaly po mnie krzycząc musiałam ze strachu! Gzło, suknia popadały na mnie. . . A te dnie, a te noce, na przemiany to skwarne, to dalsze, to zimne, a długie jak wieki. ani ich było przespać ni przeplakać! I to milczenie bez końca gdyby w grobie! Tylko czasem jęk chorąg babę z dołu, płacz dziecka, a z miasta krzyki pijanych żołnierzy — —

Com ja tam przeżyła! Odpokutowalam za swo-

je i endze grzechy. Teraz chcę zapomnieć o tém i żyć, żyć! — na nowo!!

Uderzyła w dłonie. Wichfriedowi wstyd było za nią stać jakoś skłopotany i zdrewniały.

— Cóż, ty? — zapytała — Przywiozłeś sobie z Rusi jaką córkę bojarską? kniahinię czy chłopkę?

Nikogo! — rzekł niemiec — dobrze żeśmy ztamtąd życie wynieśli!

Rozśmiała się i pochwyciwszy pod rękę Wichfrieda, do komory go zaprowadziła.

Tu, wróciły jęj stare nalegania o księcia, zaklinania niemca aby jęj pomagał — zwierzanie się o napojn który Czechna przygotowała umyślnie, a ten miał niechybnie serce Kaźmierza skłonić ku nięj znowu...

Wichfried był znudzony i gniewny, tak że le-dwie pół słowami odpowiadał, nie zraziło jęj to jednak i nie puściła go od siebie, aż go rozchmurzyła i dobyła zeń co chciała. Niemiec często przybywał tak ostygły i obojętny, powracał oczarowany i zawojowany... Gniewał się sam na siebie, Dorota tryumfowała...

VII.

Wojewodę Mikołaja żelaznym mężem zwano, nazwać go też można było kamiennym, bo raczej się skruszyć dał niż ugiąć. W bracie jego biskupie Pelce też samą krew i umysł nieugięty lagodziła miłość chrześcijańska i przytomna pamięć jego w każdój dnia godzinie Chrystusowa nauka. Choć pobożny, Mikołaj więcej był rycerzem i żołnierzem niżeli chrześcianinem. W nim jeszcze stary jakiś szczątek pogańskiego mieszkał ducha.

Takim samym był względem pana, podwładnych i dla siebie, ta siła wielka duszy dawała mu lekceważenie tych co jęj nie mieli, dumny był a bezwzględny. Przyjaciół też miał mało, ale szanowali go i ci co nie lubili. Jeden Biskup powagą swą czasem mógł go powstrzymać i ulagodzić, Kaźmierz nawet gdy go prosił rzadko co

wyjednął. Ziemianie się go lekali, lecz czasu wojny nie było nad niego wodza i żołnierza. Gdy on prowadził, szli wszyscy pewni zwycięstwa.

Mikołaj Wojewoda a brat jego Pełka o te czasy byli już prawie wszechwładnymi, Kaźmierz cenił wodza i człowieka, miał w nim przyjaciela, w sprawach kraju dawał mu wiele czynić nie pytając. Mikołaj swobody téj używał, wcale jęj nie szczędząc.

Natychmiast po otrzymaném zwycięstwie, Wojewoda zapowiedział pomstę nieubłaganą, karę surową na winnych.

Nie byłby zwłóczył z tém i wziął odpowiedź na siebie, lecz pierwszego dnia Kaźmierz stanowczo mu oświadczył, iż wymiar sprawiedliwości sobie zostawia. Wojewoda uledez musiał w duchu klnąc się, iż stanie wbrew księciu i winnym przebaczyć nie da.

Nazajutrz zbyt jeszcze wiele do czynienia miano, aby się losem jeńców zajmować. Jednego tylko Kietlicza losem rozporządził książę, oddając go w niewolę Romanowi. Wojewoda mruczał na to, wyrzekał, chcąc go natychmiast powiesić, myśleć nawet nie mógł o tém, aby z życiem uszedł ten, którego on o wszystkie Mieszkę knowania i spiski obwiniał. Inni więźniowie wszyscy, nie wyjmując Bolesława siedzieli na zaniku jeszcze, gdzie i ziemian krakowskich kilkudziesiąt z owych siedemdziesięciu liczono.

Bolko najstarszy z synów z drugiego małżeństwa Mieszkowego, najulubieńszy mu, młodzian dzielny, silny i mężny, szedł w sprawie ojca więcej jako wojak boju cheiwy, niż jako zdobywca i nieprzyjaciół stryja.

Tak samoby może wojował był pod wodzą Kaźmierza z Pomorzany lub prusakami, bo mu wojna smakowała. Nie było w nim jeszcze namiętności inniej, oprócz bojowej i rycerskiej. Bił się też do ostatka wściekle, zbroję miał na sobie polamaną, ciało okryte sińcami, ran kilka, a uśmiechał się jeszcze na wspomnienie tych, którym się śmiertelnymi ciosami odplacił. Rozpamiętywał walkę wczorajszą, jak lakomiec nęztę jaką. Teraz mu już było jedno co z nim stryj postanowił. Gotów był znieść los najsroższy, o jedno stojąc, aby oka nie zmrużyć, nie wydać jęku, nie okazać się słabym...

Zostawiony sam sobie, rzucony na słomę — myślał dość obojętnie, jaką męczarnią go ukara. Śmierci się nie bał, tylko wyłupienia oczów, bo kalectwo w młodym wieku, gorsze mu się nad nią zdawało. Rękę jedną dałby był chętnie za tych oczów dwoje... Więzienie też ciemne, smrodliwe w którymby go skazano gnić, groząc w nim budziło.

Na wspomnienie ojca, brać, życia, swobody, wojny łza mu się w oku czasem kręciła, ale płacz rycerskim nie był i poświstywał aby ból ukryć

i uśmiechał się gorzko. Czekał tak zamknięty a niepewność dolegała mu gorzej może niż to co go spotkać miało. Wiedział co się z Kietliczem stało.

Niewola na Rusi, zaprzękanie, nędza!! Kto wie? i jego mógł ten los spotkać? Z niewoli wszakci uciekali ludzie! To mu się jeszcze uśmiechało więcej niż ciemnica głucha.

Z tych myśli, wrzawa go jakaś rozbudziła. Podniósł się ku oknu z kratą drewnianą, przez której szczeble zamek widać było — wczoraj tyłą krwi oblany.

Pierś mu się jeszcze na to wspomnienie wzdymała.

Był to piękny dzień jego młodego życia, taki bój pijany, krwawy, zawzięty, mord, pożoga, walka wściekła — niestety zakończona tém, że go tłum na ziemię obalił i na pół zgniecionego pochwycił. Ale — bronił się do ostatka.

Poznano go ze zbroi i twarzy i posadzono za kratą.

Patrzył: na zamku niedogorzałym sterczały belki czarne, obalone dachy, porąbane ściany. Ziemia była zorana i usłana trupami. Żaden z nich nie miał i łachmana odzieży na sobie, do mogiły; ciała zabitych świeciły nagie, żółte, sine, krwawe, pogruhotane. Powiązani jeńcy, czerń prosta, siedzieli przy nich i na nich gryząc chleb suchy który im z kosztów rozdawano.

Inni pod strażą pędzeni przez dozorców, z dołu na zamek znosili trupy, na kupy je zrzucając. Ruch był jakiś śpieszny wśród tych gruzów.

Bolko widział jak z nich odgrzebywano jeszcze co warte było zachowania, jak zdala niedopalone drzewo parkanów dzwigano na górę i pokrywano niem trupy, na które rzucano chrust suchy wiązkami.

Jeńców zaczęto spędzać precz potem i stracił ich z oczów, tylko trupy zostały. Patrzył jeszcze na to miejsce pamiętne sobie, odgadując gdzie stał, kędy padł, gdy dym poczał się wznosić miejscami i otaczać trupów pagórki. Pod ściany drewniane podkładano żagwie wszędzie. Gdzie nigdzie błyszczały ogniki, z innych kłębiły się gęste dymy i zwolna podnosiły do góry. Zdala posłyszał dochodzący trzask płonących bierwion smolnych, dranic z dachów upadłych i parkanów. Płomię rozlewało się, biegło ku sobie, chwytalo się, i wkrótce cała przestrzeń którą zamek zajmował stała kotliną ognistą.

Gród i trupy razem ogień miał pożreć. Do koła stojące gromady podrzucały chrustu i suszy, pilnując by się ogień dalej nie szerzył. Powietrze było spokojne, dym rozpływał się i unosił do góry słupy ogromnemi. Co gdzie stało jeszcze, waliło się z łoskotem, od dołu podgorzawszy, iskry podskakiwały do góry i gasły w powietrzu.

Kiedy niekiedy podmnch lekki wiatru odwiał

dym, odrzucił zasłonę siłą i ciała poległych wi-
dać było piekące się w ogniu zczerniałe.. Okopy
rozrzucał jeńce, nie miało pozostać ni śladu wal-
ki braterskiej.

Gdy z jednego okna Bolko spoglądał wzdy-
chając nad losem ojca i swoim, z dwu innych
szeroko roztworzonych przyglądali się pożarowi
siedzący na radzie, Kaźmierz, Biskup Pełka, Mi-
kołaj Wojewoda, Goworek, Jaksa i kilkunastu star-
szyzny.

Nieco na uboczu siedział kniaź Roman, jakby
do narady mięszać się nie chciał, uśmiechał się
pożarowi.

Biskup pilno badał twarze księcia, brata swo-
jego i otaczających, czytając w nich co się w ser-
cach działo.

Mikołaj już od godziny począł swą sprawę,
wymównie, gorąco obstając przy tém, że kara
surowa na zdrajców była niezbędną dla postra-
chu i przykładu.

— Miłościwy książę — mówił — gdyby ro-
dzony brat mój znalazł się pomiędzy jencami,
Bóg świadkiem duszy mojej, nie żywiłbym go,
nie prosił za nim, dałbym winną pod topór gło-
wę Surowości w tém państwie potrzeba, bo się
wszystko rozprzega. Prawo Boże nie sprzeciwia
się karze zasłużonej. Oni nastawiali na gardło
wasze, na życie, na prawa, na władzę, na skarby,

oni by wam nie przepuścili, im się nie godzi przebaczyć.

Ziemiańskie za nim stojące, już to dla przypodobania mu się, już aby dowieść że ze zdrajcami nie ich nie łączyło, choć książkę mileżał, potakiwali surowemu Mikołajowi.

Jak skoro on przestawał mówić, szmer i urywane słowa wtórowały karę surową, nieubłaganą. Kaźmierz słuchał, Biskup oczy to na brata, to na niego obracał.

— Porwali się na nas, nie to jeszcze, — ciągnął Wojewoda — bunt to był ale wojna! Gorzej że knowali, sprzysięgali się, zaręczali wierność a obmyślali zdradę. Porwanie się z orężem krewkością ludzką można rozgrzeszyć, niepoczciwość o pomstę do niebios woła. Całowali nas pocałunkiem Judaszowym, zaklinali się krzywoprzysięstwem. Ślubowali wierność kopiąc doły.

Topor i pieniek — to ich nagroda!

Mruczano że śmierci winni — gdy ks. Kaźmierz, który słuchał cierpliwie, ręce do góry podnosząc, zawołał.

— Miły mój! miły mój! dość już krwawych tych słów. Wiuni są, a myżemy bez grzechu? Cóż gdy Bóg nas za winy nasze tak srodo karać zechce jak my ich? Przypomnij codzienną modlitwę o win odpuszczaniu! Chrystusowa to nauka! a myśmy dzieci tego pana.

Wyrzekł to z zapalem takim, iż wszyscy, Wo-

jewoda nawet uczuł się przejęty. Czoło mu promieniało, zwrócił się ku Biskupowi, jakby Chrystusowego ucznia i kapłana na świadectwo wzywał. W tym samym czasie spojrzał na brata Wojewodę, oba te wzroki, między którymi Biskup miał rozstrzygać tkwiły w nim.

Chwilę Pelka jakby nie pewien milczał, zdawało się że duszną odmawiał modlitwę, twarz blada oblała się rumieńcem, oko otwarło — zwyciężyło w nim to, co zwyciężyć było powinno — słowo Chrystusa.

Wstał natchniony i począł głosem uroczystym zwracając się do brata.

— Bracie mój! dziecko moje! Nie dobre są rady twoje choć serce twe dobre jest! Nie godzi się aby miejsce miłości w rodzinie zastąpiła surowość, szlachetniej jest dobroczyncą być, niż mścicielem. Zwycięzki Pyrrhus pokonawszy Rzymian, odesłał do Rzymu bez okupu dwóchset żołnierzy pojmanych, aby ci co męztwo jego poznali, wspaniałomyślności się też nauczyli. Aleksander wielki wojując z Porusem, gdy go ujrzał tak znękanym iż pokarmu przyjmować ani ran goić nie dawał; czeząc męztwo duszy, nazad jeńca do domu odesłał. Tysiące takich przykładów przywodzą dzieje. Czytaj o Elizeuszu, Joranie, jaką dał radę prorok.

Bóg dał ich w ręce nasze, aby cnotę naszą wypróbował.

Każmierz usłyszawszy wymowne słowa, rzucił się z siedzenia ku Biskupowi, i z najżywszą radością, obejmując go po rękach całować zaczął.

— Bądź mi błogosławiony, ojcze! — zawołał w uniesieniu -- z serca mi wyjąłeś pragnienie, zgadłeś myśl moją — tak! Przebaczeniem ich zwyciężym.

Wojewoda rzucił się jakby mu cios zadano.

— Przeciwno kapłanowi i ojcu duchownemu — zawołał — nie godzi mi się zdania mojego bronić. Kapłan inaczej mówić nie może, lecz na Boga, inne prawo duchowne a rycerskie i świeckie a królewskie! Znajdujecie przykłady łaskowości, postawię wam inne, surowości!

— Bracie, — przerwał Biskup — strzeż się abyś rozróżniając prawa w błąd nie popadł i duszy swój nie zgubił. Nie ma dwu praw na świecie — jedno jest tylko, bo co się z Ewangelią nie zgadza, bezprawiem jest i pogaństwem.

Wojewoda skłonił głowę przed bratem, ale nie zamilkł.

— Samem to z ust twych słyszał mój ojcze, — rzekł — iż w Pismie świętym stoi: złe drzewo wycięte będzie i na ogień rzucone!

— Pismo mówi prawdę — odparł żywo Biskup, a ty go nie rozumiesz. Nie stoi w piśmie kto drzewo ma ścinać i rzucić na ogień. Wyrok spełniającym nie człowiek jest, ale sam Bóg —

on karze zło i jemu zostawmy surowość, gdy nam ułomnym przystało przebaczenie.

Mikołaj na piersi zwiesił głowę.

— Zaprawdę — rzekł kwaśno — przeciwko panu naszemu dobrze jest bunt podnosić. Uda się to się zyszcze, nie uda to przebaczy. Czemuż źli ludzie próbować nie mają?

Westchnął ciężko.

— I Kietlicz ujdzie z życiem?

— Kietlicz mój! — odezwał się książę Roman z kąta — o niego wy bądźcie spokojni, ja mu zawdzięczę jak zasłużył.

— A Bolko? — spytał Mikołaj — i ten wolnym ma być?

— Ten tém bardziej na uwolnienie zasługuje że szedł nie po woli własnej, ale za rozkazem ojca — odezwał się książę — bratankiem mi jest, krew moja. Rychlój rozbroję Mieszka gdy go puszczę, niż gdybym go dał ściąć lub trzymał w niewoli. — Wszyscy jeńcy pójdą wolni! — dodał — przebaczam wszystkim!

— I zdrajcom siedemdziesięciu co spiskowali — dodał Wojewoda.

— Wszystkim! wszystkim! — począł Kaźmierz — i usiłując rozbroić gniewnego Wojewodę, poszedł go uściskać.

— Mikołaju, druhu mój, — zawołał — nie sprzeciwiaj się głosowi Bożemu, który słyszałeś

z ust brata. Bóg dał nam szczęście, — my dajmy miłosierdzie!

— Amen! — dokończył Biskup.

Wojewoda potoczył wzrokiem do koła, milczeli wszyscy, Kaźmierz na miejsce swe powracał, on powolnym krokiem izbę obrad opuścił.

Książę natychmiast przez drzwi otwarte skinął na stojącego w dali Wichfrieda.

— Bratanka mi tu prowadź! — rzekł wesoło

Nie wielka przestrzeń dzieliła dworzec od domu w którym Bolko był osadzony. Gdy niemieć wszedł do izby, w której leżał, młodzian nie znający go, ledwie głowę doń zwrócił.

— Wstawajcie — rzekł Wichfried — pójdziecie za mną.

Jeniec opierać się nie mógł, zawahał się dumnie spoglądając, dźwignął się leniwo i niechętnie i, jak stał, w podartym kaftanie, płaszcza poszarpanego nie biorąc, posłusznie ku drzwiom się skierował.

Wichfried nie mówił nic, z twarzy też jego trudno co odgadnąć było.

Zdziwil się wychodząc Bolko, że go straż nie otoczyła — szedł wolno. Przejście przez kawał podwórea, pełnego butnych rycerzy, dla zwyciężonego było bolesném. Szedł nie słuchając i nie patrząc.

Nie wiedząc dokąd go wiodą, domyślał się innego więzienia albo sądu. Zbroił się męztwem.

Thinny dworzan napelniały izby, niemiec wskazał mu drzwi.

Były one wpół otwarte, rzuciwszy w nie okiem ujrzał więzień Kaźmierza i Biskupa i Radnych — spodziewał się sądu. Na próg wchodząc sposobił się stawić hardo, gdy ksiązę z uśmiechem na ustach podszedł do niego rękę wyciągając — głos mu drżał.

— Chciałem ci sam oznajmić, że jesteś wolny — rzekł. — Wracaj do ojca twego jako świadek, że ja zemsty nie pragnę, że serce dla was nam braterskie, dla ciebie ojcowskie...

Bolko stał niemy, ledwie mogąc zrozumieć i uwierzyć temu co słyszał. Zwolna podniósł oczy zdziwione. Męztwo i duma opuściły go, z niedowierzaniem spojrzał na stryja, który obie ręce do niego wyciągnął. Widząc że Bolko się nie rusza, przystąpił sam by go uścisnąć.

Młodzian nagle uczyl się rozrzewnionym, sam nie wiedział jaka siła ugięła mu kolano, ale Kaźmierz nie dał mu się schylić i pochwyciwszy do piersi przycisnął. W tém ujrzawszy go tak pobitym i oszarpanym, zawołał na Wichfrieda.

— Miły mój, od téj chwili to gość! prowadź go do łaźni, rany niech mu zawiążą, okryjcie go jak bratankowi memu przystało, nakarmcie — niech spocznie a potem niech do mnie powraca!

Stał jeszcze oniemiały Bolko, gdy niemiec łagodnie ujął go pod rękę i wyprowadził. Kazano

przywołać innych jeńców, do których Biskup miał przemówić surowiej, oświadczając im łaskę, a karząc i wzywając do pokuty.

Takiego końca téj wojny, zaprawdę, nikt się nie spodziewał. Zajadłość z jaką się broniono na dolnym zamku, krew którą zdobycie jego kosztowało, kazały się obawiać surowego odwetu. Gdy Biskup ogłosił przebaczenie wszystkim i oswobodzenie, po chwili osłupienia wyrwały się im okrzyki na cześć Kaźmierza. Niektórzy przybiegli do nóg jego i Biskupa.

Dzień to był piękny dla księcia, którego serce otwierało się z rozkoszą miłosierdzia.

Nie wszyscy jednak wiadomość tę przyjęli równie radośnie jak ci których ona wyzwalała z więzów, Mikołaj i wielu z nim, szemrali chodząc cichu, poczytywali to za błąd wielki.

Nie zbywało na zazdrosnych gdy wieczorem Bolko za stołem był posadzony przy stryju, a Kaźmierz, o wszystkim zapomniawszy, przyjmował go jak bratanka, obdarzył go i przewidując że ojciec o los ukochanego syna niespokojnym być musi, następnego dnia opatrzonego we wszystko wyprawił do Poznania.

Ogłoszone powszechnie przebaczenie, rozeszło się zaraz po mieście. Po ulicach ze zdumieniem zaczęto opowiadać co łaskawy książę uczynił. Wieczorem już ci co byli znikli ze strachu, zjawiać się poczęli, pokazał się w domu swym Wirsz

Starosta. Ślubował tylko że więcej urzędowania żadnego się nie podejmie i żyć chce Boga chwalać, spokojnie.

Juchim także dowiedział się o tej łasce pańskiej, a na nim ona wrażenie uczyniła niespodziewane — korzystał i on z miłosierdzia — ale znajdował je — dziwném! Wiara jego która głosiła zemstę, ząb za ząb, oko za oko, w powolności tej wskazywała mu słabość i ślepotę. Miał pewien rodzaj wzdury dla ludzi, którzy siłę mając w ręku, mogąc się pomścić — użyć jej nie umieli. Uśmiechał się sam do siebie, potrząsając ramionami. Doszedł w myśli do tego przekonania, że Mieszek nad ludźmi tak bezrozumniemi kiedykolwiek przewagę mieć będzie. Dla niego było to wskazówka, aby na wszelki wypadek zapewnił tam sobie opiekunów. Przyszedł mu zaraz na myśl Mierzwa, uwięziony na zamku.

Zdało mu się nie złą rachubą, pomódz zapomnianemu do uwolnienia i na przyszłość mieć w nim znowu sprzymierzeńca. Przezorny człek myślał już o jutrze. Łagodny pan, według niego długo trwać nie mógł.

— Nie! nie! — powtarzał w duchu — oni tu panować nie będą!

Nazajutrz Juchim na zamek się udał, nieobawiając się już wcale; i wyszukał Wichfrieda, któremu czasem pieniędzy pożyczał.

— Miłościwy panie, — rzekł — dobrotliwy

książę nasz, wszystkim przebaczył z wielkiego serca swego. Tu siedzi jeszcze biedaczysko, którego posądzano, a on nie zawinił nic, tyle tylko że do Krakowa tęsknił, i przybył tu nie w porę. Niech go Wasza Miłość wypuścić każe.

Niemiecc natychmiast poszedł do księcia i uzyskał bez trudności rozkaz uwolnienia.

Dodano Juchimowi komornika, z poleceniem aby Mierzwę puszczone. Zaledwie się o niego dopytać potrafili. Mierzwa zamknięty do ciemnicy, zapomniany, już był prawie nadzieję życia i swobody utracił, choroba go złamała. Gdy Juchim do izby wszedł, znalazł go snem niezdrowym ujętego na garści słomy.

Cień to był dawnego człowieka, ale isierka nadziei dokazała endu. Dźwignął się zbierając łachmany swe, całując Juchima po rękach, bo jemu przypisywał swe uwolnienie. Dopiero na powietrze wyszedłszy osłabł znowu, i żył go musiał pod rękę do dworku swego prowadzić.

Po drodze ludzie tego Łazarza, z głową na piersi zwisłą, wyżółkłego, zczerniałego, do trupa podobnego, ze wstrętem sobie pokazywali palcami.

Samarytanina czynu spełnił na nim Juchim, choć nie z miłością jego — ale z rachubą na przyszłość przezorną. Mierzwa zaledwie odżywny i wypoczęty wnet do Poznania schronić się miał, niosąc z sobą wdzięczność dla Juchima i poprzysięgając mu wierną usługę.

Mierzwa, gdy się dowiedział o wszystkiém co się tu stało, choć milczał ze strachu, nie rozpaczal o przyszłości dla Mieszka. Jedną rzecz go trapiła, to los Kietlicza, bez którego księżę się obejść nie mógł, a zastąpić go trudno było.

Oba z Juchimem ufali w to że zręczny człek i z Ruskiej niewoli wyrwać się albo wykupić potrafi.

W kilka dni później dopiero Stach także Mierzwę sobie przypomniał i pobiegł na zamek dowiedzieć się o niego. Tu i o uwolnieniu go i o pośrednictwie żyda mu powiedziano. Strwożyło to Stacha, który zafrasowany z żalem do Biskupa się udał.

Pelka przyjął swego wiernego sługę łaskawie i z dobrą myślą. Gdy wybladły i znękany ukazał się w progu, wyciągnął rękę i błogosławił.

— A czegoż to tak zasępiony przychodzisz — odezwał się — kiedy się cieszą wszyscy ze zwycięstwa, ze spokoju i skończonych zatargów braterskich? Co ci to jest?

— Cieszyłbym się i ja — odparł Stach — tylko dla złych, łaska zbytńia, to ich nzuchwali. Bóg daj byśmy dobroci pana nie oplakiwali.

Począł zatem opowiadać jak już ci co niedawno drżeli i truchleli, po cichu żarty stroili z miłosierdzia i lekceważyli tego co je wyświadczył. Narzekał Stach na przebaczenie Staroście, Juchimowi i Mierzwie.

Biskup się uśmiechał z początku, starając zbytnie troski te Stacha, okazać mu przesadzonemi. W końcu jednak gdy się obszerniej przybyły wyłtnaczył, zgodził się na to iż czujność była potrzebną.

— Zatem patrz, czuwaj, nie przestawaj stać na straży — dodał Biskup.

Cheiał dlań jakąś nagrodę uzyskać u księcia, choćby Zaborowi z Przegaja, wyjednać ją obiecując — ale Stach odmówił.

— Ojcie mój — odezwał się — jam nagrodę wziął naprzód za cały żywot mój. Wszystko bym stracił gdybym inną jeszcze otrzymał. Pokutą być musi życie do zgonu. Gdy mnie Bóg do siebie powoła, naówczas objawicie Panu jakem mu służył i wdzięczen był.

Postanowiono więc po krótkiej naradzie, aby Stach nie oddalając się, jak dawniej, pilne miał na ludzi podejrzanych oko. Cheiał Biskup przy bracie swym Mikołaju umieścić go, lecz swobodnym być pragnąc, i tego Stach odmówił.

Wrócił do dworku nie zbyt rad z tego co się działo. Pomimo największej chęci zajęcia się czemś, śledzenia, Stach niemógł znaleźć teraz roboty. Uciekło do koła i Mieszek nawet jawnie nie nie przedsiębrał. Siedział więc w samotném schronieniu, za całą mając pociechę że częściej niż dawniej do kościoła chadzał a dłużej się mógł modlić. Wiek czynił go pobożniejszym co-

raz i surowszym dla siebie. Nie zostawało mu już w życiu nic, tylko się dowlec do tego proga od którego zdało mu się że nie jest już dalekim.

Niekiedy rozmyślał o Jagnie, która rzadko znak życia dawała. Był czas iż mu się marzyło że Kaźmierz opuścić ją może, a on opiekować się nią będzie. Nadzieja ta teraz coraz słabszą była.

We dworku nudy były nieznośne, na łowy, choć się kiedy wybrał, i one mu już nie smakowały. Z dawnymi towarzyszami gdy się spotykał, a ci go gwałtem wciągnęli do gospody w gościnę, wśród wesołych ludzi, siedział jak trup niemy psując im ich wesele. Do niczego nie miał serca, tyle pociechy co w kościele, lub na rozmowie z księdzem o rzeczach które nie są świata tego.

Do Konar, za którymi tęsknił bywało, teraz mu się trudno wybrać było. Zamyślał czasemjechać, zbierał się, od dnia do dnia odkładał, zawsze coś przeszkodziło. Wolał się włóczyć około zamku, po kościołach i życie prowadzić zadumane a próżniacze. Dawnych znajomości unikał jak mógł, jeden tylko Jaśko Bogorja często doń się wciskał. Ten jak niegdyś był lekkim a wesołym, tak pozostał nim, choć trochę postarzał i ociężał. Dokazywał jeszcze na łowach, lub w mieście i po dworach z takimi jak sam był.

Rodzina go dawno żenić chciała, swatano nie

jedną, zawsze albo ona jemu, lub on rodzicom się nie podobał. Już wręście sam chciał by się był zaswatać, widząc że na starość dzban i koń mu nie starczą.

Jednego dnia Stach leżał patrząc na pułap, jak mu się to często zdarzało gdy spoczywał, aż usłyszał znany głos Jaśka.

Wpadł doń Bogorja podśpiewując podehmie-lony.

— Ej! ej! — krzyknął — co bo się z tobą dzieje, pustelniku ty mój zasepiony, a toż cię tu nędza zagryzie! Wstawaj a chodź!

— Dokąd?

— A no, choćby się przewietrzyć.

Bogorja trochę się zawahał z wyznaniem i uśmiechnął.

— Prawdę powiem! — dodał — potrzeba mi na jedną wyprawę towarzysza wiernego. Niemam ino ciebie. Idę w takie miejsce, gdzie mi same-mu nie rażno być. Chodź ty ze mną.

— Do kogo!

— E! do baby wróżbiarki.

— Po co!

— Chciałbym wiedzieć czy się ja raz przecie-żenię czy nie. Baba słyszę wróży, jak nie mo-żna lepiej, ale sam do niej iść — ot, boję się. Stach się powoli zwłókł.

— Co ci po wróżbach! — rzekł —

Wyszli jednak razem. Jaśko przez ogrody zaprowadził do chaty, w której Czechna mieszkała

Wesli do izby w której ziola schły i garnki stały pełne zapachów odurzających. Ledwie się tu znaleźli, gdy z drugich drzwi wyjrzała stara, bystro ich mierząc oczyma.

Zwróciła się zaraz do Bogoryi.

— Czy to ja wam potrzebuję mówić po co przychodzę? — odezwał się Jaśko.

— Po co głębiej studiować — odparła baba za sto siedząc. — Taki jak ty nie przyjdzie pytać o co innego tylko o podwikę —

Rozśmiała się, żółtych parę ukazując zębów. Popatrzała potem na Stacha i palec skierowała ku niemu.

— Ot ten, po co się tu przywłókl, nie wiem, bo już mu nie nie paelmie.

— Ja też i wachać tu nie myślę — odparł Stach szorstko.

— A no! bał się sam do baby iść — przerwała — żeby go nie uczarowała dla siebie a ludzie się zeń potem nie śmiali iż się w starzej miotle rozmilował...

— Ej wy! ej wy wszyscy! — dodała grożąc Bogoryi.

— No! wróćcie — przerwał obu rękami na stole się opierając Jaśko — bądźcie co z tego co ja sobie myślę?

Czechna głową pokręciła.

— Trzeba zobaczyć — bąknęła..

Bogorja położył garstkę srebrników na stole, które stara pilno naprzód do fartucha zgarnęła. Wstała, poszła do kąta, dobyła z niego garnek szeroki a płaski, nalała wody coś mrucząc, z drugiego naczynia coś dodała i postawiła na stole. Bogorja i Stach patrzyli milczący.

Z komina w którym pod popiołem stały węgle czerwone, dobyła ich kilka na skorupę, nasyłała na nie proszku, dym duszący rozszedł się po izbie — Stach do okna ustąpił.

Bogorja musiał iść i dać się okadzać. Postawiła garnek z wodą przed nim i kazała mu weń patrzeć pilno, nie odwracając oczu.. Jąsko, ry. cerz nieustraszony drżał zapatrując się na wodę, w głowie mu się zawracało.

Twarcz jego bładła, nie mówił co widział, stał tak oślepiały długo, pot mu z czoła kroplami ściekał. — Nagle zakrzyknął dziko, klnąc i odskoczył.

Padł na stółek stojący blisko, gdy Stach mu w pomoc nadbiegł. Czechna szybko garnek zabrala i wodę z niego wylawszy, siadła spokojnie. Spoglądała na Bogorję, który oczy w ziemię utopił i jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Stach ostro mierząc wzrokiem starą, naglił aby odchodził.

— Idźmy bo ztąd — mówił.

Jaśko wstać jeszcze nie mógł. Gospodyni zwróciła się do Stacha, jakby zemścić chciała za lekceważenie.

— No — a tobie by nie powróżyć?

— Nie ciekawym.

— Nie wierny!

— Wiedzieć nie chce co Bóg gotuje — rzekł Stach.

— A juściby ci się zdało, — poczęła baba. — Dajno mi rękę, powróżę darmo.

Stach się wahał, gdy go prawie gwałtem chwyciła za prawą, poczęła się w nią wpatrywać pilno, długo i oczy z szyderskim uśmiechem podniosła na niego.

— Ho! ho! — poczęła — a toć ręka! a toć dłoń, co raz przylgnęła do twarzy...

Nim stara czas miała dokończyć, Stach spojrział na nią tak groźnie, że zmieszana puściła rękę i mrużąc się cofnęła.

— Nie do jednej ona twarzy na wojnie przylgnęła, — podchwycił żywo Stach. — Co było o tém nie ma co mówić, macie wróżyć, to wróćcie!

Czechna zatopila w nim oczy ciekawe i poczęła cicho.

— Nie ma tam już nic — at! — niedola, niewola!

-- A życia tego dużo jeszcze?

Stara pokiwała głową.

— Jak dla was, aż nadto! — rzekła. — Albo to tam wasze życie? Wyście pono w ciężkiej służbie.. Ono wam już na nic, łupina od orzecha, który robak zjadł.

— Dosyc — przerwał Stach zdumiony.

Ustępował już, gdy na myśl mu przyszedł księżę, zwrócił się do starój, dobywszy pieniążków.

— Jeśli wszystko wicie -- rzekł, — powiedzcie co czeka tego, którego ja miluję?

Czechna spuściwszy oczy zadumała się.

— Jego — rzekła — czeka to co wszystkich ludzi..

Potrząsała głową i zaśpiewała pół głosem.

— „Kto co lubi, to go zgubi!“

Zamilkła i odwróciła się od niego. Tymczasem wyszedł był ze swego osłupienia Bogorja. nie spojrzawszy na starą, wyciągnął Stacha ze dworku.

Śmiech się dał słyszeć za niemi.

VIII.

Kilka lat nplynęło od opisanych wypadków.

Kraków cały wybiegł na spotkanie zwyciężkiego pana, który z wyprawy przeciw pogańskiej Jaćwie powracał.

Wojna to była przypominająca czasy bohater-skie Krzywoustą, walka z dziezą, w kraju niedo-stępnym, ze zdradą na każdym kroku. Dziś pod-dawał się Drohiczyn, jutro ci co wierność poprzy-sięgli zasadzali się na wracających spokojnie, aby ich wybić w lasach i moczarach.

Kaźmierzowe wojsko wśród błot, topielisk i gąszczy zgmiotło dziez i rozpędziło.

Witano Kaźmierza zwycięzcę.

Nie nie zdawała mu się braknąć do szczęścia; nikt nie śmiał porywać się na niego, rodzina sie-działa cicho na ndziałach, Mieszek nawet docho-

wywał danego słowa, pokój panował w kraju i na rubieżach. Kupcy ciągnęli z ziem dalekich, lany złościły się zbożem, kwieć oddychał, chwała Boża rosła, wznosiły się kościoły, uczeni mężowie przychodzili z zagranicy i rodzili się w domu. A na obliczu tego szczęśliwego pana poza łagodnym uśmiechem, widać było wiekuisty ów smutek dusz wybranych, których ten świat nakarmić ani napoić nie może, a żadno szczęście nasycić.

Tęsknota zawsze bila z twarzy pięknej, spokojnej, malującój ukojony ból wewnątrzny.

Gdy przeciwko zwyciężkiemu paui wyszło duchowieństwo z Biskupem na czele, witając go pieśnią dziękczynną, Pelka spojrział nań spodziewając ujrzeć rozpromienionym, a znalazł na obliczu to co wyniósł z Krakowa.. Rycerstwo spiewało pieśni, powiewało chorągiewkami, niewiasty stojąc szeregami klaskały w dłonie, dzwony bily, lud się weselił, Kaźmierz jechał w płaszczu białym z krzyżem, który wziął na pogan, — z głową spuszczoną, uśmiechając się ledwie tym co go witali, zadumany, chmurny, jakby nie ze zwycięstwem powracał.

Na zamku czekała z dziećmi księżna złotowłosego Leszka trzymając za rękę, cały dwór świetnie przybrany, komornicy, czeladź, lud mnogi.

Oko pańskie błodziło po okolicy i ukradkiem biegło za Wisłę do okienka, chcąc dojrzeć czy tam jest znak życia jaki. Nie widać było nic.

Okno stało zamknięte, kraśny kobierzec nie zwieszał się na murze. I tam przecież dochodziły dzwonów dźwięki i ztamtąd widać być musiało na zamku powiewające proporce.

W kościele św. Wacława hymn sam Pelka odspiewał, książe pomodlił się u relikwii i wstał z dziećmi i żoną pieszo idąc do zamku.

Ale szedł milezący i uśmiechnięty tak smutnie że ludzie go sobie pokazując szeptali iż go tak poleska dziez zmęczyła wyprawą.

Rycerstwo rozkładało się obozem, szło w miasto rozpowiadać o Jaćwie dzikiéj, która w powrocie o mało nie wzięła im życia.. Nie jeden płacz rozległ się wśród okrzyków, bo nie jedna mogiła została w lasach Polesia.

Stach, który przesiedział ten czas w Krakowie, na posługach Biskupa, wywłókl się także na spotkanie znajomych, na rozpytanie o krwawą wyprawę. Tuż nadarzył mu się Jaśko Bogorja z ręką zawiązaną, ale dobrej myśli i wesół że uniósł życie.

— Patrzajże Zaborze, — wołał zdala do niego — nie będę mógł ręki podać do ołtarza narzeczonej, poganin mi ją siekierą ciął tak, że się dotąd zrosnąć nie może. Prawda że on już więcéj na tym świecie siekiery nie dźwignie!

Stach witał go trochę poweselawszy.

— Bóg łaskaw że i tak nam wracacie.

— Cud prawdziwy — mówił Jaśko — Pogań-

ska dzieć już się nam w Drohiczynie poddała i do nóg padała. Poili i karmili, przysięgali swym obyczajem posłuszeństwo i wiare, dali zakładników, a w powrocie gotowali nam zasadzkę. Wyślali ludzi w gęstwiny i błota, pozarębywali drogi, mieli nas zgnieść do jednego. Spotkać nas miał los Henryka!

Aleśmy się bili! Trzeba było widzieć naszego księcia jak dzielnie nieczem wywijał. Ludzie nań prawią że tylko przy organie śpiewać i z księżmi rozprawiać umie — a to człek do wszystkiego, prawa Krzywoustą krew..

Stach uśmiechnął się smutnie.

W tej chwili wśród tłumu, który wysypał się na spotkanie księcia zobaczył Dorotę strojną, wybieloną, która, ażeby przejeżdżający pan widzieć ją musiał, na wozie umyślnie sprowadzonym i wysoko wysłanym stała, górując nad wszystkimi, uśmiechając się, chustą powiewając i obwołując Kaźmierza.

Księżę też, gdy nad drogą którą przejeżdżał miejsce obrała, widzieć ją musiał, litość go wzięła i uśmiechnął się jęj, głową skinąwszy.

Z radości zarumieniła się cała, zapomniała że na nią tyle oczu patrzyło, podwajając wołanie i wiewanie chustą, aż ludzie się jęj dziwili i nasmiwali. Prawda że wśród rycerstwa wielu innych miała dobrze znajomych i przyjaciół, którzy też

ku niej głowami uklony stali i od ust posyłali pozdrowienia.

Była bo znowu piękną, kwitła drugą młodością urodziwa niewiasta, a śladn lat i tego co przeżyła nie było na niej dopatrzeć.

Gdy wojska przeciągnęły, a wóz z nią potoczył się do dworu, na drodze jeszcze miała niespodziankę Dorota. Bracia jej, Dobrogost i Sędziwój, którzy dla okazania księcin posłuszeństwa, na wyprawę przeciw Jaćwie z nim ciągnęli, w ulicy się z siostrą spotkali. Wymijając wóz jej musieli. Oba przejechali koło niego ledwie się obejrzawszy, plując z pogardą na nią. Sto oczów na to patrzało, Dorota spłonęła i nie rzekła nic. Gdyby nie ten dzień, nie miasto, kto wie na coby się bracia z Tęczyna ważyli. Lecz ludzi było za dużo, którzyby za nią ując się mogli.

Bogorja pociągnął za wdowę z innemi, Stach, którego chciał wieść z sobą, oparł się, widok bezwstydnęj zburzył go i napchnął obawą o Kaźmierza, tém bardziej że z Jagną źle się działo.

Gdy książę do Drohiczyna szedł, biedna Seiborzanka nie zdrowa już była, niepokój dręczył ją jakiś straszny. Kilka razy Kaźmierza powoływała do siebie na pożegnanie, we łzach się rozplywając, choć przyczyny ich nie wiedziała sama. Próżno książę starał się ją uspokoić, wesolością swą rozpraszać jej smutek, który mu się dziwaetwem zdawał. Jagna stała, płakała, trzymiała

się za serce, patrzała w ziemię, jakieś przeczucie ją dręczyło!

Po wyjeździe księcia, gdy z murowanki już ani proporceyka widać nie było, wszystko uciechło i zamilkło, Jagna okno zamknęła, włosy jak do snu związała, zdjęła suknie i pierścienie, poczuła się senną, słabą, biedną i legła na łożo.

Spała tak jęcząc przez sen dzień cały, nie chcąc jeść, do sług nie mówiąc. Gdy na obudzoną spojrzwały jej dziewczki zdała się im jakby z długiej choroby powstającą, tak była wyniszczona i wybladła.

Starsza ochmistrzyni zaczęła ją poić zieleń jakimś, którego ona pić nie chciała, leżała pół senna, z rękami pod głową, z oczyma ku górze zwróconemi, nie mówiąc nic. Czasem łkanie z piersi się dobyło i lzy widzieli tryskające z oczów płynące po twarzy, ale się na nie nie skarżyła.

Dnie tak upływały, Jagna wstawać nie chciała czy nie mogła.

Co się jej tam przez te czasy prześniło, co przez myśli przesunęło, ona tylko wiedziała jedna, gdy dziewczęta przychodziły z pytaniami zdawała się ich nie słyszeć.

Każmierz był już dawno na wyprawie, gdy Jagna coraz słabnąc gorzej, a czując w sobie ledwie resztkę życia, Stacha kazała wołać do siebie.

Przybiegł natychmiast, lecz gdy ją po długiem widzeniu zobaczył teraz, przeraził się tak strasznie, uagle znalazł zmiecioną. Wychudła była jak kościotrup; policzki i oczy zapadły, czoło się zmarszczyło..

— Patrz, co się to ze mną stało! — poczęła z uśmiechem bolesnym wyciągając ku niemu ręce chude i drżące — Niema już Jagny i nie będzie!

Kwitła, śmiała się i przekwitła i wyśmiała ostatek... Czas było! Dłużej nie miałyby żyć po co!

— Cóż się wam stało? — spytał Stach.

— Nie — ot tak — siły do szczęścia brakło, bo i na to sił potrzeba. Alboż zdrowe życie takie? Czekać dzień a mieć godzinę, płakać rok a śmiać się chwilę.

I usiadła na łożu okrywając się włosami rozpuszczonemi, piękne oczy swe świecące obracając na Stacha, który stał z rękami załamanemi przed nią.

— Wołać ciebie kazałam — mówiła dysząc zmęczona -- boś ty mi przecie bratem, jednym w świecie. Mojego pana, sokoła mego nie chcę już męczyć dłużej, już miał ze mną dość tej niewoli. Księża go męczyli że żonę porzucił dla mnie, Petka mu groził ciągle. Synaczka stracił i męczył się tém jak karą Bożą — za mnie. Wszystko dla mnie cierpiał, przezemnie.

Więc mnie już czas było! To i pójdę! Ciebie chciałam pożegnać, no, i coś zrobić trzeba aby mienia ojcowskiego obcy ludzie nie zabrali. Sprowadzicie mi takiego co pisać umie, zapisze moją wolę i zapieczętuje... Was opowiem za męża. Sciborzyce wam zostawię, wieś jedną dam za grzechy mnichom do klasztoru, do Pokrzywnicy.. aby się modlili za mnie....

Zamilkła.

— Przecież z wami nie tak źle — odezwała się Stach — ludzie ludziom radzą. Są lekarki i lekarze, wyście młodzi.

— Nie! nie, stara jestem — przerwała patrząc na ręce wyschłe — po co życie wlec? nościć jak lachmany dziurawe? Na mnie już całego nie ma nic, ani nitki. Bóg miłosierny, tam, gdzieś, pewno lepiej będzie!

Uśmiechnęła się. — Co taka jak ja niewiasta warta? — mówiła spokojnie — niewiasta której Bóg nie dał dziecka? a sromać się kazał, oczów pokazać nie może? Trudno żyć? Gdzie? Bez niego? Nie! nie! A z nim, to jemu życie truć! Nie godzi się, nie godzi. Lekarz i lekarka nie pomogą gdy człowiek chce umierać!

Tylko mi takiego dobrego sprowadź księdza aby mi się sromać nie kazał i djabłu mnie nie dawał.. Dam im wioskę do klasztoru.. Reszta wasza..

— A mnie to na co? — zapytał Stach.

— O? na co? Weźmiesz sobie babę i będziesz żyć spokojnie jak drudzy.. Na zdrowie Wam!

Stach głową trząsł. — Albo to wy mnie nie znacie! — rzekł — Ja też żyję z powinności nie z ochoty. Mnie na co wioski? Baby żadnej nie wezmę i ziemi nie potrzebuję. Wioski rozdajcie na kościoły.

Jagna się sprzeciwiała.

— A no, nie — Wy je sobie dacie komu chcieć. Wam je przekażę, bo się za to choć mężem moim nazwiecie, choć nie byliście

— Boś nie chciała — dodał Stach.

— Bom nie mogła — zawolala Jagna — Dwóch mężów się mieć nie godzi, tamtego się rzec dla was nie mogłam.. Gdy się go wyrzeknę to chyba dla niego samego, aby spokojny był, do murówki nie jeździł a Biskup się na niego nie gniewał.

Stach starał się te myśli rozpędzić, obiecując blizki powrót Kaźmierza, z którym zdrowie wrócić miało.

— Wróci? nie? ja tam niewiem — rzekła — Już choćby on wrócił, mnie trzeba umierać.. Tak się stało, tak być musiało!

Milczała chwilę i spuściwszy oczy, jakby zawstydzona, palcem kręcąc w włosach, szepnęła.

— Jam się czegoś napila! Stara Czechna mi dała na powolną śmierć, bom tak chciała.

Stach krzyknął posłyszawszy, uśmiechnęła się — Nie bolało! — rzekła — anim czuła! Tylko mnie wypaliło, wysuszyło, wyjadło.. Przyprowadź księdza — a nie z djabłami, takiego co anioly z sobą wodzi.

Nienógł się jěj Stach dłużėj opierać, musiał być posłusznym. Z płaczem niemal odjechał do miasta, a że przy biskupie wielu miał znajomych księży, jednego z nich powiózł do niěj.

Jagna się gości spodziewając, sługom kazała przyodziać się pięknie, choć suknie dawne wisiały na niěj jak cudze, bo z niěj kości tylko i skóra zostały. Sliczne włosy bujne na wpół okrywały wychudłą twarzyczkę, w której oczy jasne świeciły blaskiem przedśmiertnym, ale nsta miała spalone i sine, a ręce jak z białej kości.. Stać nie mogła, chodzić nie mogła, więc ją posadzili na stołku podpartszy poduszkami, i tak sparta o stół czekała.

Z okna znowu patrzała na zamek pusty i płakała.

Ksiądz Wit człek dobry, powolny, nawykły w tym kraju przebaczać wiele (tym co niewiedzieli co czynili) przybył pocieszać nie zasmucać. Jagna mu w krótkich powiedziała słowach że Stach mężem jěj miał być, więc go za męża liczy, a choćby chciał ich pobłogosławić — byle jěj go mężem zapisał, bo mu mienie po sobie

chce zostawić. Dodała że wieś do Pokrzywnicy zapisze do klasztoru, kilka kop groszy do kościoła św. Floryana, przy którym ks. Wit zostawał. Wszystko to spisać prosiła.

Ostatnią tę wolę opowiedziała spokojnie, przytomnie, stanowczo, prosząc aby ks. Wit poczesnych do listu znalazł świadków i spisał go tak, by pod klątwą, nikt nie śmiał naruszyć.

Ks. Wit sądząc że pocieszać był winien, odezwał się że przecie żyć może.

— A choćbym i pożyła, mój ojcie, możecie spisać, toć nie grzech, woli nie zmienić.

Wręczyła mu jeszcze ofiarę dla niego i kościoła i rzecz była skończona. Wielkich naówczas formalności nie wymagano, a gdy duchowny spisał i świadków postawił, pieczęć przyłożono — starczyło tego.

Ks. Wita odesłano do miasta, Stach pozostał, nie miała już siły do rozmowy, słabym głosem prosiła go tylko by się dowiadywał do niej póki żyła.

Stało się wszystko po jej woli.

Po tym dniu nie zasłabla gorzej, owszem uspokoiła się i położywszy leżała pół senna jak wprzódy polewki trochę żyjąc lub chleba pruszyną.

Gdy Stach do niej przybywał, zwracała się do niego zawsze jednem pytaniem.

— Niema pana?

O panu przychodziły wieści. Stach rozpowia-

dał jak wojował zwycięzko, jak nieprzyjaciół krzyża pokonał, zdradę ich zwalczył, i że już na drodze był do Krakowa.. Droga z powrotem ciężka była i długa, a Jagna codzień pytała.

— Niema pana?

Nareście jednego dnia Stach nie przybył o zwykłej godzinie, dzwony się odezwaly inaczey, we selcy, wszystkie razem, okrzyki z miasta aż tu dochodziły; chora zrozumiała że pan powraca, zarumieniły się zapadłe policzki, usta zadrgały, oczy skierowały ku oknu cheiwie, ale ani go otwierać, ani kobierca wywieszać nie pozwoliła Patrzala na Wawel gdzie las proporcezyków widać było jak się zwijały, a nad niemi macierz wielka, chorągiew czerwona.

Tam on był. Patrzala, patrzala i zesłablszy do łóżka się położyć kazała.

Aż do mroku marzyła spokojnie, gdy wieczór zbliżać się zaczął, Jagna się ubierać kazała. Wdziała najpiękniejszą sukienkę, utrefila włosy, posadzili ją na stolku znouu. Co zatętniało w podwórzu, podnosiła ku drzwiom oczy — Pana nie było!

Noc zapadła — Pan przybyć nie mógł!

Co za dziw? otoczyli go tam swoi, rodzina, duchowni, ziemianie, starszyna — mógłże ich wszystkich dla niej porzucić?

Już księżyc w ostatniej ćwierci wszedł późno na niebo, gdy zaskrzypiały wrota. Jagua siedząc

drzemala, poruszyła się, chciała wstać — nie mogła, padła na stół, zakrywając twarz rękami.

Każmierz wszedł powoli — ujrzawszy ją przy świetle lampki, osłupiał. Ręce wyciągała ku niemu... Krzyknął boleśnie.

— Jagna! co się tobie stało?

Witła go uśmiechem.

— Nie, nie, sokole mój złoty! ot, tak, zjadła tęsknota! ot, tak — życia zabrakło.. bo ciebie nie było. Ale się doczekała! nie trzeba mi już nic!

Każmierz patrzył, sługi obwiniając, chcąc ślać po lekarzy, szukać ratunku, wstrzymała go łagodnie.

— Siądź przy mnie, orle mój biały, panie mój drogi — siądź, a jeżeli ci twarz moja straszna nie patrz na nią, jeżeli ci głos niemiły, nie słuchaj, a mnie patrzeć daj na siebie i słuchać.

Każmierz na próżno chciał dopytać co się tu przydarzyć mogło, z kąd choroba powstała, nie przyznała mu się do niczego.

— Przyszło? z powietrza? z niczego? Nie bolało, senno było — smutno! Przeciem pana doczekała, czegoż więc pragnąć?

Każmierz miał lekarza Benedyktyna w Tyńcu, rodem z okolic Salerno, który i w Montpellier leczyć się uczył, chciał go jęj przysyłać, zakleła aby tego nie czynił.

— Choroba teraz minie sama!

Śmiałkiem tym struty, Kaźmierz na zamek wrócił z nim. Przed nikim nawet poskarżyć się nie mógł. Nazajutrz do swoich wyszedł wybladły, milezący, Wichfried poznał z twarzy że coś złego stać się musiało.

Odważył się zapytać — Kaźmierz przed nim nie przyznał się do niczego. Na duszy mu było ciężko, na piersi leżał kamień, chodził zadumany niesłyszając co mówią do niego. Stawał i patrzył w okno ku murowance, stał tak wkuty, niewiedząc co się wkoło działo.

A Jagna — odżyła nieco, obudziło się w niej życia pragnienie. Nazajutrz poruszać się mogła, kazała się w oknie posadzić i kobierczyk wywiesić znowu... Probowwała do krosien, ale siedzieć nie mogła, ręce opadały znużone. Patrzyła na nie i sama z siebie się śmiała...

Wieczorem Kaźmierz przybył znowu, następnych dni przybiegał na krótko. Jagna żyła, bo żyć zapragnęła.

Walczyła z tém co ją do grobu ciągnęło. Stach, który przychodził zrana oszukiwał się i pocieszał, widział że jęć lepiej było, że na ustach uśmiech się zjawił — mówił że będzie żyła.

I tak się ciągnęło dalej. Dnia jednego Jagna po starą Czechnę tajemnie posłała. Lekarka która jęć na śmierć powolną ziele dała, zdziwiła się usłyszawszy od sługi że jeszcze żyje. Pokiwała

głową, ruszyła ramionami, zamruczała coś do siebie.

Tegoż dnia pod wieczór przyszła do murowanki. Patrzała na wychudłą, wyschlą ofiarę swą z trwogą zabobonną.

— Widzicie — rzekła Jagna — ot, ciągnę! Inż by to się było skończyło gdy przybył ten co życie moje w swojej dłoni trzyma, umierać nie pnszcza. Ja jeszcze żyć będę!

Czechna nie odpowiadała, zdumienie zamykało jój usta.

— Widzisz stara — mówiła Jagna — ziele zabija a kochanie żywi, co tamto uśmierci, to wskrzesi... i — życie się trzyma!

Spytała stara czegoby chciała od niej.

— Nic, tylko cię spytać, czy tak długo ciągnąć się może.

— Co ja wiem? — odparła schrypłym głosem lekarka. Dawno się powinno było skończyć, jak się nie skończyło, wina nie moja, i rozum mój nie starczy... Ktoś tu lepiej odemnie czarował.

— Kto? On! — rozśmiała się Jagna — Nie-mogę bo umrzeć, trzyma mnie, a dopóki on będzie miłować, ja schnąć będę, kochać muszę i żyć muszę!

Uśmiechnęła się do starój, pierścień jój rzucając na podolek.

— Weź to — rzekła — już mi cię nie trzeba. Stanie się co Bóg da!

Czechna jak pijana do domu wróciła, nie mieściło się jęj w głowie, aby po jęj zielu tak długo żyć można... silniejszych ono w kilka, kilkanaście dni ze świata brało.

Nie długo jednak troskała się tēm stara, wiele zawsze mając na głowie. Czasu jęj marnie trawie nie dawały, szczególniej panie mieszczeni krakowskie, które zawsze od nięj tysiąca różnych rzeczy potrzebowały.

Po przybyciu Kaźmierza do Krakowa, upłynęła jesień cała i zima, Jagna ciągle słaba, umrzeć nie mogła. Książę dręczył się tēm widowiskiem a oderwać od niego nie mógł. Stach także przybywał do nięj często i nawykł był już tak patrzeć na swą chorą, iż uwierzył że życie jęj powrócić może.

Miało się już ku wiosnie znowu, gdy jednego rana, do Biskupa idąc, u którego codzień się stawić musiał, Stach w ulicy spotkał człowieka opończą osłoniętego, okrytego kapturem, choć dzień bardzo chłodny nie był, przekradającego się pospiesznie pod płotami i oglądającego bojaźliwie.

Zdało mu się że na widok jego, nieznajomy przechodzień przyspieszywszy krok, rzucił się na boczną ścieżynę i znikł pomiędzy domami, jakby do niego uciekał. Chociaż niewidział jego twarzy,

postawa i chód mocno go uderzyły. W tym nieznany człek coś mu przypominało Kietlieza.

Też same miał ruchy, kark gruby, głowę dużą, wzrost do niego podobny. Na samą myśl tę że niegodziwy człek mógł się wyrwać z niewoli na Rusi i zbiedz tu dla jakiegoś nowego knowania, krew w nim zawrzała. Poskoczył za nim co siły.

Biegł nie mogąc go dognać, to z oczów tracąc, to biorąc na oko, a choć w ostatku znikł mu znowu, prawie był pewien że się schronił do dworku Juchima. To mu więc jeszcze do myślenia dało.

Juchim był zawsze menniczym, działało mu się dobrze, udawał wielką miłość dla pana, pod niebiosą go wynosił, a mimo to, pewnym było iż z Poznaniem miał stosunki. Sam on nie krył się z tém że bił pieniądze i dla Mieszka.

Podejrzanie to powziawszy, Stach natychmiast do drzwi zastukał, choć od powrotu Kaźmierza noga tu jego nie powstała. Otworzono mu czekać nie dając, a gdy pospiesznym krokiem dobiegł do izby gościnnéj zastał w niej Juchima nad zwitkiem pergaminowym siedzącego spokojnie.

Na widok jego żyd powstał z twarzą rozradowaną, najmniejszej nieokazawszy obawy. Stach nie chcąc mu się zwierzać z podejrzeń, udał iż szło o małą pieniężną pożyczkę.

Juchim oświadczył się z gotowością najwię-

kszą usłużenia bez zastawu nawet i był tak uprzejmym, jakby w istocie Stacha kochał i szanował. Zmusiwszy go napić się grzanego wina, po rozmowie przeciągniętej dość długo, odprowadził go aż do wrót.

Poszlaku człeka w kapturze żadnego tu nie było; Juchim jednak nadto mu się wydał swobodnym, zbyt wesołym i uprzejmym, aby się z czémś ukrywać niepotrzebował.

Stach wyszedł czując to.

Natychmiast wróciwszy do domu, z Żegciem umówił się o pilny nadzór nad dworkiem Juchima.

Przez cały dzień zwykle tłumy różnych ludzuczęszczały do bogatego żyda, urzędnicy dworu, ziemianie, rycerstwo, duchowni nawet, bo Juchim pieniądze pożyczał, mieniał, przesyłał, kupował kruszce, dostarczał ich...

Dozór nad dworkiem potrzebował bystrego oka, by w ciżbie téj rozpoznać podejrzanego człowieka.

Stach sam naglądał z daleka, nie ukazując się. Nie udało mu się dopatrzeć zakapturzonego człowieka, ale Żegiec mówił iż go widział i w ślad chodził za nim niepostrzeżony. To co opowiadał zwiększało podejrzenie iż w kapturze Kietlicz się mógł ukrywać. Żegiec szedł za nim do dworku starosty Warsza, a potem do Czechny, którą znali wszyscy, jako lekarkę i wróżbiarkę.

Drugiego dnia Stach sam zdala stanął na czatach. Kaptur, obejrzawszy się dokoła, wysunął się z dworku Juchima i wolnym krokiem, pod ścianami się tułąc, przez mniej uczęszczane zaułki, przekradł się do domu Czechyny. Stach zdala go śledził, nie płosząc. Świadkiem był gdy po nas radzie Czechna go na próg wyprowadzała. Twarzy i teraz dojrzeć nie mógł, ale głos stłumiony dźwięczał mu jakby Kietliczowy.

Słyszał gdy stara mówiła mu.

— Przyjdźcie jutro; dziś u mnie bab pełno w sieni, mówić o tém nie pora. Święto u nas będę sama...

Długie życie na czatach spędzone, uczyniło Stacha wprawnym i przebiegłym, potrzebował koniecznie człowieka widzieć, podsłuchać rozmowę i zaraz o tém myśleć począł.

W izbie w której stara przyjmowała, był z Bogorją, znał ją, potrzebował skryć się gdzieś tak w pobliżu, by mógł jutrzejszą schwycić rozmowę. Począł błądzić około dworku, czatując czy stara nie wyjdzie na miasto, aby się dostać do wnętrza.

Nad wieczór Czechna wyszła na nieszpór przedświąteczny, i drzwi zaparła. Została sługa jedna, która po ziele na ogród wybiegłszy za sobą dworku nie zamknęła. Skoczył Stach do sieni żywo i po drabinie na wyżki pnąc. Tu musiał noc przesiedzieć całą, czasu do powrotu stariej z nie-

szporu używszy na przeszkrobanie w pułapie otworu do izby, przez któryby coś widzieć i lepiej mógł słyszeć.

Nie rychło powróciła lekarka i nie sama. Przywiodła z sobą mieszczanina jakiegoś, za którego się podobno wydać myślała, pomimo że zębów nie miała. Był świadkiem Stach jak go poila i namawiała, prawiąc o swych dostatkach i o szczęśliwym życiu jakie mógł z nią pędzić.

Zapalono drzazgę. Czechna postrzegła na stole glinę która się z pułapu posypała, gdy Stach otwór sobie wiercił. Zobaczywszy to, stara oczy zwróciła w górę, głową potrząsła i zaczęła szczerzy przeklinać. Szczęściem że się to na nie złożyć mogło. Stach jako tako, umieścił się na strychu, choć na nim wiązki słomy nawet nie było. Nawykły spać na ławie, na dylach się położył, słuchając do późna jak mieszczanin miód popijając o przyszłości ze starą rozprawiał. Nastąpiła cisza głucha i noc nie przespana.

Gdy dzień się robić zaczął, niecierpliwy Stach oka już nie zmrużył. Dokuczał mu trochę głód a więcej niepokój. Nie rychło dały się słyszeć kroki i Stach oko przyłożywszy do otworu zobaczył wchodzącego w kapturze, nie oprócz kaptura dojrzeć nie mogąc, i ramion szerokich.

Rozmowę słyhać było wyraźnie, głos zdał mu się Kietliczowy, ale niżony, cichy i jakby umyślnie zmieniony.

— No, starucho — rzekł — nie drożże ty mi się, nie dasz ty, znajdzie się druga.

— Mów dla kogo tego chcesz? — spytała Czechna.

— Co ja ci mam się spowiadać dla kogo — odpowiedział mężczyzna — to moja rzecz — na moje sumienie biore, nikomu nie do tego.

— Nie powiesz to nie dam — odczuwała się Czechna — szukaj drugiej.

Nastalo milezenie.

— Ty się żony chcesz zbyć? — spytała.

— Nie — mówił mężczyzna.

— Brata?

— Nie.

— Wroga?

— A no — wyrwalo się zapytanemu — wroga takiego co nie jednemu mnie a tysiącom już dojadł i dokuczył, i należy mu śmierć.

— Mów jaki? Kto? co? — poczęła stara — Muszę wiedzieć. Nie głupiam! Gdy możnego czelaka zgładzicie, powloką was, wydacie mnie, kołem będą tłukli albo kołmi szarpali.

— A jaż to mam być głupszy od ciebie i dawać tak aby mnie za rękę chwycili — rzekł mężczyzna — Czy mnie się chce téż być szarpającym i bitym? Będę wiedział jak i przez kogo dawać.

— Komu? komu? — pytała Czechna uparcie. Mężczyzna się uniósł.

— A! ty wiedzmo stara — krzyknął — dawaj albo nie, a wnętrzności ze mnie nie ciągnij! Nie twoja to rzecz. Mów co zapłacić, a powinno być takie by jak piorun ubiło — rozniesz?

— I takie u mnie jest — odparła Czechna — co gdybym ci go tylko powąchać dała przewróciłbyś się i nie wstał, i takie co kropla konia ubije.

— Takiego mi potrzeba — odparł kapturowy — dawaj mi go i mów co chcesz za nie?

Czechna po cichu wymieniła coś sporo grzywien srebra, a mężczyzna krzyknął.

— Oszalała!

Wszczął się targ. Czechna wołała.

— Ani życie ani śmierć darmo nie przychodzi! Za mało oddać takiego ziela nie mogę, bo mnie ono samą kosztuje wiele zdrowia... Trzeba wiedzieć gdzie szukać, jak zbierać, z czem warzyć. Darmo mnie tego nie uczyli. Życiem ważyła gotując... Rozgniewana dokończyła — Idź sobie do szatana! niech ci on darmo służy.

Znown się targowali sprzecając, kaptur dawał mniej, Czechna przy swoim stała, łajali się wzajem, potem milczenie trwało chwilę, mężczyzna się poruszył, dobywał powoli coś z pod oponczy, stara poszła drzwi zaryglować, okno zasunąć tak że w izbie mroczno się zrobiło. Szeptali po cichu, zaczął przybyły pieniądze liczyć na stole a stara siadła nad niemi.

Brała niektóre do rąk i do ust probując czy dobre są; szeptano cicho, brzęczały srebrniki zgarbiane do garnka. Lik ich trwał dosyć długo, a gdy się skończył Czechna poszła jedną okiennicę na pół odsunąć i z wysokości półki, z zagarnków dobyła małą banieczkę glinianą, tak drobną że się w garści mieściła.

Kaptur spostrzegłszy ją począł wolać — A to co? za tyle grzywien taka odrobina?

— Coś ty chciał abym ci wiadro dała? żebyś studnie pozatruwał? — odparła stara — Będzie z ciebie i tego, bo kropli dość na człowieka.

— A jak nie poskutkuje? — zapytał.

— Poprobuje! — rozśmiała się stara.

Zawalawszy się, sięgnął po baniekę.

— A patrz, ostrożnie z tém — dodała Czechna — abyś nie rozlał. Padnie ci na ciało wyzre je do kości, pryśnie w oko, wypali, jedna kropła w napój, olbrzyma zwali.

— W czém dać? — spytał cicho kaptur.

— W czém chcesz — szepnęła Czechna z powagą nauczyciela — albo w winie, w miodzie, w piwie, a choćby i w jadle.

— Dużo?

— Kropli dosyć...

Uwinięto baniekę w kawał płótna starannie, i człek włożył ją za pazuchę z ostrożnością. Już miał wychodzić, gdy stara ze śmiechem poczęła mówić.

— Myślisz żem ja ciebie pytać potrzebowała ktoś ty taki i na co ci trutka? Probowalam tylko. A no cię znam i wszystko wiem!

Zbliżyła się szepcząc mu coś na ucho, mężczyzna klnąc odskoczył od niej ku drzwiom, pogoniła śmiechem za nim. Słychać było jak drzwi nagle odsunawszy rygle, otworzył i wybiegł prędko.

Stach chciał się wnet puścić za nim, ale czekać musiał aż baba wyjdzie, aby nie płoszyć, i nie rychło dopiero, widząc że za długo siedzieć przyjdzie, z dachu dranicę wydarłszy, skoczył w ogród uchodząc.

Słyszał jak za nim wrzawę wielką baby podniosły, bo posłyszano łoskot. Powybiegały na ogród, gdy on już przez płot do drugiego sadu się dostał i uszedł.

Do domu powróciwszy ledz musiał odpocząć, tak go kości bolały, po noey na strychu spędzonej. Niewiele się to na co przydało, — podejrzanie jednak wielkie miał iż kupującym truciznę Kietlicz być musiał, a jeżeli on był — straszna myśl przychodziła dla kogo on ją mógł przeznaczać?

Stach chciał kapturowego, bądź co bądź pochwycić i zatrzymać. Żegieć i on zasiedli znown około dworku Juchima, śledząc i pilnując, lecz dla mnóstwa ludzi porwać się w ulicy nie śniął

Żegieć, chodząc tylko za nim, i strzegąc aby im nie umknął.

Drugiego dnia wieczorem dopiero gdy ulica pusta była, udało się im podejrzanego zachwycić tak iż się nań rzucić mogli. Ostrożnie rozpatrując się przesuwał uliczką małą i Stach czatujący nań, właśnie gdy się miał nań rzucić, poznał odsłoniłą nieco twarz Kietlicza.

W chwili jednej z obu stron padli nań z Żegciem, lecz sługa w pośpiechu biegnąc o kół na drodze zawadziwszy, wywrócił się. Spłoszył się Kietlicz i niechodząc sam w ręce Stacha się rzucił, który za kark go chwyciwszy na ziemię obalić usiłował. Napadnięty nie tracąc przytomności dobył nóż z za pasa i żgnął nim Stacha, niemającego na sobie nic oprócz losiowego kaftana, w same piersi. Nóż wbił się głęboko, Stach zachwiał i padł na wznak, a nim Żegieć dobiegł począł kaptur uciekać, korzystając z mroku, w krzaki się rzucił i zniknął.

Na drodze leżał przebity Stach jęcząc z nożem, który mu jeszcze tkwił w piersi. Kląkł nad nim Żegieć aby naprzód żelazo dobyć z rany, po które sam Stach bezsilna już sięgał ręką. Krew strumieniem buchnęła. krzyknął przebity i omdlał, zdawało się że dlań ostatnia wybiła godzina.

Niemogąc odstąpić ранego, Żegieć wielkim głosem krzyczeć zaczął nawołując o ratunek... Ciesza nocna dozwoliła głosowi jego rozleźć się sze

roko i ludzie z uliczek bocznych i domostw wybiegać zaczęli.

Wypadkiem znalazł się i Jaśko Bogorja w pobliżkim stojący dworze... Wzięto Stacha i zanie-
siono do dworku Jagny. Krew chustami trochę
zatomować się dała, a Żegieć po lekarza pobiegł
na dwór Biskupi.

Rana była ciężka i głęboka, ale się nie zda-
wała być śmiertelną, bo nóż w serce wymierzo-
ny, po żebrach się ośliznąwszy, niżej był zato-
piony.

IX.

Były to pierwszych dni Maja 1194 r. a rzadko u nas ten miesiąc kwiatów i zieleni tak pięknym bywa, jak go Bóg dał w tym roku. Ciche, spokojne nplywały dni wonne w ogrodach, któremi Kraków otaczał się dokoła. Cieszyli się wszyscy spoczywając po wojnie, i długie, szczęśliwe panowanie zapowiadało.

Wrzawliwiej, szumniej nie zabawiano się nigdzie może jak we dworze wdowy Doroty, która teraz większą zdawała się mieć niż kiedy nadzieję spoglądając na Wawel, że książę do niej powróci. Wiedziała ona, że Jagna dogorywała, że życie jej było na włosku, a Kaźmierz przy wjeździe do stojącej na wozie nśmiechnął się i pozdrowił ją tak, jak gdyby dawne czasy przypominał. Skinienie to pańskie łaskawe lepszą przy-

szłość zdalo się zwiastować. Wszystko się składało pomyślnie; Wiechfried był czulszym i niezbyt się wyrzekał pośrednictwa, rachując też na Jagny chorobę. Czekano tylko, aby ona zgłosiła, niemiec naówczas miał Dorotę przypomnieć i namówić Kazmierza, aby dla rozrywki ją odwiedził.

W wigilją świętego Floryana, którego uroczystość, jako patrona Krakowa i kraju, od wprowadzenia zwłok jego, obchodzono z wielką świetnością, bo i sam książę bardzo czynnie się nią zajmował, Dorota miała wieczorem gości wielu. Znaczną ich część porozehodziła się zawczasu, wdowa została sama. Czekala na kogoś jeszcze, coraz to oknem wyglądając. Zmierzchało, a w miarę jak wieczór nadchodził, wdowa coraz większą niecierpliwość okazywała.

Zawolała wreszcie na starszą slugę, ulubienicę swą Jagodę.

Jagoda to była, jak jēj pani, już wielec dojrzala, ale wzorem jēj niewyrzekająca się jeszcze młodości. Usłyszawszy wołanie whiegła z poufalością powiernicy i ręce na piersiach złożywszy, czekała marszcząc się nieco, co jēj Dorota powie...

— Czego wam trzeba? — spytała.

— Czego? wiesz przecie — odparła Dorota — ten twój obiecany nie przychodzi, czekam na niego!

— O! przyjdzie pewnie — odpowiedziała Ja-

goda. — Czekaj może, abyście sami byli, nie rad trafić u ludzi, dlatego nie spieszy.

— Obiecał przynieść z sobą? — przerwała niecierpliwie wdowa.

— Napewno! obiecał! — głową potakując mówiła Jagoda.

— A nie oszuka mnie?

— Gdzie zaś! człek stateczny, zna go dobrze Juchim. On lekarstwami handluje i z za morza je przywozi. Jeździ na Ruś po różne zioła, leki, krople, smarowania, a wiadomo, że tego nigdzie lepiej jak tam przyprawiać nie umieją. Nasza stara Czechna ani się do niego umywała...

— O! ta stara! — odparła Dorota — ona tylko okłamać a grosz umie wyciągnąć. Ziele jej żadne nie skutkowało. Nawet ta woda, którą mi się umywać kazała, wcale marszczek nie zgładziła...

Chód się dał słyszeć, Jagoda obejrzała się, wybiegła, a po chwili wprowadziła człowieka w opończy z kapturem, zdającego się ukrywać twarz, aby niezbyt w nią patrzano. Milcząc i rozpatrując się dokoła wsunął się do izby. Dorota podbiegła ku niemu.

— Macie z sobą? — spytała.

— Mam go — odpowiedział głos stłumiony i schrypty — z wolna dobywając z zanadru coś w płótno obwiniętego. Nie puszczał jednak z rąk choć Dorota chciwie sięgała po nie. Zaczęły się

szepty i targi o posiadanie tego skarbu, do którego przybyły, choć przywiązywać się zdał cenę wielką, ustąpił go wszakże łatwo.

Dorota ciągle rękę miała wyciągniętą, aby węzelek ów chwycić.

— Trzeba wiedzieć, jak się z tem obchodzić — rzekł przybyły, ani odtykać, ani wachać, bo wszystka siła uleci; dopiero gdy się kropla ma lać w naczynie do picia, można bańkę otworzyć. A ma moc taką, że i ręce pali, gdyby na nie padło.

Wdowie oczy świeciły. — Ma moc wielką? — pytała.

— Ma moc straszną, wiekuistą. Ten co się napije, nigdy już kochać nie przestanie. Gdy będzie pił, trzeba mu tylko imię niewiasty szepnąć.

To mówiąc przybyły zwolna bańkę zawiniętą rozpowił, ukazując Dorocie i znowu starannie związał.

— Dziw, jak oni wszyscy jedne mają naczynia — odezwiała się wdowa. — Czechna mi takie same bańki przynosiła.

Targ był skończony, wdowa oddała cenę umówioną w worku, który przyniosła Jagoda, kupiec nie liczył, zalecił tylko, by nie odtykać naczynia i postąpić jak przykazał, coprędzej uchodząc z domu.

Po wyjściu jego wdowa z radości wielkiej trzymając drogi nabytek przyciśnięty do piersi,

skakała po izbie, lubując się nim i podśpiewując. Z obawy, aby się co bańce nie stało, schowała ją za suknię.

Była to godzina, w której zwykle Wichfried nadchodził. Niemiec postarzawszy coraz więcej jeść i pić lubił; gospodyni dlań zawsze przygotowaną miała ucztę obfitą i wina podostatkiem. Nigdzie też lepiej napoju tego nieumiano osładzać i korzenną zaprawą wzmacniać. Rozkoszował się Wichfried w napoju na pozór łagodnym, który dziwną mu wesołość i odwagę wlewał.

Późno w noc nadszedł zmęczony.

— Coście to tak na siebie długo mi czekać kazali? — zapytała wdowa podchodząc ku niemu wystrojona i wonnościami oblana, uśmiechając się zalotnie.

— Przy panu musiałem być — rzekł niemiec. — Nie przebaczyłby mi zaniedbania przy nabożeństwie do swojego świętego. Jutro mamy św. Florjana, w kościele obchodzono nieszpory, sam Kazmierz śpiewał pieśń, którą mistrz Wincenty ułożył po łacinie.

— Jutro więc cały dzień będziecie pobożni? — spytała Dorota.

— Jutro od rana do nocy nie będzie spoczynku — mówił Wichfried. — Książę prawie nie wychodzi z kościoła, czei patrona sam gorliwie, aby mu inni też cześć oddawali.

— A po nabożeństwie, juści będzie na zamku uczta dla wszystkich? — zapytała wdowa.

— Jutro nie, bo to dzień święty — mówił Wichfried, następnego dnia dopiero gotuje się przyjęcie wielkie, na które wszyscy biskupi, duchowni, rycerstwo i ziemianie się ściagną. Będzie to dzień spoczynku i wesela.

Dorota słuchała ciekawie chwytając każde słowo Wichfrieda.

Niemiec tymczasem oglądał się z taką chciwością za napojem, jak ona za jego słowami. Zrozumiawszy to gospodyni poszła przodem do jadalni. Wieczera była gotową, wszystko co Wichfried lubił najchętniej. Jagoda ciepłe wino w sporym kubku podała mu zaraz z jakimś szyderskim uśmiechem. Siadał niemiec za stół żywo i lice mu się rozjaśniło.

Pieczona sarna, której zapach po izbie się rozchodził, wabiła go, dobył nóż i umywszy ręce zabrał się do krajania. Dorota usiadła naprzeciw, dotrzymując rozmowy, lecz nie tykając jadła.

— A taż? — spytała — żyjeli jeszcze?

— Mówią, że żyje — rzekł Wichfried. — Chora bardzo, a umrzeć nie może, prawią ludzic.

— Ciagnie długo! — poczęła Dorota głową trzęsąc — na co się już jej życie zdało? Każmierz tych kości i skóry kochać nie może! a cóż? smuci się bardzo?

— Ponury zawsze — rzekł Wichfried łakomie

zajadając. — Smutek ten powoli przejdzie. Dziś w kościele twarz miał pogodną i jasną.

— Musi o niej zapomnieć — mówiła Dorota — nieprawdaż? A jak jej się zbędzie, kolęj na mnie, że sobie musi Dorotę przypomnieć. Mówiłam wam, gdy do Krakowa wjeżdżał, jak mi się pokłonił i uśmiechał!

Podsunęła nałany kubek Niemcowi. Pij bo, pij! póki nie ostygło...

Gdy Wichfried kubek drugi wypróżnił, pochyliła się ku niemu.

— Stary druhu, moje szczęście w twoich rękach!

Ruszył na to ramionami Niemiec, a Dorota dodała prędko — nie zżymajcie się, nie chcę abyście mną mówili za mną, ani go ciągnęli. Zrobi się tak, że sam przyjdzie.

Wichfried spojrzał pytająco.

— Mam taki sposób, co go przyciągnie — mówiła wdowa — i na wicki go do mnie przykuje. Byle mu go dać kroplę i pocichu, gdy będzie pił, wymówić imię moje.

— E! stare baśnie pleciesz! — przerwał śmiejąc się Wichfried. — Niemalóż mną ziela nadawaliście, a przecie go nie macie?

— Takie to było ziele! Czechna zwodziła mnie! Nic zna i nie umie nic! Dopiero teraz za drogie pieniądze z Rusi dostałam takiego lubczyku, takiego!

Wichfried śmiał się ciągle.

— Obeszłoby się bez tego, byle chciał przyjść — rzekł — a pociągnąć go niemożna, tak się boi.

— Otoż napój to zrobi, że się bać przestanie — odrzekła Dorota. — Jedna kropla do wina wlana wystarczy, jedna kropelka.

To mówiąc, wydobyła z za sukni zawiniętą bańkę, pokazała ją zdala i prędko schowała znowu.

— Odykać jęć niemożna — rzekła — dopiero gdy się nalewać będzie. Inaczey siłę postrada, tak mnie nauczono. Dam wam, ale dopiero, gdy mi przysiężecie, że użyjecie, jak przykażę.

Zżymnął się Niemiec.

— Ja nie chcę! — rzekł krótko.

— A komu innemu ja nie powierzę — zawołała Dorota — wy musicie wziąć i musicie mu dać!

— Nie! — odparł Niemiec.

— Całe moje mienie wam przekażę — poczęła gorąco wdowa — całe mienie, wszystkie ziemie co mi po ojcu należą, co po mężu oddać powinni... Wszystko oddam wam! Dzieci ja mieć nie będę. Przy świadkach wam zapiszę!

Wichfried się odwrócił.

— A bracia? — spytał.

— A książe! — odparła Dorota. — On za zdradę mógł im i tak wszystko odjąć, co po ojcach mają. Obroni tego, co ja zapiszę...

Zadumał się Niemiec.

— Kto wie, co w napoju jest! — przebaknął.

— Nie jużbym ja co go miłując, źle mn uczynić chciała? — zawołała wdowa. — Czyż nie wiecie, że Bóg daje różną siłę ziołom dla pomocy człowiekowi? że jedne ciągną, drugie odpychają! jedne kochać każą, drugie nienawidzić?

— A są i takie, co zabijają! — zawołał Wichfried.

— Czyż jabym mu śmierci mogła życzyć! — krzyknęła wdowa — ja? Ten co mi lubczyk sprzedał, człek pewny, stateczni ludzie ręczyli za niego...

Wichfried jadł i pił, słuchał jednym uchem, a w głowie coś liczył.

— Ziemi mieć będziecie po mnie dosyć — dodała kusicielka — byle książę się zaopiekował, a tego wam nie odmówi. Siędzicie na nićj, jak książę udzielnny!

— W pustyni! — mruknął Niemiec.

— Pustki się przecie zaludniają! — mówiła Dorota — byle ziemia była, ludzie się znajdą. Choćby i z waszych Niemiec pójda chętnie...

Prawiła żywo, Niemiec słuchał coraz mocniej zadumany, ale jadł i popijał coraz rażniej. Dorota przysunęła się do niego, kubki nalewając sama, pogłaskała go po głowie, objęła za szyję. Zaczynał się rozochocony uśmiechać.

— E! — rzekła — bądź bo rozuinnym a do-

brym dla mnie i dla siebie. Zrób jak mówię, nie pożałujesz!

Niemieccy się przestał opierać.

— Pojutrze, w czasie uczty — mówiła cicho — pod sam jej koniec, podając mu ulubioną jego czarę, jak się ona tam zowie?

— Teodulfowa — zamruczał Wichfried.

— Odetkniesz tę oto bańkę, dopiero gdy będziesz miał nalewać, wpuścisz z niej choćby kroplę jedną, a gdy pić będzie, szepniesz mu do ucha imię moje! więcćj niepotrzeba.

Niemieccy głową potrząsał, ona ciągnęła dalej.

— Siła tego napoju sprawi, że zaraz zechce przyjść do mnie, a gdy przyjdzie, już mnie nie opuści.

Słuchający głową niedowierzając potrząsał, wdowa dobywała bańkę strzegąc, aby zatyczki jej nieuknuć.

— Tak! ty to musisz uczynić — mówiła nie zważając na opór Wichfrieda — musisz, uczynisz. Przysięgam, a ja uczynię cię możnym i szczęśliwym!

Mleczal jeszcze trochę upojony, trochę znużony niemieccy, ale ręka jego już po owo naczynie sięgała.

— Bóg z tobą — rzekł — naprzykrzona, natrętna, niepozbyta babo, zrobię co chcesz, ale skutku z tego tyle będzie, co z twych innych cza-

rów, chybaży... tamtęj nie stało, a innęj mu się szukać nie chciało.

Wyciągniętą trzymał rękę.

— A przysiąż że mi — natarczywie zawolala Dorota — że zrobisz, jak mówię, na Boga, na świętych, na uczciwość twą! Dasz mu dopiero przy uczty końcu...

Niemiec rzekł z obojętnym uśmiejchem. — No, przysięgam. przysięgam!

I pochwycił w rękę bańkę, którą mu Dorota oddała, pilnując, aby ją natychmiast schował. Wichfried rozpiął kaftan na piersi, włożył naczynko, zapicła mu go Dorota i lice jęj zajaśniało nieczmierną radością. Śmiejąc się nowy kubek mu podala.

— Pij — rzekla — dalabym ci złota roztopionego, gdyby je pić było można. Będiesz nym dobroczyńcą!

— Byle napój poskutkował! — dodał niemiec.

— O! musi! ja wiem! ten będzie skutecznym!

Uderzyła w ręce i zrywając się z ławy płasac poczęła wesoło przed niemcem, który już ruszyć się nie mógł. Ale patrząc, lice mu się uśmiechało na widok pięknej jeszcze niewiasty tak szczęśliwój, tak wesołej, że jemu się część tego szczęścia i wesela udzielała.

Pił tymczasem potroszę, bo napój ten palił go wewnątrz i zamiast gasić, powiększał pragnienie. W głowie kręciło mu się i szumiało. Coraz to

kułbek opróżniony stawił, wyzywając do nalewania, a parę ich jeszcze wychyliwszy, sparł się zwolna o ścianę i usnął, ustami tylko poruszając uśmiechniętymi i coś niewyraźnie pomrukując.

Dorota zabezpieczyła go od upadku, aby z nim drogie naczynko nie zostało nadwierżone i pozostała na straży.

Gdy we dworku wdowy tak się do oczarowania Kaźmierza przygotowywano, w domu Stacha, Żegieć i kilku przyjaciół otaczali łoże rannego. Upływ krwi z piersi szeroko rozplatanęj wstrzymać się udało. Żegieć wprędce od biskupa przyprowadził nieznanego benedyktyna, który był Pelki i księcia lekarzem. Staruszek opatrzył starannie ranę, pilno chorym się zajął, dał mu wewnątrz jakieś leki, po których sen przyszedł spokojny, balsamem zalał bok skaleczony, ale pytany o chorego, nie odpowiadał nic z początku, w końcu rzekł, że wszystko jest w mocy Bożej, a On cuda czyni, gdy wola Jego.

Ze wszystkich ciekawych, którzy z początku łoże chorego otaczali i domek napelniali, po upływie pół dnia pozostał tylko Żegieć wierny i ksiądz, który przyrzekł odwiedzać chorego.

Niewyjaśnioną dla wszystkich było tajemnicą, ta rana otrzymana od nieznanego człowieka, na którego dłaczego Stach po nocy się rzucił. Nikt też odgadnąć nie umiał. Domyślano się różnie, Żegieć mówić nie chciał, ci co znali rannego

wiedzieli, że dla pieniędzy i przez chciwość tego uczynić nie mógł, że z zazdrości o niewiastę nie rzucił się pewnie, bo płochości wszelkiej wyrzekł się dawno; musiała więc jakaś chęć zemsty i śmiertelna nim powodować uraza.

Jeden biskup Pelka, lepiej od innych wiedząc co się w sercu Stacha działo, domyślał się sprawy większej wagi i był niespokojnym. Zlecił też Benedyktynowi, aby pilnie miał o chorym staranie. Po dniu spokojnym, drugiego rozwinęła się gorączka i ranny marzyć zaczął. Zrywał się z łóża chciał biedz, wołając ciągle, iż pana otruć zamierzano!

Słyszał to lekarz i sługa, ale i oni i wszyscy przypisywali gorączce to majaczenie dziwaczne, żadnego do wyrazów poplątanych nie przywiązując znaczenia.

Ile razy ze snu ciężkiego przebudził się Stach, z tą samą myślą się zrywał znowu krzycząc, że na ratunek biedz trzeba, bo pana otruć mają. Uparte to ostrzeganie, wołanie i prośby, uderzyły wręczcie Benedyktyna tak, że do biskupa wróciwszy z politowaniem mu o tém rozpowiadał.

Pelka tłumaczył to sobie marzeniem chorego, którego znając przywiązanie do księcia, nowy dowód jego w tém upatrywał.

— Śni się biedakowi — rzekł — jak mu całe życie się marzyło, że zawsze panu jego coś zagraża.

Pocziwiy sługa żył lat wiele jednem staraniem o bezpieczeństwo pańskie, więc i teraz w głowie się to powtarza. Daj mu Bóg ozdrowienie i życie.

Za życie to lekarz nie ręczył jeszcze, drudzy mu go nie wróżyli. Choć silny, Stach krwi utracił wiele, rana była głęboka, a co się wewnątrz jej działo, czy oręż nie był jakim jądrem zatruty, Bogu jednemu wiadomem było. Gorączka rosła, sił ubywało i tylko gdy dziwaczne marzenie o trucein księcia wracało, naówczas zrywał się z taką mocą, iż go kilku ludzi ledwie mogło utrzymać.

Benedyktyn leki uspokajające powiększał coraz, dopóki tego szalu wycieńczającego nie przemógł. Chory, choć go już skrępowała bezwładność, jeszcze mruczał przez sen, aby ezuwano nad panem.

W sam dzień św. Floryana gorączka wreszcie ustawać zaczęła i przyszło osłabienie wielkie. Chory stękał, na ból głowy się skarżył, mnichowi się zwierzając, że go prześladował sen trapiący, jakoby Kaźmierzowi na uczenie do napoju trucizny wlać miano.

Badał go Benedyktyn, z kądem mu myśl ta przyjsć mogła, lecz przed nim jaśniej się tłumaczyć Stach obawiał. Na karb gorączki poszedł ten niepokój. Tego dnia lekarz obiecywał więcej i pocieszającą wiadomość zaniósł biskupowi, który na intencyę

chorego mszę świętą u relikwii św. Floryana odprawić obiecał.

Stary Hreczyn, który się był do Stacha przywiązał, w początku chorój Jagnie o wypadku znać dawać nie chciał. Pocóż miał chorą męczyć na próżno? Gdy lekarz zrobił nadzieję wyzdrowienia, Hreczyn pomyślał, iż powinien pójść powiedzieć co się stało, i dlaczego Stach nie przychodzi. Dnia tego z południa, po wielkim nabożeństwie, na które lud do dwu kościołów tłumnie się gromadził, bo na Wawelu i na Kleparzu kości męczennika były złożone, Hreczyn powlókł się za Wisłę.

Starego sługę swojego mile Jagna przyjmowała, i dowiedziawszy się o nim, zaraz go wpuścić kazała. Wszedł Hreczyn zbiedzony, z głową spuszczoną, niewiedząc co mówić. Jagna odziana siedziała oparta w oknie.

— Coś ty tak smętny? — zapytała spojrzawszy.

— Stacha nam pokaleczyli! — westchnął Hreczyn wprost mówiąc z czém przyszedł. — Leczy biedak, dlatego nie widzicie go od dni kilku!

— A! — krzyknęła Jagna! — Kto? co, mówi.

— Nikt dobrze nie wie, jak się to stało — rzekł stary. — Nocą w ulicy napaść jakaś. Zdaje się, że z Żegciem czatowali na kogoś i ująć go chcieli. Ten broniąc się w piersi nożem pchnął Stacha, dobrze, że go nie ubił. Biskup przystał

mnieha lekarza, okładają ranę, majaczył dużo, teraz się uspokoił.

Jagna płacząc słuchała. Osłablój teraz lzy przechodziły łatwo, drżała ze wzruszenia. Nie kochała nigdy Stacha, ale go jak brata milowała i wdzięczną mu była. Jedyńy to był człowiek co ją nie zdradził, nie ciężył jēj, był wiernym zawsze. Myśl stracenia go, była dla niěj bolesną. Chciała sama umrzeć wprzōdy, pamięć swą zostawując mu w spadku. I to życzenie zagrożonem było.

— A! Hreczynie! Hreczynie! — zawołała — a! gdybym ja siły miała! ale ani na konia sięść, ani pieszo iść, ani na wozie jechać nie mogę, a ja tam przynim powinnam być!

Załamala ręce. Hreczynie! Hreczynie! Wy mnie zanieście do niego!

Stary się począł mocno opierać.

— Ani wam myśleć o tém, miłościwa pani — rzekł — choremu nie pomożecie, bo mu spokoju potrzeba, sobie zaszkodzicie, a jakby was nieść? Pełen teraz Kraków ludzi dla odpustu, dla nabożeństwa, zawalone ulice. Zobaczyliby was, gadali, dowiedziałby się pan i gniewał srodze.

Jagna plakała.

— Jakże go tak porzucić? — wołała — jak mu powiedzieć, że mi go żał?

— Ja mu powiem, gdy każecie — odparł Hreczyn.

— Inna rzecz posłanie, a inna żywe słowo! — mruknęła Jagna — ale wam nie poczuć tego!

Hreczyn kłaniając się do ziemi już miał odchodzić, gdy Jagna odzyskała tę wolę wielką, jaką dawniej miała.

— Sluchaj stary — rzekła rozkazująco. — To nie może być! Wy mnie tam o mroku zanieść musicie! Choćbym umarła, nie pomoże nic. Muszę tam być. Nasze zróbce, zakryjcie mi twarz chustami, droga niedaleka! Zaniesiecie mnie! Dziś święto patrona pańskiego, on u mnie nie będzie, ja u Stacha muszę być. Słowo mu rzeknę i powrócę.

Opierał się Hreczyn jeszcze, ale Jagna już wołała na sługi.

— Musi tak być, jak każę. Gałęzi urąbacie w lesie, nasze mi zrobicie...

Nastraszyły się służebne, ale nawykłe były do posłuchu, gdy Jagna chciała czego, próżno się jej opierać było. Hreczyn przeklinając siebie, że przybył z tą złą wieścią, musiał pójść rąbać drągi i gałęzie na nosze. Nim wieczór nadszedł, były one gotowe. Jagna od stóp do głów wielką się chustą okryła, a że iść nie mogła sama, prowadzić się, napół nieść musiała kazać. Włożono ją na nosze jak rannego w boju i była w istocie Łazarzem porąbanym na pobojuwisku życia. Nie mówiąc słowa, z twarzą zakrytą dała się nieść nie jęknąwszy. Na promie przebyła Wisłę, weszli

do miasta, gdzie ludzi pobożnych ścisk był wielki. Myśleli spotykający, że rannego lub zabitego niosą, słudzy na pytania nie odpowiadali. Gdy w dworku stanęli, Stach spał, Jagnę, choć ją niesiono powoli, zmęczoną, w pół żywą wprowadzili do ciemnej izby, w której chory odpoczywał. Posadzili ją w kącie na ławie, spała się na stole i tak przebudzenia czekała.

Nierychło otworzył oczy Stach jęcząc i wołać począł o wodę. Żegiec podając mu ją, szepnął że Jagna się tu przynieść kazała.

Zduniał się mocno Stach.

— Gdzież ona jest?

— Tutaj jestem! — odpowiedział cichy, słaby głos z kątką — kaleka do kaleki przybyłam, aby rzec ci jedno słowo — żał mi ciebie.

Stach kazał przynieść światło.

— Niech ją choć zobaczę, lżej mi będzie — rzekł przejęty.

Zaniccono drzazgę i lampkę. Izba była niewielka, mógł więc łatwo dojrzec siedzącą, a że mu smutku przynieść z sobą nie chciała, poczęła się uśmiechać. Na tej twarzyczce wychudłej, na której śmierć już położyła piętno swoje, uśmiech wykwił, jak piolun cmentarny, jak dziewczanna mogiłna.

Widząc go, Stachowi zapłakać się chciało, uśmiech ten przywołał wspomnienia ulodości i

krasy dawniej. Długo na twarzyczce jej pozostać nie mógł i zniknął.

Spytała go o ranę; Stach spowiadać się nie mógł.

— A! — rzekł — sam bo nie wiem, zaćm ją otrzymał, co mi się przysniło. Czekł mi się zdał podejrzany, włóczyłem się za nim, chodził do Czełmy po trutkę, mnie się widziało już, że mogła być dla Kaźmierza przeznaczoną! Strach ogarnął.

— Dla niego? — przerwała Jagna. — A któżby śmiał tego anioła Bożego, człowieka, co nigdy nikomu zła nie uczynił, wszystkim przebaczał, wrogów kochał. Któżby śmiał!

— Niedorzeczy marzyłem — odparł Stach — sam wiem! Wyście to wiedzieć powinni, że kto kogo kocha, o nim śni i myśli, a śniąc mu się widma roją.

A! a! sen był i zmora, a przecie niechby mu kto powiedział, aby nie pił inaczéj, aż podczaszy skosztuje napoju.

— Taki obyczaj na dworze! — rzekła Jagna.

— Ale pan ufny jest — mówił Stach. — Nie-jeden podczaszy, lada kto mu napój nalewa i daje...

— Możeż on nieć nieprzyjaciół — wołała Jagna...

Stach zamilkł, wiedział i on, że żaden z książąt nigdy takiéj u wszystkich miłości nie miał. Ci co go otaczali życie zań dać byli gotowi, ale Kietlicz? a jemu się zdało, że poznał niecierotę.

— Gdy pana zobaczycie — dodał chory — od siebie mu powiedźcie, niech napoju probować każe!

— Ani dziś, ani jutro ja go widzieć nie będę — westchnęła Jagna — a za dwa dni czy moje usta będą co mówiły? któż wie... Dziś święto obcho-dzą, jutro wielkie gody. Szczęśliwi ludzie będą tam patrzeć w twarz pana mojego, napawać się słodkiem wejrzeniem, słodszy-m głosem i sercem najslodsze-m jego!

Rozmowa skończyć się musiała, Hreczyn cza-tował na swą panią i do powrotu naglił. Chmury się od Tatrów zbierały, błyskało w nich, chciał ją odnieść, nimby burza nadciągnęła...

Więc groził nią stary.

— E! Hreczynie! — zawołała z uśmiechem — a pamiętasz stary, w jakie my burze z tobą pu-szcze przebywali! Gdy się drzewa od piorunów płonące na nas waliły iskrami obsypując; a teraz ty się boisz!

— Teraz wam trzeba do domu — rzekł Hreczyn.

— Nieście! — szepnęła cicho. — I ręką o' ust posłała Stachowi pozdrowienie.

— Wyzdrowień mi prędko, póki ja nie umrę — rzekła wesoło...

Jak dziecię sługi ją na ręce wzięły i tak ze sklonioną głową na podwórze wynieśli, a Stach pozostał sam w stokroć teraz puściej-szym domku.

Jak sen chorobliwy przesunęła mu się ta twarz

Jagny blada; słyszał jeszcze jój głos, widział oczy. Chciał naprawdę usnąć z tym obrazem, spokojniejszym był zleciwszy jój poselstwo do pana.

Sen też ogarnął go znowu.

Lecz ledwie zamknął powieki, stanęła przed nim postać zakapturzonego człowieka z Kietliczową twarzą, który szeptał szydersko.— Zapóźno! Jutro gody! Jutro mu może należą napoju, po którym się nie wytrzeźwi...

Jutro gody!

Całą noc tym snem był Stach dręczony, a gdy o brzasku się zbudził i Benedyktyn przyszedł ranę mu balsamem zalewać, pot ciekł z uznojnego marzeniem czoła.

— A! ojcze! — zawołał — znowu miałem sen srogi! Pan dziś gody sprawia... Widno straszne jakieś lało mu do czary truciznę.

— Z choroby to są marne widziadła — rzekł ksiądz — a może nagabania szatańskie, neżyście krzyż, zmówcie modlitwę, uspokoi się dusza....

Posłuszny Stach modlił się, lecz niepokój przez dzień cały dręczył go coraz większy we śnie i na jawie. Gdy wieczór nadszedł, rozpalila mu się gorączką twarz, krew w żyłach kipieć poczęła, wytężał słuch, serce biło...

Z wysiłku tego, padł na łożo osłabły i krzyknawszy: ratunku! przytomność utracił.

X.

Epilog.

Nazajutrz po dniu św. Floryana, dla wszystkich tych, co z nim razem obchodzili święto patrona Krakowa, książę Kaźmierz wspaniałą ucztę gotował.

Zdawna ją przysposabiano, gdyż zaproszonych liczba nie mała była, a książę uczcić ich chciał ze szczodrobliwością królewską.

Trzech biskupów przybyło umyślnie na tę uroczystość do stolicy, wszyscy panowie Rady, dostojniejsi ziemianie, wojewodowie, żupani, starzy drulhowie Kaźmierza i Henryka. Jaksa z Miechowa, Rusław, na którego ziemi Sulejowski klasztor zakładał, Jarosław Belina, Goworek z Sandomierza,

Żyra z Płocka, stawili się do boku pańskiego. Do relikwii tego danego państwu swemu patrona, książę najwyższą przywiązywał cenę, widział w nich porękę błogosławieństwa Bożego dla tej ziemi. Pomiedzy duchowieństwem jak perła czystej wody jaśniał mistrz Wincenty, ulubieniec pański, któremu niedawno Kaźmierz napisanie hymnu na cześć świętego polecił.¹⁾ Sekwencyę tę sam przy mszy wielkiej śpiewał u organów w kościele i podobała się wszystkim.

Salve martyr gloriose!

Swą grą wyrazów, porównaniem świętego do kwiatu, wzywaniem opieki dla Krakowa:

(Cracovia gaude vere.)

Zachwycił duchownych, którzy hymnem tym zastąpić postanowili, inny po kościołach w Niemczech na cześć śś. Wiktoryna i Floryana śpiewany. (*Carus Deo Florianus — Toto corde fide sanus*). Oddawna księcia weselszym, aż do łez rozkosznych rozczulonym serdeczniej nie widywano. Wdzięcznie się wszystkim uśmiechał, i szczęśliwi byli, widząc ten rzadki promyk wesela na zwykłe smutnej twarzy jego. Poważny nawet biskup Pełka, surowy Mikołaj wojewoda dnia tego oblicza pogodne mieli, odmłodzone.

W istocie państwu teraz nie zbywało na niczém.

¹⁾ Bardzo prawdopodobnie może to być Kadłubka dzieło, styl i język na tę myśl naprowadzają.

Z łaski pana Mikołaja pokój był z Węgrami zmówiony, Ruś była w ład wprawiona orężem Kaźmierza, Jaćwa pokonana wyprawą zwyciężką, Niemcy zajęci podbojem reszty pogan na Pomorzu, nie myśleli o napaści, od cesarstwa się jój nie obawiano.

Dostatek panował w domu; po utraconym Bolku jedyna ojca i matki pociecha Leszek się chował zdrowo i szczęśliwie, jak siostra i brat młodszy. W środku państwa co dawniej wicherzyło i bruździło, ukoїło się i przycichło. Dzielnica bezpotomnego syna kędzierzawego, spadła na Kaźmierza, Mieszek po oddaniu mu syna siedział upokorzony, książęta Szlązcy nie ważyli się porywać.

Lżejsze prawo nowe knieciom dozwalało odżyć po Połowieckich najazdach i Kietliczowym ucisku. Świetne w przyszłości zapowiadały się lata.

Rozumny Pełka i silny Mikołaj ziemian buntnych trzymali w karności, nie się nie przeciwilo, nie nie wyrывało.

Następstwo po Kaźmierzu papieżką bullą utwierdzone było w jego rodzie, duchowieństwo stało na straży prawa. Z biskupami Kaźmierz rządził wspólnie i zgodnie dzieląc władzę, którą oni wielkim swym wpływem podtrzymywali. Klasztory, zwłaszcza Cysterskie rosły, monożąc się prawie codziennie, krzewiły w ziemi niedawno pustej i bezludnej. Mnożyły się też osady po trzebieżach.

ludność po miastach, handel złotemi drogami prze-
rzucał kraj ze wschodu na zachód.

Z zachodu co tylko Włochy, Francya, Niemcy
miały, otrzymywała dzielnica Kaźmierzowa, pły-
nał towar, szli rękodzielnicy. W mniejszym sto-
pniu odbijały się tu wszystkie ruchy umysłów,
jaśniej się czuć dawały w krajach innych. Ziemiań-
ski ów udział w rządzie i radzie, nie był bez
związku z wyswobodzeniem możnych w Niemczech
i we Włoszech. Pokora Rudobrodęgo w Wenecyi
u stóp papieża składającego głowę dumną, w Pol-
sce się odbiła biskupom przyczyniając siły.

Kaźmierz, który miłował sprawiedliwość i po-
kój, dla którego słowo Boże było prawem naj-
wyższem, niepragnący zbytniej władzy, dzielący
się nią chętnie, cieszył się tem wszystkiem, bo
działało się po myśli jego. Wyswobodzony z brze-
mienia rządu samowolnego mógł swobodnie od-
dawać się ulubionym marzeniom, o rzeczach za-
światowych rozprawiać z uczonemi, uczyć dziejów
i śpiewać chwałę Bożą.

Gdy nad wieczór goście wszyscy na zamku
się zgromadzili dokoła stolów książęcych, dość
było spojrzeć po ich twarzach, ażeby zgadnąć,
że mieli pana miłościwego, który był im ojcem
a bratem.

Gdy piękny zawsze jeszcze, z podniesionem
do góry czołem jasnym dniam tego, z włosami na
ramiona puszczone, z łańcuchem na szyi, u któ-

rego klejnot z orłem i lwem był zawieszony — wszedł książę strojny, rzeźwy, wesół do wielkiej izby, oczy wszystkich z wyrazem ukochania zwróciły się doń, jak do słońca.

Sunęli się doń i cisnęli, aby słówko posłyszeć, wejrzenie dostać, uśmiechem się pocieszyć, albo choć otrzeć o niego. Nie było jednej twarzy ponurzej, jednego niechętnego serca. Nawet ci, co niegdyś obalamuceni szli przeciw niemu, przejeżdżani dziś życie zań dać byli gotowi.

Zaprawdę inaczej też być nie mogło, tak miłością chrześcijańską, sercem anielskiej dobroci pełnem, wielkim był Kaźmierz, który dumy innych panów nie miał, a pokorą świętą obleczonej jeszcze się większym wydawał.

Choć zwykle na dworze jego zbytniego przepychu nie było, bo bogactwy swemi chętniej się dzielił, niż ich używał, na ten dzień, w cześć świętego patrona wspaniałość królewska jaśniała.

Wszystko, co skarbiec miał najpiękniejszego, wzięto na stoły. Police przy ścianach błyszczały od srebra i złota. Siedzenia wywyższone dla księcia, księżnej, biskupów okryte były szkarlatem, cała izba zielonością przybrana majową, potrzebna zioły wonnemi. Dwór pański przywdział szaty świąteczne krasne i okazałe, kto co miał najkosztowniejszego włożył na siebie.

Śmiać się zdawało wszystko. Dzień przed wieczorem do zbytku był ciepły, więc szeroko otwar-

temi oknami, gość pożądaný, wonne wiosenne wchodziło powietrze. Na twarzy księżnej Heleny zwykle mającej wyraz jakby trwogi i tęsknoty, w dniu tym widać było pokój i szczęście. Gwar po izbach przytomnością pańską hamowany tylko, to przycichał, to tłumionemi śmiechy i żwawszemi ożywiał się wykrzyki. Około księcia skupiło się co było poważniejszego z duchownych i świeckich panów, a biskup Pelka pobłogosławiwszy stół, sam począł rozmowę od tego, iż należało Bogu za pomyślność jaką na to królestwo zlewał, dziękować.

— Tak Bóg sprawiedliwym błogosławi — rzekł — i przez pana naszego płynie nam łaska jego!

Ksiązę skłonił głowę. — Bóg daj — odezwał się — zasłużyć na to, coście mi niegodnemu rzekli. Nie przypisuję tego sobie, ale waszym modlitwom.

Tak zagajona poważnie mowa, wnet przez Chmarę, który siedział nieopodal, na weselszy ton została zwróconą.

— Komu my to winni, dojść trudno — rzekł stary — to pewna, że nam ubożuchnym z temi dobrze i, bodaj długie wieki trwało czego używamy.

A my biedacy możemy zasłużyli też na miłosierdzie Boże, bośmy długo cierpliwie plagi i chłostę znosili.

— W niepamięć to puścić — rzek biskup. — Święcą się lepsze czasy, w niebie mamy orędownika Rycerza, który i od ognia i od wody broni.

— Bodaj też i od złych ludzi — dodał Chmara — bo to gorsze od ognia i wody.

Książę się począł nabożeństwem wspaniałem po kościołach radować, chociaż, jak mówił, wiele jeszcze niedostawało, aby świątynie polskie, włoskim, niemieckim i francuzkim równały.

— Da Bóg i my takie będziemy mieli — odrzekł Pelka — choć nam o kamień trudno, glina go zastąpi.

Cysters się odezwał, że mistrzów do budowania sprowadzając, swoich można było nauczyć tej sztuki, a Jarosław Bogorja wtrącił, iż z kamienia, prawda, cudzy lepić budować umieli, a z drzewa od naszych cieślów uczyćby się mogli.

— Proste było życie dawne na tych ziemiach — począł Jaksza — więc rzemiosła nie kwitły. Z obyczajem lepszym i ręce ludziom urosną zręczniejsze, boć nie święci garuki lepią.

Rozprawiano tak, jedząc, o rzeczy wszelakięj, książę słuchał niekiedy wtrącając słowo.

Biesiada trwała dosyć długo, coraz się stając gwarniejszą tak, że w końcu już tylko najbliżsi słyszeć się mogli. W każdym kątku o czém inném rzecz się toczyła.

Przy dalszych stołach, rozmowy od ucha pań-

skiego odleglejsze stać się musiały swawolne, gdyż je gęste śmiechy i puste słowa zdradzały.

Przeciągnęło się to do późnego wieczora, aż niektórzy wstawać poczęli, odeszła księżna, ziemianie dla chłodu na podsienia ustąpili, a książę został tylko otoczony szczuplejszém gronem poważnych mężów.

Zostali przy nim biskupi, duchowni, Jaksa, Goworek, wojewoda Mikołaj i ziemianie co ciekawszych kupka mileząca.

Mogli już teraz rozpocząć mówić o ulubionych Kaźmierzowi przedmiotach, o rzeczach niepowседневnych. Wichfried dnia tego wziął na się dobrowolnie podczaszowstwo, chodząc głównie około pana i biskupów, których rozmów słuchał, a kubki im nalewał. Książę przyjaźnie mu się uśmiechał i dnia tego dobrzej będąc myśli, często swą czarę nalewać dawał.

— A! — odezwał się głośnie — gdyby życie całe płynąć mogło jak ten dzień dzisiejszy, pół na nabożeństwie z Bogiem, napół z ludźmi sercu mileni, na rozmyślaniu o rzeczach ostatecznych!

Niestety! nie tak zawsze się dzieje, ma prawa swe dzień powszedni, jak ma laski dzień świąteczny. Chleb codzienny pożywać musimy we łzach i pocie naszych skroni... Niczemby to było, gdyby duch nie cierpiał, gdyby go nie trapiła tęsknota wiekuista, która i najjaśniejsze chwile przyćmiewa.

— Miłościwy panie — rzekł Pełka — nie wy-

łamać się nam z tego czemuśmy przez ciało nasze podlegli, a co powiedział Hioh święty, prawdą wieczną. Człek z niewiasty narodzony, pełen jest wszelkiej nędzy, wschodzi jako ziele i więdnije jako trawa.

— Tak — dodał mistrz Wincenty — aleć to życie znikome wstępem jest do wiecznego, a jak powiada modlitwa, którą czytamy za umarłych: „życie się odmienia nie ustaje“ (*vita mutatur non tollitur*). I dobrze rzekł Prudencyusz; „Nie płaczcie matki dzieci swych, bo śmierć jest żywotem nowym. Tak wyschłe ziarna pszeniczne umierają w ziemię zakopane i zielenią się wytykając z zagonów, kłosami odnowione.“

— Nam to tylko Chrystusowym dzieciom — rzekł Pelka — dostępna ta prawda żywota, pociechy téj nie mają poganie.

— Aliści — przerwał Wincenty — przeczucie onego życia drugiego i u najdzikszych pogan się znajduje, jako to wiemy o Getach (Prusakach), którzy wierzą, że dusze z ich ciał wyszedłszy do innych narodzić się mających przechodzą, a inne nawet w zwierzęta.

— Myśmy — rzekł książę — doświadczyli tego w ostatniej wyprawie, iż gardzić śmiercią umieją, bo się bili mężnie i zakładników swych na stracenie skazali bez żalu.

— Jakże my, cośmy tego żywota wieknistego

pewniejsi — odezwał się biskup plocki — od nich śmielszemi być powinni w pogardzie śmierci.

— Tak, ojcze mój — odparł książę — żyćiaśmy pewni, lecz jakie ono dla nas będzie, czém? Któż to wie? Kto przewidzi?

— Określić to trudno — rzekł Pelka — co jest nad rozum człowieczy i nad słowo ludzkie.

— Wstyd mi tu przywodzić — przerwał jeden z Benedyktynów — tego, którego św. Bernard herezyarchą zowie (spojrzał na Cysterców z ukosa) ale Abailardus ów potępiony, pięknie wyraził się o przyszem życiu, że ono przez to jest szczęściem, iż będzie zapatrywaniem się na doskonałość Bożą.

„Światło słoneczne blask sieje w południe, ciepło potęgą swoją świat ożywia, najwyższą szczęśliwością będzie, gdy widok Boga serea nasze rozplomieni. Im lepiej poznamy, tém więcej ukochamy wszystkie jego doskonałości. Patrzyć na nie będzie najwyższą szczęśliwością. Szczęśliwe wejrzenie, oczy błogosławione, które tej chwały używają.“

Cysters czując się dotkniętym wymówką św. Bernardowi uczynioną po krótkim namyśle odparł.

— Ten to nasz Bernard, który Abailarda potępił, przyczynę swego sądu w liście do niego wyraża, pisząc w nim, co się i do innych mędrków czasu tego da zastosować. „Igra się teraz z prostaczków wiarą, rozdzierają się tajnie Boże,

zagadnienia rzeczy najwyższych zuchwale roztrząsają.“ ¹⁾

— Ojcie miły — przerwał Kaźmierz — który uczuł się z kolei dotkniętym zarzutem. Niegodzi się może rozbierać i roztrząsać, ale godzi chcieć oświecać i szukać światła nawet prostaczkom jak my. U ojców kościoła, u poetów chrześcijańskich, o których od was się uczę, wszak nieodgadnione zagadnienia co chwila wracają, bo się człowiek zajmowanin niemi oprzeć nie może.

— Zaprawdę tak jest — dodał mistrz Wincenty — zagadki jednak pozostały nierozwiązane. „Męrdcowie nauczają nas, że się nie wie, oprócz tego, że się nie wie nic. Teofrastus dodaje, że się w nie wierzyć niepowinno, oprócz, że ni czemu wierzyć nie trzeba. A Eudemiusz poprawia go dodając, *prawie*.“ ²⁾

— Smutno byłoby w tych ciemnościach wiekować — rzekł książę. — Coś przecie światła płynie od ludzi duchem świętym natchnionych.

— Zapewne — dodał Pełka — poetom też śpiewać się przydarza o tém, czego oko nie widziało, ucho nie słyszało, a co ich dusza przeczuwa.

— Świadkiem ów piękny opis Raju u św. Awitusa — rzekł mistrz Wincenty.

¹⁾ Irridetur simplicium fides, eviscerantur arcana Dei, quaestiones de altissimis rebus temerario ventilantur.

²⁾ Kronika M. Wincentego.

— Nie pomnicież go? — zapytał Kaźmierz.

— Jakżeby mistrz Wincenty miał nie pomnieć czego? on którego pamięć za *armarium* starczy — odczwał się biskup zwracając ku niemu z uśmiechem.

Skromnie zarumienił się powołany.

— Sądzę, że opis ten przypomnę sobie — odparł — i po małym namyśle rozpoczął: „Za indyjską ziemią kędy świat się poczyną, jak mówią, a kończyny ziemi z niebiosy łączą, jest las śmiertelnym niedostępny, zamknięt w granicach wiekuistych, odkąd pierwszego grzechu sprawca wygnanym był zeń po upadku, a aniołowie niebiescy przyszli na tój poświęconej ziemi zastąpić słusznie wygnanych winowajców. Nie ma tam pór roku przemiannych, wiodących za sobą zimę, słońce letnie nie przyświeca tu po mrozach. Gdy krag wyniosły roku dla nas przywraca porę skwarów, gdy nasze pola bieleją szronem okryte, dzięki łagodności klimatu, tu wieczna panuje wiosna. Gwałtowny Auster tu nie szumi, chmury uciekają od czystego powietrza, niebo jest zawsze jasnym. Ziemia nie potrzebuje deszczów, by ją orzeźwiały, rośliny karmią się rosą samą. Zielenieje ziemia, powierzchnia jej ogrzana łagodnie, wdzięcznie i świeżo wygląda, wzgórza okrywają trawy, drzewa zachowują zielone swe warkocze i tysiące wydając kwiatów, coraz nowemi odżywiają się soki. Tam owoce, które my raz do roku zbieramy, co

miesiąc obficie się rodzą. Słońce nie warzy lilij jasnych, fijołki, których żadna ręka nie tyka, kwitną bezprzestannie, barwa ich nie blednie, kielich nie więdnije. Zimy tam nie ma nigdy, ani letnich upalów ssących ziemię, wiosna tylko z kwiatami, jesień z owocami panują rok cały. Tu rosną cynamony, które wieść kłamliwa wyłączną własnością Sabeanom przyznaje, rośliny, które zbiera Feniks, gdy ma umierać, źródła dlań nowego żywota... Plonie on na gnieździe swém i odradza się z popiołów, zmartwych powstając po dobrowolnym zgonie. A niedość, że się rodzi po raz wtóry, odnawiając żywot ciała laty znękanego, coraz nowe narodziwy starości mu oszczędzają, która w płomieniach ginie. Drzewa sączą z żył płodnych wonne balsamy. Gdy lekki wiatr powieje, gęsty las oddechem jego poruszony, szeleści i mruczy, uginając gałęzie kwieciste, a powietrze napelniając wonią słodką i rzeźwiącą. Źródło przejrzyste i jasne tryska z głębin, w których oko się nurza, srebro nie błyszczy jaśniej, kryształ nie polysknje świetniej nad wody jego. Płyną one wśród kamieni drogich rozrzuconych po brzegach, a najszacowniejsze klejnoty tu się walają, jak glazy... Pola barwami malowane świetnemi, natura zdobi królewskim przepychem.

Wszyscy słuchali zachwyceni opisem Raju, aż biskup Pelka rzekl.

— Piękny jest raj ten, lecz w poecie cznie po-

ganina, wolę św. Orjenta, gdy mówi o życiu przyszlém.

Książę się zwrócił ku niemu, jakby pytał i żądał więcej, a biskup kończył.

— Nie powtórzę ja słów jego tak wiernie, jak mistrz Wincenty Awitusa, ale coś mi z nich w pamięci zostało i św. Orient powiada: „Koniec nasz nie jest końcem, a śmierć, przez którą umieramy, sama nienastannie umiera. Duchem i duszą, które trwają i żyć mają wiecznie człowiek żyć będzie wiekniście. Tak, człowiek wiekniście żyć będzie, ale tu lży przerywają słowa, bo lepszym byłoby losem dla niego z żywotem się pozbyć boleści, a nawet zrodzonemu raz podobnym być tym, co się nie rodzili nigdy, niżeli umarłym być dla żywota i żyć męczarniami w tych czasach niedoli, gdy grzech panuje światu. Nie sądzicie proszę, aby srogość kary zmniejszoną była przez to, iż płomień sprawiedliwy prędko pożre winowajców. Patrzcie na one góry, które wieczne ognie trawia, palą się one zawsze a nigdy spalić nie mogą. Patrzcie na świeże źródła i rzeki lazrowe, płyną one ciągle, a wyschnąć nigdy nie mogą. Tak ogień wieczny zreć będzie złych, którzy w nim nigdy nie zgorzeją.

Po obrazie raju Awitusa, ten drugi mąż piekielnych zachmurzył lice, a książę przerwał żywo.

— Straszne to groźby! niestety... dla nas grzeszników.

— Bośmy myśląc o wieczności i trwogę jej mieć powinni — dodał biskup. — Lecz zaprawdę, za poważne to do stołowej rozmowy.

— Owszem — odparł Kaźmierz — żadna rozmowa milszą być nie może. O śmierci myśleć potrzeba w każdej żywota godzinie.

— Tak, znikome jest wszystko — rzekł Cysters — i jak Prosper Tyro powiada: „wszystko co posiadamy przechodzi, co upłynęło nie wraca, próżności tego świata budzą dusz naszych ciekawość ludzącemi pozory, a w rzeczy są niczem.“

— Mój zaś Orientus w taż śpiewa — dorzucił Pelka. — „Każdy dzień nas do śmierci zbliża, umieramy, gdy to mówimy, niedostrzeżonym pochodem krocymy do dni ostatka. Jak pochodnie woskowe, które z nocy dzień czynią, płoną od ognia powoli, a płomień je pożera, ludzkie rzeczy dokonywając się giną, a co żyje niszczy i umiera.“

W tém M. Wincenty ujrzawszy posepnijące oblicza, począł weselej.

— Różnie się ludziom różnym ten koniec przedstawia, jednym smutnie, drugim wesoło. I tak opowiadają, ¹⁾ iż raz na okręcie jednym filozof z błaznem płynęli. W tém zerwała się burza, dookoła świat cały oblokły ciemności, łoskot powstał okrutny, ludzkie się ozwały krzyki, bałwany sro-

¹⁾ Kronika Wincentego.

gie nawą miotać poczęły. Wiatry wściekle to go pograżały w przepaście, to na falach wznosiły do góry, strącając z nich w mokre otchłanie...

Filozof widząc śmierć zbliżającą się trwożyć poczynął wielce. Drżał o przyszłe kłopotząc się życie. Pewien był drugiego żywota, przecie mu i tego doczesnego żal było. Tymczasem błazen widząc, że już do stracenia nie ma, płasy wyprawiał, skoki dziwne i żarty szalone, ruchami śmiesznymi zabawiając potrwożonych. Aż oto burza ustawać zaczęła powoli, uspokoiło się wszystko. Naówczas błazen przystąpił do filozofa drwiąc z jego strachu, na co mu tamten odrzekł. — Nie miałeś się troszczyć o co, bo dawno jesteś stracony, błazen nie stał o błazeńskie życie, jam się o żywot filozofa obawiał.

Rozśmiał się książę, a stary Climara rzekł.

— Ostрым językiem odciał mu się filozof, toć prawda, a no błazen to ma za sobą, że odwagi nie stracił.

— Filozofowi też trwogi tak bardzo za złe się nicie nie godzi — odezwał się Kazmierz — bo wierzymy w żywot ów drugi, ale nam go ciemności śmierci zasłaniają, i choć przeczuwamy wiele, nie wiemy nic.

— Oprócz tego co nam chrześcijańska nauka podaje — poprawił Pelka. — Prudencjusz powiada: „Wierzymy, że ciało nie ginie, choć je grób pożera? bo Chrystus pan wskrzesił ciało na krzyżu

zmarle i zaniósł je do Tronu Ojen, a przez to gościnie wytrzebił zmartwychwstaniu.“

— Pozwólcież — wtrącił Cysters — abym do Prudenejuszowych dołożył tu słowa św. Paulina z Noli, który o życiu przyszlém głosi: „Czeka ma dusza obmycia się z grzechu, drzy mi serce pełne wiary, tętnia w niem więzi wszystkie. Duch mój w trwodze przyszłości lęka się, aby go nie spętały troski o ciało, by ciężar jego nie przyniósł go do ziemi, boi się, aby gdy trąba brzmiąca z otwartych ozwie się niebios, nie podolała skrzydły lekkimi unieść się na spotkanie króla, dźwignąć ku niebu do tysiąca świętych pełnych chwały, którzy z pęt świata wyzwoleni, ulatują lekko w przestrzenie ku gwiazdom wysoko! Niesieni na obłokach płynących między gwiazdami, unoszą się w powietrzu, by pozdrowić króla niebios i połączyć się z jego zastępy jasnemi n stóp wielbionego Chrystusa.“

— Ten to sam Paulin święty — przerwał Wincenty — powiedział pięknie: „Dusza ta, która ciała zniszczenie przeżyje, jest nieśmiertelną, dzięki jej niebieskiemu pochodzeniu. Zachowa więc uczucia swe i miłość swą z żywotem razem. Jeżeli umrzeć nie może, nie może zapomnieć, bo ma żyć wiecznie i wiecznie pamiętać.“

— A! — zawołał książę z uniesieniem. — Co za pocieszające słowa! Wolno nam więc będzie kochać, cośmy miłowali, widzieć to, do czegośmy

przywiązali się w życiu, spotkać druhów serdecznych odnaleźć tam straconych ojców, braci, dzieci!

Chwilę milezano.

— To co poczeiwą miłością było w Chrystusie Panu — odezwał się Pelka — czemużby poza kres życia doczesnego przeciągać się nie miało? Wszak ci nie tylko dusza nieśmiertelna, ale i ciało ubłogosławione przywdziejemy znowu, a mój św. Orjent powiada... Mistrzu Wincenty? tyś mi to czytał, a co czytasz, to pamiętasz!

Wszyscy się zwrócili ku Wincentemu, który skromnie rumienił się ilekroć do niego, jak do księgi się odwoływano.

— Pomnę to miejsce — rzekł. — Brzmi ono: „Przez nasze pobożne pragnienia i życie święte, staniecie się chwały godnymi w żywocie wiecznym i doczesnym tak, abyście uczczeni już przez poczeiwy żywot, który prędko upływa, po zgonie mogli wieczną chwałę pozyskać, albowiem, wierzajcie mi, a pomnijcie to, że wszystko co szalonym zdaje się znikomem, jest trwałem. Wiedźcie, że dusze wnijdą w te same ciała znowu i wdzieją swe cielesne powłoki. Postawa, barwa, krew, żyły, skóra, kości, włosy, powrócą jak były. I nie tylko to, co kamienie spojone zachowały w grobach, co niezepsutem przechowują balsamy i prochy Arabij — i to co częścią w grobach leży, częścią w rzekach spłynęło, wszystko powróci prędej,

niż wyrzecze się słowo i stanie ciałem twardem. Co zniszczył wieher, co rozszarpaly zwierzęta, co ogień strawił, co gruzy przysypaly, wszystko z rozproszonych części się połączy, choćby je ptacy pożarli, ryby i dzikie potwory połknęły, wstanie na głos trąby pańskiej.

— A! — zawołał słuchający z chciwością Kaźmierz — mnie na usta przychodzi ów rytm św. Angustyna o raju, który do moich modlitw należy:

„Serce moje spragnione chce się orzeźwić
„u źródeł żywota, dusza pragnie skruszyć
„więzy ciała, które ją zakłuły w niewolę i jak
„wygnanka płonie żądzą powrotu do ojczyzny,
„ucieczki.“

— A! miłościwy książę — przerwał Chmara — zlitujcie się, nie uciekajcie sierotom, potrzebniście nam!

— Niech Bóg da mu żywot najdłuższy — podchwycił Pełka — a o końcu myśleć nie szkodzi nam wszystkim.

— Nie zapominam o nim — mówił Kaźmierz — sposobie się doń, a choć Opatrzność Boża i ten mój pobyt na ziemi szczęśliwym uczyniła, przecie prawdziwej szczęśliwości tam dopiero wyglądam.

— Bo jój na ziemi być nie może — odparł Wincenty — ani cienia nawet! Nie ma tu chwili jednej bez kropli goryczy.

— Tak, ojciec mój, wielka to prawda! we wszystkim co tu nas spotyka, na dnie żółć i ocet

się znajduje, po największej rozkoszy największy ból ogarnia; wечно tu tęskniemy, pragniemy wieknić i ze spaloną wargą do źródła przyjdziemy!

To mówiąc Kaźmierz smutnie się uśmiechnął.

Stała przed nim ulubiona czara jego, misternie ze złota wykuta, pięknemi barwy obleczone, którą mu z Franeyi przywieziono w podarku. Zdobił ją dokoła biegący napis Teodulfa biskupa Orleanu, który, że wiele pisał o sprawiedliwości, książę go sobie często czytać kazał i wysoce pisma jego szacował. Dlatego Cystersi, którzy tę czarę kazali robić dla księcia, wyryć na niej dali napis łaciński przez Teodulfa niegdyś ułożony:

„Ty coś niegdy wodę przemienił w wino,
„dając jej smak i barwę jego, pobłogosław
„tak rękami swemi tę czarę naszą, a spraw
„byśmy długo dni używali szczęśliwych.“

Wichfried stał właśnie za księciem, godzina była spóźniona, Kaźmierz pomyślawszy trochę, jakby się wahał czy ma jeszcze jedną wychylić czarę — podał ją z uśmiechem, pełniącemu pod czaszego obowiązku.

— Nalęj, Wichfriedzie, ostatnią! — rzekł — i idźmy na spoczynek!

Z pewną bojaźnią i pomięszaniem Wichfried przyjął czarę z rąk księcia, poszedł z nią gdzie stało wino, pochylił się.

Czy wino ciekło powoli ostatkami, czy niemiec

czarę wymywał, zabawiał trochę długo, aż Kaźmierz, który rękę wyciągniętą trzymał, zawołał.

— Wichfriedzie! wina!

Podczaszy zwolna niósł nalaną czarę, a gdy książę do ust ją przykladał, schylił się szepecząc mu coś na ucho.

Jeszcze nie dokończył pić Kaźmierz, gdy złota czara z rąk mu wypadła, pochylił się na siedzenin, głowa zwiśła za poręcz, oczy stanęły słupem, drgnął tylko i ciężarem całego ciała na ziemię się obalil.

Wszyscy się rzucili ku niemu, pierwszy Wichfried przerażony, obejmując go rękami. Zerwali się biskupi. powstawali ziemianie, runęły ławy, rozruch się stał straszliwy, trwoga niewysłowiona... Wołano wody, lekarza!

Kaźmierz leżał już blady, zsiniały, martwy, zabity jak od piorunu, który mu nie dał jęknąć ni wypowiedzieć słowa.

Nikt wierzyć nie chciał zrazu, ażeby ten, który przed chwilą pełen był życia, mógł do téj wieczności, o której marzył i rozprawiał, przejść w jednym okamgnieniu. Odcierano go, oblewano wodą, klękli dokoła dworzanie, podnieśli na rękach płacząc.

Trupem już był zastygłym i zimnym.

Dziwną łaską jakąś twarz ta, którą dłoń śmierci dotknęła tak gwałtownie, nie miała na sobie śladów żadnej walki z życiem, żadnej męczarni, ani

cierpienia. Błogi spokój ją oblewał, zdawał się uśpionym, powieki nawet same mu na oczy zapadły, a usta zdawały się uśmiechać.

Po chwili osłupienia rykiem boleści rozległ się zamek, podwórca, miasto.

— Kaźmierz nie żyje!

Noc to była straszna, zamętu, popłochu, łez, przerażenia. Na wszystkich spadł ten cios, jak kamień z niebios w dzień pogodny. Co się stanie z królestwem? Co z Krakowem? Co z przyszłością? Co mieli poczynać biskup, starszyzna, ziemianie? dokąd i do kogo się obrócić?

Gdy u nóg martwego pana i małżonka leżała pół martwa, rozpadając się z żalu, drąc na sobie szaty Helena z trojgiem dzieci, biskup Pelka i Mikołaj wojewoda musieli już łzy połykając radzić, aby uchować sierotom ich ojcowiznę, niedopuszczając czyhającego na nią Mieszka.

Noc majowa nie dobiegła do końca, gdy już na biskupstwie zebrała się rada i z rozpaczą w sercu, z trwogą w duszy, starsi o losach rodu i narodu radzić musieli.

A każdemu słowu niemal towarzyszyły okrzyki.

— Sieroty jesteście! sieroty, nie pana straciliśmy — ojca!

Któż taką chwilę boleści narodu całego odmalować potrafi?

Gdy w nocy zawrzało na zamku i krzyki się rozległy straszne, a żałobne dzwony miasto rozbudziły, kto żyw wybiegał w ulice. Jedni drugim podawali wieść żałobną, wieść nie do wiary.

— Książę umarł. Umarł pan i ojciec nasz...

Nie chcieli uwierzyć ci, co go kochali, biegli pół nadzy na zamek, gdzie ciało jeszcze w ubraniu ucztowem nietknięte leżało otoczone płaczącemi...

Wichfried włosy rwąc na głowie, o ściany się rozbijał z rozpacz. Dziwne wieści krążyły podawane cicho z ust do ust. Pelka go kazał przywieść do siebie. Zamknęli się w izbie osobnej, słychać było głosy podniesione, jęki i wołanie, i jakby padanie na ziemię, a gdy Wichfried odszedł, biskup powrócił niemy, błady, nie mogąc się na nogach utrzymać. Niemiec wprost do klasztoru na Tyniec jak pokutnik powlókł się piechotą.

Nim ranek nadszedł, Kraków cały był jedną izbą żałobną, jęki i zawodzenia słychać było wszędzie.

Na dworze Doroty z wieczora pozapalano światła, służba przybrana stała, gospodyni strojna wyglądała oknami na drogę ku zamkowi.

Gdy na mieście uderzono we dzwony i krzyki się słyszeć dały, Dorota na próg wybiegła.

Ulicą leciał człek bez nakrycia na głowie, rozpasany, z włosami rozwianemi i wołał nieprzytomny.

— Pan nie żyje? pan umarł!

Wdowa zabiegła mu drogę Powtórzył jak obłąkany.

— Sieroty my! pan nie żyje! U końca uczty czarę do ust niosąc, skonał!

Z krzykiem dzikim Dorota nazad rzuciła się do domu i na progu padła zemdlona. Ztąd ją na ręce wzięły sługi i na łóżę zanosły.

Wśród tego zamieszania jakie po zgonie księcia panowało, około południa następnego dnia bracia z Tęczyna nie zapomnieli skorzystać z chwili, na którą oddawna oczekiwali. Oddział ich ludzi otoczył dwór Doroty i pochwyconą powieziono do Tęczyna.

Tu w wieży, która potem przez długie wieki od imienia nieszczęśliwej zwała się Dorotką, bracia zamknęli ją, ażeby więcej rodowi ich sromu nie czyniła.¹⁾ Żyła w tém więzieniu pokutując szalona niewiasta lata długie, więcej już nie widząc świata.

Stach, który w gorączce ciągle marzył o otruciu pana, téj nocy złowrogięj nie dowiedział się o śmierci jego. Żegieć mu ją utail, uspokajając

¹⁾ Paprocki: „Herby.“

jak umiał tém, że wołanie i bicie we dzwony było resztą wielkiej uroczystości i uczty zamkowej.

Benedyktyn dopiero gdy ranę przyszedł opatrywać, z zapłakanemi oczyma na pierwsze zapytanie o wrzawę w mieście, odpowiedział z rezygnacją mnicha.

— Módl się za duszę pana, którego Bóg wziął do swęj chwały.

Padł twarzą na ziemię Stach onieprzytomniały z bólu; wróciła gorączka, zaogniła się rana, ale nie przeznaczoném mu było życia tak rychło dokonać. Powoli znowu zablizniać się zaczęła rana, wróciły siły, tylko nie ochota do nowego życia.

Stach mógł odzyskać dawne nazwisko swoje, chciał Pelka go umieścić u brata wojewody; nie przyjął tego znękany człek, który ciszy i pokoju pragnął. A że wiek mu do klasztoru wstąpić nie dozwalał, pozostał w mieście wzięwszy szatę pokutniczą, więcej żyjąc w kościele niż z ludźmi, milezący, dogorywający już tylko.

Gdy na Wawelu dzwony uderzyły zwiastując zgon pana, a głos ich doszedł do murowanki za Wisłą, Jagna, która na łożu swém w pół drzemiała, pół marzyła, otwarła oczy, tchnęła siła i dłoń przyciskając do piersi, i nazajutrz sługi znalazły ją uspioną na wieki.

KONIEC.

Drezno, 1879.



Biblioteka Raczyńskich

JK 413



JK0413